8546

IV

Z Gorców.

(K. O.)

Mamy tu między ostatnimi porami roku – piątą: t. zw. porę dzików, którą lud nazywa poprostu „świńską". Trwa ona od połowy lata do późnej jesieni, to jest od czasu, gdy się zboża poczyna zapotrzać aż do wykopania ziemniaków. Pory tej na nie nie narzekają, jak na tę „plagę nieznaną", o której tak chętnie nie gwarzą, jak o tej „przeklętej gawiedzi", która przyszła nie wiedzieć skąd – na utrapienie [illegible], ... [illegible]...

– Bywały tu – mówią – drzewiej i wilki i rozmaita dziwierzyna, a nie się tak chłopu nie dało we znaki, jak te niebożkie stworzenia. Bo wilk, byczak porwie raz jedno jagnię – no, szkoda, bo szkoda, ale psiakrew! Wziąłeś, toś wziął, to się ino raz najesz, a chłop tak bez jednego jagnięcia wyżyje... Ale te psie krwie zatracone nie kontentują się byle czem – ino ziemniaczka niebyś im wsadził, zboża nasiał po korcu, toby jadły!

(1) Opowiadają sobie, jaki to kontrakt zawarły wilki z dzikami, zgrymaszeni chłopskiej [illegible].

– Dziki – padają – były drzewiej na wygnaniu, bo wyprzajnie jak świnie paskudziły las i laski musiały po nich ogonami zamiatać. Toż pod obcym królem. Musiały się żołędziami żywić i bukwią, aże im się to przejadło. Zebrały się tedy i radzą, czyby się nie dało kany lekcej żyć... Zmiarkowały wnet, że smaczniejsza potrawa z ludzkiej pracy. Ba, jakże! Zwiedziały się, o naszym kraju, że tu chłop wielki głupi jest i niezaradny – i dalejże! prosiątko, jak do swego. Ba, ale tu już byli inni panowie – panowie wilcy,

którym się trzeba było opłacić, albo wrócić nazad z Panem Bogiem... Niezgoda! Z tego do tego — wysłuchały deputatów i poszły ~~się~~ radzić... My — padają — damy wam swoje miejsce, a wy nam dajcie swoje. Wiedzieli mądre, przebiegłe targowały się ~~drogo~~ długo! Ale cóż miały robić? Wszakci pojęły, że tu lasy wytną, nie będzie kamy i jagnięcia zchodzić i wyspać się przy czasie — no i ~~ustą~~ zebrały ~~się i poszły~~. Z Kretesem... A dzikie poczęły się u nas gazdować, z początku nieśmiało — a potem wzięły ~~zebrały~~ ~~przecie~~ odwagi i rozpanoszyły się na dobre.

— Że też „kraj" porwała naszo! — ~~mówią~~ szepcze kobieta w naiwnej swojej nieświadomości.

— Kraj ma co innego na głowie! — odpowiada jej zgryźliwie [illegible] — Czy my to panowie, abo co, żeby się o nas trapił!.. Kraj swoją drogą a my i dziki swoje...

Zrezygnował już ~~[illegible]~~ [illegible] ~~i cicho szemi~~ widząc, że się na nic nie zdaje — i cicho [illegible] „do [illegible]!" Ale gorycz sączy się po kropli do serc — ~~i [illegible] spłyną w morze~~ A z kropli powstaje morze...

(1) V Ho! ho! ~~on ta dziś byle~~ czego ~~nie pije, nie bojące się~~!.. Pracuj bez całą ~~rok~~ wiosnę, ~~dziub w~~ orz tę ziemię skalistą, kop, jak nie masz co wziąć, proś Boga, że było rosło — a tu przyjdzie posucha do gołowizny nienkiego i zeżre...

~~i ostani~~ (~~Całe wiosnę narzekać zabiera~~ dusi ich ~~&~~ Podaje skargi ~~ciche~~, bez nadziei.)

Najgorzej w czasie żniw, kiedy się cisną do wsi ~~gromadami~~ całemi gromadami. Wtedy ludzie chodzą, jak w sennym obłędzie i skarżą się po cichu. Ten powiada: ~~zgniły~~ ~~mi~~ przemarzły zgniły mi ziemniaki, owen mówi: owies mi starganty, że już nie będzie co i użąć.

— Cicho się w dzień narobi, ~~tak jak za psim~~ i ~~narobię się mi~~ napracuje, że, jak przyjdzie do chałupy — to ino posiedzi, kaszy łeb, kiedy kości wyciągnie na ławie — a tu idź w pole ~~na noc jak psie gardło, całemu zdaleka~~ Jeszcze, jak padnie noc ~~[illegible]~~ pogodna, to chwała Boga. Ale jak padnie deszcz i słota [to... to] już Panie ratuj! Wrócisz rankiem skostniały, jak ~~na~~ zgodź na mrozie.

~~W nocach~~ Wyjść nocą w pole — to cała wieś żyje, śpiewa i gra... ~~a jakie smutne to granie~~!

— Oswoiły się już dziewki z tem ~~graniem~~ — powiadają — I myślą, że ~~to dla nich~~ ~~grają~~, coby im było wesoło grać... (1)

A Duch się Jego rozpływa powoli
w błękitną ciszę pogodnych wieczorów,
W umarłe pieśni, grające po roli –
W ten cichy smętek pól, łąk i ugorów,
W rzewność na grobach świeżych rozmodloną,
W posępną, mglistą, jesienną szarotę –
I płynie w bezmiar pustką nieskończoną,
By znowu ~~[illegible]~~ ciałem wrócić na Golgotę...

Wyborca.

- Pono Jagustyn ~~Krzes~~ wrócił z Limanowej?
- Dyć tak gadają.
- Pódźmy do niego, dowiecmy się, jakiego ta wybrali tego posła...
- Dyć ta gwałtownej roboty nima, możemy zajrzeć. Choć prawdę powie-
dziawszy, to mi ta wszystko jedno. Niech będzie, kto chce.
- No ale tak z ciekawości...
- Ha no, to pódźmy.

~~Zebrali się i poszli.~~ Jagustyn mieszkał niedaleko, na dru-
gim osiedlu. Błażek z Bartkiem, włodarzy, zastali już u niego ~~parę gazdów,~~
~~dwu, których ciekawość, pełno kudzi gazdów~~ sporo gazdów, którzy się naschodzili pod wieczór, aby coś usłyszeć.
- I jakże tam wypadło? - pytali ciekawie.
- E, psiakrew! z takim samorządem... Ani gadać nie warto.

~~Musieli~~ go długo molestować, nim się dał uprosić. Wi-
dać było, że sam chce ~~o tem zabaczyć~~ jak najprędzej, ~~a tego~~ była w nim
jakaś tępa złość nie wiedzieć: na co, i na kogo, jakaś zgorzkniałość
~~wrzała w sercu~~ we wnętrzu, ~~jak zgaga po~~ która go piekła, jak zgaga,
gdy uprosiły, począł:
- To, widzicie, tak... rozchodzą się dyabeł nie wie, skąd i ~~jacy ludzie~~ jacy ludzie
i urządzają se licytacyję, a ~~tym~~ myślim, że to wybory...
- Powiedzcie... No, któż tam taki był?
- Kto chciał, to był, komu się ino widzi zabałżył! ~~Nazwało się to. Był od sąsia~~
~~Był naprzód~~ tam i jeden druker, ~~ale~~ my go nie widzieli, ~~bo~~ ~~się przecież boryli na niego~~ ino opowiadali insi, że to na nic zdumn gdy
ty dziać, bo go panowie nie dopuszczą na żadnego posła. Był ~~m~~ od Nowego Sącza jeden, co był najprzód chłopem, a potem z tego do tego, ~~a~~ stąd się
by ~~był~~ przeniósł, żeby go był miał kto podeprzeć. Ale upadł. I kto wie, czy
~~wyjani~~ stwardniał... Był ~~tu~~
- Musiał mu się zapomnić...
- Ba, dyć powiadali, jak mu prał wócy wszyściutko bez żadnych ogródek.
- Temu go to odkopnęli...
- Było ~~potem~~ ~~jakiś Kuchar, ale powiadali, że~~ dwoch chłopów ze samego
Miasta[*]. Ale tych znowu chłopi nie chcieli, ~~bo zanto, że~~ bo byli za mądry.
I źli byli ~~na nie~~ wielce na nich. „Bo jakoż to? - ~~Jeden mu~~ gada - ci by
mieli wszystek rozum, a drudzy, to nic? Niech lepiej głupszy idzie, ~~to~~ nie
zdradzi tak łatwo."
- No dyć ~~prawda~~ słusznie powiadali... Co się jeden ma wysypiać rozumem
swoim, nie drudzy...
- Był ~~potem jak~~ jakiś ~~adukat, podobno z Krakowa~~ adukat, podobno
z Krakowa, był jakiś Danielok, i dyabeł wie jeszcze, dużo ich tam nie
było, bo się człek nie mógł dorachać, tako się ich zwaliło. Jak przyjdzie
chłopu pomóc, to ich nika nima, pokryją się, powłażą do najgłębszych
dziór. A jak przyjdzie wziąć od chłopa, to się wszyscy najdą. ~~Poczepiają~~
~~jak~~ jak
- pociągną się, jak muchy ze ~~stron na po~~ najdrobniejszych szpar.
- Hej, zlecą się, jak szerszenie i obsiędą ~~chłopa~~ człeka. Żebyś sto uszów ~~miał~~ miał,
to ci ani jedno nie zbędzie. ~~Każdy~~ Bo cię ~~tak kurzą~~ naraz wszyscy
kuszą i ze wszystkich stron. Nie porada się nijak ~~ogarnąć~~ ognać.
Ten powiada tak, ten tak, a ten znowu inaczej, choćbyś głowę miał,
jak kadź, to zgłupiejesz do reszty i nic nie wiesz, kto ci dobrze radzi.
Bo każdy obiecuje, ~~co~~ z czego żywnie pragniesz, i wszyscy by cię przed
wyborem w miodzie utaplali. A skoro się ino dasz przenieść na jedną
stronę - oho! już i wpadł... Już ci drudzy w oczy pierą, żeś zaprzedał
~~za Boga! co się to~~ duszę. Teko powiem: Niech was Pan Bóg uchroni

od tego, aby nie kiedy mieli iść głosować. Ciężko sumienia nieprawdy.
– La Boga! Cóż to za czas nastał!
– Po kiego dyabła ciężko mu iść, wybierać, kiedy oni sami wiedzą, kogo wybierają! Żebyście wy widzieli... Ale szkoda i widzieć. To wiecie tak, jakby jarmark, ale co ja gadam! Na jarmarku obierzesz i zmacasz i kupisz. I nikt ci nie zastąpi, chyba jak złodziej. A tam wszyscy handlują...
– Sumieniem i skórą...
– Gdy nie czem innem! Skóra chłopska na licytacyi... ani się nie obejrzysz, jak ci ją przedadzą.
– I litkup na dopłatek...
– Myślicie, że nie? Chciałbych mieć tego owiec, wiela tam ostrzygli.
– Czy tak naród podupadł, czy co?
– To, wiecie, tak. Ciężko nima oświaty ze grajcar. Zlecą się zewsząd i przyjdą, ani się obrócisz, kanyby ś chciał. Komu ci się zachciej. Ksiądz doradza tak – gdzie trza mu wierzyć, bo jakże? przecie pasterz boży. A kto insy znowu inaczej powiada, widzi ci się, że dobrze i poszedłbyś za nim, ale kto wie, czy śmiało może mu ufać? Starosta nakazuje, trza go znowu słuchać, a żandarmi po boku, a panowie z góry – zbałamucą do reszty i sam nie wiesz, za kim iść, co za jaka zła strona. Kto chce, to rządzi tobą, kto chce, to ma władzę. Pomieszanie rozumów, jak przed końcem świata. A żeby ostawili chłopów przy swoim prawie, to nie, ino się tak opiekują, jak dziećmi matemi. A bez gwałtu nie chcesz słuchać, to cię gwałtem zmuszą.
– E! Któż taki, co się przewarza?
– Kto taki... Dyć jest samorząd na to, coby samorządził. On porozdzielał prawa i zagarnął władzę. Nie spyta się nikogo o nijaką wolę, ino robi swoim dumnem, co mu się podoba.
– Ej, bieda też to, bieda, jak nima oświaty...
– I jakiegożeście tego posła naweście wybrali?
Jagustyn zachmurzył się na to pytanie. Widać, że chciał z umysłu ominąć tę sprawę, gadał wiele, a stumił złość niewypowiedzianą. Teraz, przyciśnięty, z gniewem, gorycz wybuchnął.
– Ja go ta nie wybierał! Wybierali insi...
– A kogoż takiego?
– Adwokata jakiegoś z Krakowa...
– A jakże się nazywa?
– Czy ja wiem! Kto ta kiedy słyszał jego miano... Dyć się spytajcie drugich, co ta ze mną byli, kto czy go kto znał, czy widział kiej, choć jego gębę?
– I nacóż mu dawali głosy?
– Na co! Bo musieli dawać... psia krew! z takim samorządem.
Pomilkli, widząc, że go ino złoszczą, nie pytali już o nie. On jednak sam po chwili, wyparowany złością, zaczął:
– Ale my se poradzimy. Na drugi raz już nie będziemy tacy głupi, kiej ten raz. Ten niedobry, to żaden nie będzie. Już my się umówili w kilkunastu narazem, że jak nadejdą stawiemy wszyscy i do wyboru, to na cesarza będziemy dawać głosy. Niech się opiekuje nami kiedy tak...

Z trzymańcem spoczął po gardach, a ci też siedzieli na trawie ~~w milczeniu~~, dumając długo ~~głęboko~~. Najstarszy z nich po chwili oderwał się cicho:
– Możeby to ~~nie~~ i nieźle było... Co myślicie Starzyje?
– Mnie to wszystko jedno.

*

~~Dz~~ ~~Działo się na początku wieku XX.~~, ~~w sto lat prawie po rozbiorze Polski~~, ~~w „roku jubileuszowym", za~~ (Działo się ~~w [illegible]~~ w „roku jubileuszowym" w sto lat po rozbiorze Polski.)(– Działo się po wyborach gminnych, ~~wśród~~ w „roku jubileuszowym", w sto lat po rozbiorze Polski. Zacny i rzadki

F. Smreczyński.

Przekleństwo.

Tam w dole – czarne ludzkie zmalałe mrowisko.
Żaden jęk, żadne echo ku mnie nie dolata.
Wyolbrzymiały duszą pójdę w nieskończoność świata,
wpatrzony w białe słońca rozkwitłe ognisko.

Lecz oto stąd od ziemi idzie chmura ciemna,
Zbliża się ~~[illegible]~~ piorunami groźne wężowisko,
Grzęzą piekieł dochodzi ku mnie życie – już jest blisko,
już u stóp moich wyje burzą – już nademną!..

Tam w górze – białe słońce goreje wieczyście,
Lecą gwiazdy, migocą, jak ogniste liście,
~~A~~ Świecą ~~ogniami~~ barwami kwiatów po niebieskich dworach.

~~A~~ Jam jest jak wiatr, padolną obłąkany nędzą –
Ledwo go skrzydła lotu nad chmury zapędzą,
już spada i budzi się na swoich ugorach.

—

nowele
dramaty
poezje

„Co ma wisieć – nie utonie"

Opowieść Sabały.

([illegible] zapisał i podał Wł. Orkan.)

—

Dawniej, kiedy u nas jesce kościoła nie było, chodzili my do kościoła do Szaflar. Ale my se wse pomyślowali: szaflarzanom musi być markotno, jesce tak, jak [illegible], do ich kościoła chodzimy – trzeba im cosi za to dać... Pogadował ten i ów – naresście rada w uradę: cozby im ta takiego dać, coby se nie markocili? – E wiecie, co? – ja powiadam – dejmy im świętego!.. Takwej wszyscy przyświadczyli: „Dejmy im świętego!"

A był ta, wiecie, cieśla, co świętych robiał – toz to my do niego: „Mośćku, my, kochani, pięknie, zróbcie nam świętego!" On się ta dużo nie ogarniał – i ino tak jak inszy cieśla nie opytamy – ba zaraz poseł, [illegible], opatrzył na trzeba som jedlę, ściął, wyprusił i nie odziomka [illegible] wyciesał wse świętego. No i rada w uradę: ochrzcili my go Morcinem.

Kto go teraz odprowadzi? [illegible] Kiedy dźwignąć, ale nie poradzę – Ciężko. A był ta jeden chłop, co dziesięciu nie bardzo się ubał – toz to my znowu do niego: „Wiecie, co, kochani, pięknie, niecie wy tego świętego Morcina do Szaflar!" – „A co mi za to dacie?" – „Damy ci sto dni odpustu." „Jak tak, to dobrze, to ja go ta już [illegible] poniosę..."

On się ta już nie drożył – dźwignął na plecy i poseł prosto ku Dunajcu. He, ale mu po drodze począł ten święty dopiekać. Zagrzał się pod nim setnie, a tu dopiero Poronin. I skoro tak ciężko mu ledwo podyszuje – spotyka chłopa znajomego: „Wiecie, – powiada mu – weźcie no kaw to ze mnie [illegible] do Szaflar, dam wam dziesięć dni odpustu!" – „Ni mam tyż casu, bo się do lasa pośpiesam..." – „Dam wam dwadzieścia!" – „Ani za sto!" – „E, nie poniesiecie, nie, to ja go ta już doniesem..."

... po jakimś casie znowu [illegible] spotyka po drodze babę, a ze to baby łakome na odpust – toz to on zaraz do niej: „Moja [illegible], weźcie no kaw to ze mnie, dam wam trzydzieści dni odpustu..." – „O mój Jezu, [illegible] ale tyż nimam casu, bo dzieciska w chałupie same, bo to, [illegible] „Dam wam sztyrdzieści... no, pięćdziesiąt – niech stracę!" ale baba się jesce wymawia – ze to mocny się bojała i [illegible] ale mu się już nie chciało dodawać... „E, nie poniesiesz – powiada – stary – to ja go kaw doniesem..."

I poniósł dalej – aze przyseł na most na Dunajcu. Sparł na poręczy, odpocywa na chwilkę i [illegible]: „Jaby się tu [illegible] dni odpustu i niech [illegible] potała... Jaby cię tu [illegible] diabli wzieni! Co ma wisieć – nie utonie..." I [illegible] na wodę.

No i, wiecie, nie utonął [illegible] dziesiedmia [illegible] w Szaflarach w kościele. Ha!

Co ma wisieć

I.

(Ilustracye)

Staszczyński (stojąc przy wózku – do górala): Jedziemy?
Góral (drapiąc się po głowie): Hm... nie wiem jako to będzie... bo ja [illegible] chyba ze raz nie zabierę...

II (z filozofii życiowej górali)

Jak baba na mnie z góry – to ja na nią jeszcze z wyższa.

III

Zakopański, czy zakopiański?

W czasie owej sławnej kłótni o jota (jak się to historya powtarza! he?) tym razem nie teologów, ba nawet wielkich lingwistów, w czasie tych językowych starć o ten bodaj przymiotnik „zakopański", gdy już zużyto dosyć furę papieru, kopanki atramentu, i przytoczono setki dowodów za, a tysiące przeciw, gdy już sięgnięto do pierwotnej gwary Turkestanu, i jeszcze dalej – do gwary naszych praprzodków, wypędzonych ognistym mieczem z raju, gdy już wszystkie drukarnie rozbite były składaniem tych dziwacznych przepotwornych przymiotników, jednemu z wielkich, bawiącemu podówczas w Zakopanem, myśl (nikomu wcześniej – [illegible]) zapytania się, co też lud sądzi, za kim są owi [illegible]?

I śp. prof. Malinowski, bo on to był tym mężem, udał się jednego przypołudnia do chałupiny starej na zboczu Gubałówki, aby stamtąd świadectwo wynieść swojej wiedzy. Drzwi były niezamknięte – wchodzi więc do izby, i nie zdejmując kapelusza, ani Boga pochwaliwszy, idzie prosto ku nalepie, gdzie gaździna warzy obiad – kładzie jej rękę na ramieniu i pyta: „Moja Kobietko! Jak się mówi: zakopański, czy zakopiański? powiedzże!"

Gaździna, widząc przed sobą męża o biblijnej brodzie i surowem spojrzeniu (już jej się płanetnicy na myśl nawinęli) zalękła się wielce.

– E... o coż wam to idzie... siedźcie – wołając trwożnie, a widząc, że proch na nim, podbiega wartko i ściera go zapaską.

Profesor stoi niewzruszony,
– Kobietko! Jak się mówi: zakopański, czy też...

Gaździna jeszcze bardziej strwożyła się wielce.

– E... Coż wam to panie,... czy nie chory...
– Ale! Powiedzcie: jak się mówi: zakopański, czy też...

Gaździna już była pewna, że starszemu panu coś w głowie się pomieszało. Nie mówiąc nic, by zaś jeszcze go nie rozgniewać (a sama była wdową) z litością miała patrzyła na niego. I wyszedł stąd, litościwie jej do sieni wyprowadzony. Nie dowiedział się, jak się mówi: zakopański, czy też zakopiański i ot, ciemnota!

~~Przewodnik, idący razem z malarzem i poetą po Tatrach dniami, wsłuchany pilnie, co oni mówią, gdzie stają, i pamiętający, jakimi słowy i gesty [illegible] pięknościami gór się zachwycają – idzie potem z paniami z Warszawy, i powtarza od słowa, staje, gdzie oni stawali, rozkoszą gestem się ze~~

Przewodnik, idący w Tatry na wycieczkę z malarzem lub poetą lub z obuma razem ~~[illegible]~~, trzyma się skromnie na uboczu, i miarkuje se pilnie, co oni mówią, gdzie stają, jakimi słowy i gesty pięknościami ~~Tatr~~ gór się zachwycają – a potem, gdy mu wypadnie iść np. z paniami z Warszawy, powtarza wiernie, co zasłyszał, deklamuje słowami poety, ~~[illegible] w powietrze [illegible] gestem zachwytu~~ porusza ręce się gestem malarza. Panie w zachwycie: „ah! co za lud! jak on umie pięknie!" itp.

Tak samo czyni niejeden z różnych fachów przewodnicy po galeriach piękna. I te same im grają zachwyty. ~~Oto i kultura~~!

V.

(Pomruk)

Rozmowa gór Tatrzańskich

Zawrat (do Świnicy) Czemuś tak, siostro, osowiała?

Świnica: Bo już po mojej krasie... ~~Dot teraz~~ Dotąd już setki gazd po głowie mi łaziło, a teraz... ~~już Krywaniu ponaszali pociągi~~ wagonami będą się wypadać... ~~Krywań pociągi~~ wstrętnie po- myśleć... Marzę podrzepnie Krywaniowi... ~~i ten i~~ wstyd... Jakże ja mu się ~~na~~ stojąc pokażę z tą łomnicą taką, złotnica... Już oczyma przepr!

Zawrat: Oh, ci ludzie! Obłazić i mnie ~~już~~ od lat... pnie się to, ci stwory, mnie patrzeć. Cóż to znaka? ~~Pojdzie tera~~ Pójdzie się potem nadośpiewać, że był na mojej głowie... Ot byle wesz potrafi... Jarzę półtora biedy było, pokiela nie przypełzły te niemrawe z doliny. To już nad sposób dokuczliwe... aż się i wiersz cnie... ~~[illegible]~~

Świnica. Biedny Gewont! ~~[illegible]~~ najbardziej wszystkich się dowozi... Jak ona tam Gewont ozgromna: On najbliżej... Już mu się pod

Zawrat: ~~Oj biedaczysko~~ Wbolizemu tka do Tatr – jak znowu...

Gewont (stęka.) Ludzie!

Świnica – ~~[illegible]~~ słyszysz, jak jęczy?

Zawrat. Dziwne to są stworzenia... jak mrowie dokuczliwe. Te śmieszne ~~[illegible]~~ ludki – taz w dole – ciesem Haluy ~~[illegible]~~ nie zaciemni robaczki... Ludzie oni też pnąć wyprawić... Hej! ogień! ciekny! piorunem!

Świnica: A jak też to prawy, gdy ustanie ~~[illegible]~~ na zawsze swoich mocków...

Zawrat. Że też to Kronos ~~[illegible]~~ chowa – nie wiedzieć, po co...

Świnica. Jak oni też wszystko brzydzą! Że też z Haluy tak ciosplaży...

Zawrat. Nie jego, mówi, rzecz...

Świnica – A czyja?

Zawrat. Kronosa...

Gewont... Ludzie!

Świnica. Wszak już po mojej krasie

Zawrat – Nie płacz – przetrwamy... Nie takie oni my przetrwali v Tatrach! Jedyny Kronos wieczny... Ojciec nasz... przetrwamy...

Beatrix i Wzór moralności.

Dziwne wrażenie sprawia budoar Berty, czyli „boskiej Beatryczy", jak jej się podobało nazywać niektórym z „nieśmiertelnych śmiertelników".

Łóżko, kanapa, okrągły stolik pod oknem, umywalnia, parę foteli i samowar — w taką tu spływa harmonijną całość, że się odrazu nasuwa na myśl: pokój do wszystkiego...

Też jaskrawa barwność mizernych sztychów, porozwieszanych nad łóżkiem i barbarzyński układ rozbitych kwiatów razi brakiem najprymitywniejszego smaku...

Mimo to, ~~Berta~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ postać „boskiej Beatryczy" nieźle rysuje się na tym rażącem tle, bo suknia jej z plamami ognistej salamandry jaśniej występuje niż jaskrawe kwiaty i obrazy...

Jedną małą, a raczej wielką sprzecznością do całości są dwa białe gołębie, całujące się zawzięcie nad wysokiem lustrem... Gorszą one „za przykładem bogów", nie [illegible] jednak nie ze swojej świętej niewinności, co w rozpacz wprawia „boską Beatryczę", ile razy wzrok jej na nie padnie.

Leży ona wyciągnięta na kanapie, z rękami założonemi pod głową, i, opuściwszy jedną nogę ku ziemi, którą się miarowo kołysze ruchem wahadłowym, spogląda od czasu do czasu na dwa białe gołębie, a za każdem wejrzeniem jakiś nieokreślony grymas wykwita na jej apatycznej twarzy... Można w nim czytać różnorodne uczucia; gniew i żal wychylają się przed innemi... One też rodzą dalsze myśli, jakby na usprawiedliwienie swego istnienia...

„Po co te gołębie takie niewinne?" — myśli Berta. Tu gniew ciągnie za sobą spokrewnione oburzenie... — Czemu mi się zdaje, że one są wiecznym dla mnie wyrzutem? Czemu?... — Tu zdziwienie nie wyłowi w myślach pytanie, na które odpowiedź tłumi powracający gniew, gniew nieubłagany do kogoś dawno w myślach pognębanego...

— Bodaj zmarniał, jak ja... — szepce przez zęby z wszystkimi strasznej nienawiści w oczach... — Bodaj... — szuka w myślach najgorszego wyrażenia, gdy natrafia po drodze na pełne źródło żalu, które też, wydobyte, z wnętrza rozlewa się po całem jej obliczu... Gniew, zielony, zgryźliwy, a żal [illegible] skrył się. Już oczy wypłynął drganiem na usta i rozsiadł się smutkiem na twarzy... Żal wielki, bolesny — żal za czemś wielkiem zgubionem, co ją robiło podobną do tych gołębi...

I myśli jej, — jak zabłąkane gołębie swych sadyb, lecą napowrót do gniazdy, gdzie ich żal, niby wiatr, popędził....

Wspomnienia ożywają się powracającą falą przeszłości, które skrył [illegible] zapomnienie

— Osiem lat już mija... — szeptały cicho wspomnienia — Pamiętasz? dzieckiem byłaś, u matki jedynką... Świat się uśmiechał. Ludzie kochali cię szczerze... Miałaś piętnaście lat — i ów katecheta chodził do szkoły. Przykłady umiałaś wszystkie — prawda? nie brakowało i sześć prawd wiary. I szczęśliwą byłaś... czy nie tak?... Aż raz... Katecheta kazał ci przyjść do siebie...

— Nie pamiętam!...' — szepnęła Berta przez zęby.

— „Nie poszłaś raz — cicho mówiły wspomnienia — Żal ci było obrazków dawanych innym dziewczętom... żal ci było... prawda?... Wszystkim dał, a ciebie ominął... Wstyd ci było... prawda?... I poszłaś po obrazek do niego...

— Po obrazek!... — syknęła Berta...

— „Czemuś wróciła blada do domu? — mówiły dalej wspomnienia — czemuś pacierzy nie mówiła na noc?.. czemuś, gdy matka szeptała, „dobranoc", i „kryła głowę w poduszki... czemu?... Świat ci się odmienił... Ludzie przestali kochać... To ci się zdawało!... Katecheta zajął się tobą, wszak dobrze... Dał list — pieniądze na drogę... i wyprawił cię nocą do miasta, „do służby"... Przyjechałaś... miasto śmiało ci się?... A matka przebyła raz na zawsze... Wiem, pisał o tem katecheta!... Zajechałaś do wielkiego hotelu — tak jest... do wielkiego.... Dziwiłaś się z początku? Nikomu ostatnio dziwić się nie powinien... Złorzeczyłaś? — komu?... Chciałaś uciec? jak?— Głodzili cię — prawda... A katecheta pisał, że całe miasto... wie — o niem?... Lękałaś się... a dziś? nie lękam się samej siebie?... Ludzie przestali cię kochać... Za to ty ich kochasz... kochasz wszystkich!... Ha! Twoja miłość...

— Ha! ha! ha! — zaśmiała się spazmatycznie Berta, a wspomnienia uciekły, przerażone śmiechem.

Przeciągnęła się leniwie, a jakby wyciągnąwszy ręki natrafiła na niskim obok stoliczku parę monet srebrnych. Wzięła jedną i podrzucając na dłoni, powtarzała bezmyślnie:

— Twoja miłość, twoja miłość...

Wzrok jej padł na wiszące gołębie. Zacisnęła dłoń kurczowo, a oczy wpatrzyły się przerażone w jeden punkt i jakąś straszną, beznadziejną rozpaczą... Błysły to trwało... Twarz powoli zwyciężył wyraz — bezmyślności i ociężałej apatyi. Po chwili wstała — podeszła do szafy i jednym haustem wypiła kieliszek koniaku...

— albo jedno, albo drugie... — szeptała z cynicznym uśmiechem — jedno nie... a więc drugie... Pan Bóg zresztą nie musi [illegible]...

Potem rzuciła monetę na stół i gniewnie przerzuciła pozostałe...

— Brakuje — szeptała do siebie — gdzieżbym podziała?... Marto!... — zawołała głośniej.

Weszła stara kobieta, przecierając zaspane oczy...

— Czego?..."

— Ktoś mi bierze pieniądze...

" Marta wytrzeszczyła przerażone oczy.

— Święta Magdaleno! przecież nie ja!... — I kobieta poczęła się sumitować na wszystkie wiadome i niewiadome rzeczy...

— No, już idź... Wiem — że nie ty... — Kobieta odeszła uspokojona...

8

13

V ~~Dym z wypalonych papierosów~~

I tak się ukryły ptaszki za ciemną
za ~~ciemnemi~~ [illegible] jak para kochanków
w mro~~cznym~~ [illegible] cichego wieczora —
i tak się zwierciadło osłoniło
dymem, jak ranną mgłą powierzchnia
szkliste na jeziorze...

I tak się ukryły

Zaciszny Kąt

3(V

nie żadnego wróciła...

– Mnie się zdaje, pani kochana, że chyba ten Kloryk, co to przychodzi, bo któżby inny?.. Tamci-to panowie wolej.. On zaś – to mi nigdy nic nie dał....

Wtem dało się słyszeć lekkie pukanie do drzwi.

– Pewnie on! – [illegible] niechże się pani strzeże!.. – dorzuciła Marta i poszła otworzyć...

Berta tymczasem „objaśniła" lampę, pieniądze schowała, zostawiwszy na stole dwie srebrne sztuki i siadła leniwie na tapczanie. Drzwi się otwarły. Wszedł blady człek w długiej „kapocie", schylony w kabłąk i z uśmiechem, który się zdawał przymuszeniem biedzić po gęgzakowatych cebulkowatych zmarszczkach twarzy, posunął się ku łóżkowi. Oczy łakomy mu, jak przyprawione...

Berta, gdy go zobaczyła w przeciwległym lustrze, wstręt przebiegł dreszczem po ciele, jednak z jakimś uśmiechem mdłokwaśnym, który ją samą zaprzeczał swoim istnieniem, zwróciła twarz i kiwnęła głową na bojaźliwe powitanie...

Stał naprzeciw i, napasłszy do woli bydlęce oczy jej widokiem, począł przysuwać się ku niej z jakimś niezdecydowanem postanowieniem, jak chłop, który zabierając się do zmięcia owsy, medytuje, który rękaw zakasać: lewy, czy prawy...

Berta patrzała na niego, na lustro, samowar, stołek i na kosztowną, z jednakim wyrazem apatyi.. I głębie już nie robiły na niej żadnego wrażenia...

– Albo jedno, albo drugie.. jedno nie – a więc drugie.... – zdawały się powtarzać ciągle bezmyślne jej oczy...

Blade światło lampy łagodziło jaskrawość różnorodnych barw i zacierało połyskiem rażące kontrasty w budnem [illegible] Bektryczy"... „dym" tylko z wypalonych papierosów wił się błękitnawymi wężykami, oplatając naro-niebieską girlandą długie lustro i dwa białe główki. Lustro bało się odbicia, a główki widoku... ludzi.

* * *

„Złodziej!" – krzyknęła Berta, chwytając szybko dwie srebrne sztuki, które już ukryły się w dłoni przestraszonego „Kloryka", który je wsuwał w głęboką kieszeń „kapoty!"

Zerwała się, z najwyższem niehamowanem oburzeniem, a oczy jej zaświeciły się, jak u tygrysicy...

„To ty śmiesz okradać mnie – mnie?!.. – ze zgrozą wszystkością [illegible] sycząc pieniędzy z! Ty najpodlejszy... – Toś ty śmiał dotknąć [illegible]...

Nie mogła znaleźć wyrazu, pieniąc się od złości i oburzenia – a „Kloryk" wił się, jak wąż schwytany.

– Ja cię oddam.. policyi!..." – zawołała głośniej. – Marto!.. – i rzuciła się ku drzwiom.

Lecz zaraz dziwna rzecz. „Kloryk" umiał się do jej stóp – i na kolanach począł jęczeć i błagać i czołgał się prosząc podarować „zapomnienie"... obiecywać złote góry

żeby go tylko nie wydała..

„Pani!..” jęczał „Kłoryk” — ja cię gospodynią zrobię, jak ~~tylko~~ żono!..

— Precz!... — wskazała ~~ręk~~ ręką drzwi. A w oczach jej tyle ~~by~~ było pogardy, w całej postaci tyle dumy, że prawdziwie była w tej chwili „boską Beatrycze.”

Ucałował jej stopy, które ze wstrętem odsuwała — i wy~~biegł~~ padł do kuchni i w pole.... Wtedy ~~weszła~~ zdziwiona Marta...

Berta stała chwilę, ~~tak~~ dumnie wyprostowana, ~~z~~ a w oczach zabłysła jakby radość, że przecież znalazł się ktoś ~~od niej~~ podlejszy od niej. ~~Ale~~ Ale naraz nasunęła jej myśl, że to jej sąd tylko, bo świat ani o ~~tem~~ nie przestanie nią mniej pogardzać, gdy tymczasem on, ten najobrzydliwszy złodziej, czczony będzie od ludzi, jako sługa boży i wzór moralności...

I rzuciła się na łóżko, z płaczem i bolesnym szlochaniem, bezsilny gniew przeciw ~~patentowanej~~ całemu światu, miotał jej piersi i owładnął wszystkie nerwy i struny, dawno zapomniane.

A gdy łzy przestały płynąć, suchem okiem patrzyła przed siebie i zimną od gniewu twarzą...

Nagle jakiś ogień błysnął w jej oczach. Wpadło jej na myśl, że przecież ten „wzór moralności” czołgał się przed chwilą u jej stóp... ~~Ten wyobraziciel~~ a zatem cała „patentowana moralność” klęczała przed nią, ~~prosząc zmiłowania~~ ~~wzgardzona zmiłowania~~ u ~~kogo~~?.. u ~~niej~~ niej, którą ~~pa~~ ta właśnie moralność najwyższą pogardą i błotem obrzuca!..

„Więc to tylko „moralność” na oko! Ha! ha!.. Przed nią padła na kolana... przed nią!.. ~~Ha! ha! ha~~ ha! ha! ha!

~~Śmiech~~ wszystkie ~~ciche~~, przeszedł się i przeszedł w nerwowe spazmy... ~~leciał echem~~ wybuchał echem na dziedziniec, i

I wybuchnęła takim ~~gł~~ szczerem śmiechem, że ~~stróżka~~ nabożna pani radczyni (która aż na dole zbudziło echo), szepnęła ~~[illegible]~~ gniewnie:

„Bezwstydna! jakie tam orgie wyprawia!..” — i przysunęła się bliżej do okna...

Jeden wieczór.

– Zostanie pan na herbatę?.. – pyta się pani Helena R., żona nauczyciela większego młodego Władysława, który niedawno gimnazyum ukończył – i przybył [illegible] czas na wsi. A jak przybył – [illegible]...

– Zostanę – odrzekł Władysław, [illegible] rzucając okiem na siedzącą obok pannę w pierwszej wiośnie życia....

– A więc bawcie się państwo!..." dorzuciła pani Helena i wyszła do kuchni...

– A więc bawmy się – powtórzył ironicznie Władysław. Chwila milczenia..

– Idzie pan w niedzielę na zabawę?...

– Nie wiem – może nie..

– A toby było dobre?.. [illegible] Sam pan projektował, i teraz chce ~~się~~ się pan ulotnić?.. Dlaczegoby pan nie miał iść?..

– Dlaczego?.. powtórzył Wład. namyślając się. – Może będę chory. Zresztą cóż tam po mnie! Państwo się i tak będziecie dobrze bawić!.. Szczęśliwiej Pani–panno Maryo!–

– Co panu dzisiaj jest?.. –..

– Co?.. Pani się mnie pyta?!..

– Bo pan tak jakoś dziwnie wygląda – czy pan chory?..

– Tak... chory..

– Na serce?!.. – uśmiechnęła się panna Marya.

– Niech pani nie żartuje. Bardzo panią proszę. Już i tak wściekłość mnie porywa.

– Pana wściekłość?.. – powtórzyła panna M. – i znów chwila milczenia.

– Dlaczego się pan tak ze mnie żartuje?..

– Bo chcę już na zawsze wyryć w sercu i w pamięci obraz pani... – odparł powoli i z namysłem Wł.. – Pani odjedzie....

– Może i nie...

– Doprawdy?!..

– E, nie.. muszę odjechać – muszę!.. Nie chcę już dłużej takiego życia znosić! Być zależną od takiej głupiej kobiety!.. Rzucę już raz tę guwernerkę – i podam się do szkoły na nauczycielkę.

– A jak będziemy panią prosić...

– To co?

– To może pani zostanie.

– Nigdy!!.. Wolę już nie wiem co, jak takie życie!.. [illegible] Uczę codziennie 6 godzin [illegible] nieposłusznych dzieciaków – a potem szyj, doglądaj, jak [illegible] i gorzej nawet!.. a za to zewsząd gniewy i wymówki ze strony pani, która się na niczem nie rozumie... To prawdziwie niemożebne!... Nie wiem poco ja tu przyjechała?.. A właściwie – dlaczego dotąd siedzę.. Pisze mi brat z Wiednia, żebym zaraz wyjechała...

– Ten potok słów przerwało wejście pani Heleny, która niosąc herbatę, [illegible] – prosiła młodych do stołu. Trzeba nadmienić, że pan Wł. był częstym gościem pani Heleny – a panna Marya [illegible] jeszcze dni.

Przy herbacie najwięcej mówiła pani Helena, mniej panna M., a najmniej p. Władysław. Z konieczności tylko odpowiadał.

– Co pan taki smutny? – spytała nareszcie pani H.

– Ja… wcale nie. Ot tak… trochę jestem zły.

– Czy to coś innego…. – przemówiła dwuznacznie p. H.

Po herbacie i ~~po~~ kilku zdawkowych podziękowaniach odezwała się pani H.:

– Jutro wyjeżdżamy ze godzinę przed na Kolej.

– A ja – rzekła p. M. – idę do domu.

– Pan nią [illegible] odprowadzi? nieprawdaż? – zwróciła się do Wł.

~~Ten~~ milczący skłonił głową.

– A więc… do widzenia!…

– Do widzenia!… jutro pani będzie?

– Będę.

– A pan także?

– Ja…?

– No jak ~~pani~~ będzie – to i pan. Co to obwijać w bawełnę – śmiała się p. Helena i ~~[illegible]~~ podała rękę ~~p.~~ Władysławowi.

~~[illegible]~~ Wieczór był cudny – jak w baśni… Jeden z tych ~~[illegible]~~ srebrnych zimowych wieczorów, który jak miły sen – na długo w pamięci się ~~[illegible]~~ [illegible]. Księżyc całym blaskiem rzucał na śnieżną szatę ziemi, strojąc brylantami z tak przeczarodziejską okolicę.

– Jaka cudna noc! – wyrwało się z podziwem z ust panny Maryi.

– Cudna! [illegible]! czarodziejska!… powtórzył z niekłamanym zapałem Władysław. Poetyczne jego usposobienie podniecała przecie ~~[illegible]~~ [illegible] tego zimowego wieczoru księżyca.

Chciałby tak z nią stąpać po śnieżnych gwiazdkach – i życie prześnić w takich jasnych wieczorach!…

I objęła ich [illegible] w miłej zadumie.

– Więc pani odjeżdża? – przerwał p. Władysław.

– Tak.

– Kiedy?

– Pojutrze…

– I nie wróci pani?

– Nie… Nie wiem, może. Może na wakacye z siostrą przyjadę [illegible] górskie okolice

– Czy pani mówi na serjo? – podchwycił ~~[illegible]~~ żywo Władysław. I radosny ~~[illegible]~~ blask oczu zlał się z bladym promieniem księżyca.

– Mówię panu – że może. Jeszcze nie wiem…. – I znów chwila milczenia. Księżyc [illegible] się toczy – i [illegible] figlarnie [illegible] młodych od [illegible] wyrwanie

– Pani odjeżdża… – znowu przerwał Wł.

– Tak… muszę. Co panu na tem zależy, żebym została?

– A… mam mówić prawdę?…

– Proszę.

– I tak czyta je pani zawsze w moich oczach.

– Wcale… – powtórzyła kokieteryjnie panna Maryja. I znów [illegible] [illegible]

…ze razt stanęli przed domem, w którym panna Marya zajmowała
…mas miejsce guwernantki.
…em. Muszę pana pożegnać.
…?.. Jak ten czas szybko leci?.. Noc taka cudna… – i wzrokiem prośby ją otoczył.
… się jeszcze wrócę Karmelicką… – I ~~poszli~~ ~~w~~ I wrócili powoli tą samą drogą.
… pan nie będzie na zabawie?.. No, to i ja nie będę.
…czego?… Pani się będzie bawić świetnie… przed odjazdem…
…yśli pan?.. – Szli dalej i dalej… wiele mówiąc bez słów.
…żałuję, żem panią poznał. – podjął niesmiało pan Wł.
I ja żałuję, żem pana poznała…
Pani odjeżdża…
– Przyjadę w lecie ze siostrą?..
– Ja zostanę tymczasem sam ze swymi myślami….
Egoistka! a ja?!..
Napisze pani…
Pan także – i to często!.

Niewiedzieć jak – z dłuższej obojętnej rozmowy przyszło do serdecznych wynurzeń. Czy księżyc podszepnął im odwagi – by powiedzieć sobie to, co dawno czuli, co oczy ich mówiły, a słowem nigdy żadne nie wspomniało?! Niewiedzieć, dość, że tym słowom końca nie było i naówczas księżyc z dziesięć razy odprowadzał ich i wracał się drogą, dwa cienie, jak szpiegi ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ szły ze nimi…
i Błękit, jak życie – zmienny. Chmurami, jak myślami zasłonił sino-blade łono. A księżyc się zachmurzył, ściągnął jasne promienie, zostawiając tylko, matowe światło i szarość, mglistą, posępną… Wiatr zimny powiał od zachodu –
– Maniu! – zimno ci…
– Już czas… nie czujecie? jak-to zleciało!! – Aż, dzwonek oczyścił klatkę od pomrużyku.
– Dobranoc – Maniu
– Dobranoc – Władziu!.. Na zabawie będziesz?
– Będę
– Ja także. Kiedy się zobaczymy?
– Jutro po lekcyi u p. Heleny R –
Dobrze. Dobranoc!
…branoc!!!.. ~~ni~~ Księżyc znów ciekawie wyjrzał zza chmurnej zasłony, ale już dojrzał serdecznego pocałunku ~~[illegible]~~ dwojga młodych dusz marzycielskich, które w jeden wyraz ~~[illegible]~~ jasny planami pół świata upostaciły, zatrzymując się myślami przy świętym ołtarzu…… Przyszłość ~~tak~~ ich mglista obyż ją mogli przeżyć szczęśliwie, jak ~~ten~~ ten czarodziejski jeden wieczór!…

29/[illegible] 96

Wł. Orkan

12

Ranek.

Wrażenia jednego poranku...

Połowa grudnia już minęła w dniach jednostajnych, ponurych i mglistych. ~~Trzeba spodziewać się resztki srebrnej zimy.~~ ~~Dla mglista poezya mglistość jesieni pociąga mnie~~ Mierzi mnie ta jednostajność tej szarości wszystkiego, wpadłem w apatyę, w jakieś lekkomyślne próżniactwo, które się może zrodziło z dwu tygodniowej słabości, jaką ~~w czasie przejściowe~~ byłem przybity w czasie pogranicza dwóch wszystkich pór. Reumatyzm znaczy dobrze ten czas sto razy przeklęty zdrowy. Fizycznie byłem już zdrów. Ale przechodziłem rekonwalescencyę tej długiej bezmyślności, gdy jednostajne szare dnie leżąc w łóżku ~~spędzałem~~ na me rusztem zajęciu: ~~malowaniu~~ liczeniu kółek na suficie lub kolejnego wyobrażania z malowideł ściennych najoryginalniejszych karykatur w ludzkich postaciach. Podczas długiej ~~choroby~~ słabości pracowała przynajmniej moja fantazya w obrębie czterech ścian i sufitu. Gdym się jednak podniósł z łoża boleści i ta ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ograniczona czynność myślowej funkcyi. Chodziłem ~~z kąta~~ od pieca do okna i napowrót. ~~Ale razy wzrok mimowoli przeszedł za szyby~~, Zdenerwowanie rosło w miarę ~~siły~~ rzucanego okiem za rosą przyćmione szyby... Oślimaczone drzewa, ołowiane niebo i wszystkie mglistości, nie ta jesienna, czysta — działały na mnie jak zestawienie najtwardszej krzyczących barw. A już najwięcej ta jednostajna szarość... Tak banalnie szarym może być tylko ten przeklęty kawałek ~~partyi~~ Kulawca ze swojemi domami, ustawionemi „do miary" z podwórzami wszystkich „składów" i blaszanymi dachami fabrycznych zabudowań. Zupełnie byłem nieobojętnym, czy „pojutrze" dalej niczem od „jutra". Wiedziałem, że i tak do mnie przyjdzie, choćbym się nogą z pokoju nie ruszył. W takiem apatycznem oczekiwaniu ~~[illegible]~~ wlokły mi się dni powoli, jak leniwe jaszczurki, co na słotę ze skalnych jam ~~wychodzą~~ wyłażą...

Wstawałem rano, „obijałem się" cały ~~boży~~ długi dzień od kąta do kąta, a wieczór szedłem spać z myślą, że jutro będę robił tosamo.

~~Nagle~~ Pewnego ranka otworzyłem oczy i ~~[illegible]~~ odwróciłem głowę ku ścianie, z obawy ~~przed szarością~~ nie chcąc patrzeć w okno na szarość, która i tak prześladować mnie będzie przez całą ~~boży dzień~~ dobę i wszędzie, dokąd pójdę.

Nagle zdziwienie ~~silniejsze nerwowe~~ pierwszy raz od trzech tygodni padło za wzrokiem na ścianę... Ujrzałem wyraźnie odbicie światła, promieni słonecznych... ~~Spojrzałem w okno~~ Spojrzałem w okno — ogień!..... Odżyłem. Już jestem na ziemi, już przy oknie — i podziwiam śliczny, cudowny, słoneczny, słowem boski ranek!.. „Przecież to człowiek jest marną rośliną." — myślałem, dziwiąc się pełno... taka zwykła rzecz.

— O właśnie, że niezwykła! — zaprzeczyła mi jedna myśla.

Nie chciałem się z myślami kłócić i wyszedłem

3

Wrażenia jednego ~~dnia~~ poranku..

na ulicę z ~~[illegible]~~ mocnem postanowieniem, że się przejdę po mieście, rozprostuję członki, wypróbuję tak dziś szczodrego słońca(?), a potem zabiorę się do pracy, którą mi trzytygodniowa surowość odjęła..... —

~~Myślałem, idąc, że zajdę na środek rynku, a potem pomyślę, w którą stronę mam się udać. Po drodze uderzył moje oczy duży gmach o dwóch wschodnich kopułach, stojący zamknięty na obszernym „placu" [illegible]~~

Z tą myślą szedłem ~~szeroką~~, gwarną ulicą ~~wprost na rynek~~. Na ulicach ruch prawdziwie(?) wielki. Środkiem krzyżują się powozy, dorożki ~~jednokonne~~, wozy i wózki jednokonne, a chodnikami suną się ludzie różnych klas i stanów ~~[illegible]~~... Zda się gorączka owładnęła nimi. W oczach każdego, mimo najsprzeczniejszych wyrazów nawet, maluje się jeden cel, ~~do [illegible]~~ za którym gonią, ~~[illegible]~~ jedno słowo, posiadające magiczną siłę przyciągania, a tem jest: interes. Ludzie na chodnikach najbardziej podobni są do ~~do~~ tych roboczych mrówek, które idą się i spieszą na wyższy szczyt(?), trzymając jedną ~~[illegible]~~ okruszynę(?) z drugich. Tylko jedna zachodzi różnica. Na tych szczytach(?) nie ma ~~[illegible]~~ próżniaczych i wstrząsających się osobników z mrówczego świata, nie ma owych ~~[illegible]~~ „wymuszonych(?) społeczników", których się zawsze z szkłami w kieszeniach spotyka — a tu na każdej ulicy można ich zoczyć... Spędzają oni rzeczywiście(?) całe boże dnie na lustracji wystaw sklepowych, pasąc się widokiem świeżych głów(?) szynek i salcesonów, przeklinając w duszy wszystkich i wszystko, co nie jest ich własnością. Żadnej bo ich zajęcia!.. Któż może przyjemniej spędzić czas?..

Szedłem ulicą ku rynkowi. Dziesięć razy usłyszałem „pardon"! i dziesięć razy zakląłem w duchu na ten grzeczny wyrazek. Taki jeden i drugi ~~[illegible]~~ miły przechodzień nastąpi ci na nagniotek, powie „pardon"! i z uśmiechem odchodzi dalej. ~~[illegible]~~ Że się słońce zarażnie(?), żeby „spomiędzy grzecznej „prozy" i ruszaj dalej, jeśli możesz. Zabawne życie. I nie bądź tu optymistą?!..

Na rynku odetchnąłem i pozbyłem się ~~[illegible]~~ myśli niespokojnych(?) stylu, jużem objął oczyma widnokrąg wszej świata, a nawet ludzi stworzonych do wielkości ~~[illegible]~~ zebrukowanego obszaru. Jeszcze mi tylko zdrowia, a potem restauracji — to nagle na środku rynku wyrósł las...., czyżby?... ah! prawda!.. Taż to już za tydzień wigilia!.." ~~[illegible]~~ Na myśl o lasu stanęło mi przed oczyma: pełne drzewko, obwieszone ~~[illegible]~~ cackami, ~~[illegible]~~ potem pszenne opłatki, a ~~potem~~ szumnie przesunęła się cała wigilijna „wieczerza" ~~od~~ począwszy ~~[illegible]~~ od karpiowej zupy, a skończywszy na apetycznej legumince...

Wnet jednak skarciłem się surowo za ten myślowy sybarytyzm — i ~~[illegible]~~ podszedłem do lasu... W nim, niby jedlinowym ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ zarośli, krzątały się [illegible], zdawało się, że je dopiero co wzięto, bo

obok, rzędem sadzone, rosły młode drzewka. Jakiś dziwny natłok, którymś mógł nazwać „przedmieszczańskim" panował w tym ruchliwym lasku, przerywany tylko dysonansowym odgłosem targów, jakie się odbywały „na skwerze"!

— Dwadzieścia... ani centa wyżej! — ~~wołał~~ sierdził się z zapalczywością otyły ~~staruszek~~ mieszczanin, na obliczu którego biurowa praca wyryła ~~[illegible]~~ wyraz nudnej monotonii.

— Nie będzie za tyle, mój panie, nie będzie... — ~~[illegible]~~ powtarzał chmurny leśnik, trzęsąc głową i drzewkiem, z którego leciały sopelki na brudny śnieg. — wyschnie...

— Nie, to nie!... — mruknął jegomość. — Chodź Julka!... Pociągnął stojącą obok dwa razy od niego grubszą jejmość. Postąpili parę kroków.

— A jak nie ~~dostanie~~ opuści?... — szepnęła ~~[illegible]~~ cicho. Jak zobaczy, że odchodzimy — to opuści!...

— To mi się niech zeschnie!... — donośnie gniewnie — chodź! Jak nie będzie, to się musi obejść...

~~— A Józia, a~~ Kobieta spojrzała żałośnie na niego.

— A Józia, a Frania mały...? One są tak cieszyły. Chybabyś sumienia nie miał...

Mąż stanął, pomyślał chwilę, wrócił szybko i wcisnął dwuzłotówkę ~~[illegible]~~ „leśnikowi!" Dalej ~~[illegible]~~ szybko ujrzałem odchodzącą kobietę, dźwigającą na ramieniu drzewko, wysokości długiego jałowca.

— Rodzino!... — zawołałem z głębi duszy ~~myślałem sobie~~ pod gotycki kościół, stojący nieruchomo — ileż ty masz ~~[illegible]~~ dziwnych ~~[illegible]~~, a jednak wielkich uciech, szczęść!...

I w myślach widziałem uśmiechnięte dzieci tej średniej warstwy wpatrzone się do drzewka, oświetlonego ~~[illegible]~~ kolorowemi świeczkami. Józię i Frania małego i rodziców, szczęśliwych w jednym z ostatnich dni całego roku szczęśliwością swoich dziatek... A jednak dziś wesołej jeden wieczór może oplakać długie dni umartwień. I widziałem w myślach ~~[illegible]~~ sieroty, którym nie ma kto kupić drzewka, i samotnych rodziców, którzy nie mają komu ~~[illegible]~~ stawić drzewka...

Stanąłem przed kościołem. Czarna, żałobna karta przykuła moje oko. Wyczytałem: „N. N. artysta-malarz, lat 30, zmarł w Paryżu, dwoje pozostałych dziatek....." A więc wdowiec? sieroty... Spojrzałem, by się dowiedzieć, że zwłoki spoczywają w krypcie klasztornej i bezwiednie tam skierowałem swoje kroki — bezwiednie..., jak ci przechodnie, jakim pozostali, obojętni na gwar uliczny. Przed kryptą jedna dziadówka zatrzymała moje oczy.

— Tutaj? — pytałem szeptem. — Kiwnęła głową. Zszedłem po kamiennych schodach i z drżeniem wsparłem się na ~~[illegible]~~ balustradzie i spojrzałem w dół... Na katafalku, obstawionym egzotycznymi zielonościami, ~~[illegible]~~ stała czarna trumna, a w niej spoczywał on... Twarz, bladą ~~grubo~~ dziwnie, przeźroczystą rysowała się ~~[illegible]~~ jasno na czarnym tle... Śmierć ~~[illegible]~~ wyrzeźbiła rysy śmiertelnym dłutem, wyostrzyła ostre surowe... ~~Tam~~ silnie zaciśnięte usta ściągły, zdaje się, całą energię, jaka w nim została na dalsze życie, a którą zrabowała wczesna śmierć ~~Tylko głębie oczne~~ Spokojna, surowa powaga ~~była jakaś~~ bielała martwe oblicze, tylko zapadłe głębie oczne patrzały przez życie, szeroko... ~~Wśród cyp- ciemnemi cyprysy, otoczone cmentarne trumną zielonemi wieńcami. Ostatni wieniec artysty...~~ ~~Wśród ciemnych~~ Otoczony wieńcem ciemnych cyprysów ~~[illegible]~~ z dróg cmentarnych — spoczywał „laureatus"!... Ostatni wieniec

artysty... Dwunaście świec jarzących rzucało (migotliwe) światło na czarne boki trumny i na sklepienie kuliste podziemia – dalej cienie się ~~kład~~ kładły ~~w chmury~~ na bocznych łukach i chowały po kątach bojaźliwie. ~~Grobowy nastrój~~ Panował tu grobowy nastrój... Cisza była wielka, święta cisza w całem podziemiu.

Zasłuchałem się wśród ciszy, wpatrzył w oblicze zmarłego i stałem tak długo wpół martwy, zaczarowany, przejęty ~~religij~~ grobowo-religijnym nastrojem tego miejsca cichego spokoju... A za każdym oddechem słyszałem wyraźnie cztery głuche, stłumione uderzenia serca.... Przyjdzie chwila – serce przestanie uderzać i spoczywam wśród cyprysów i cieni ~~[illegible]~~ i wiecznego spokoju, jak ten młody..... Zaczynam pragnąć nieśmiało tej ciszy i jakby zazdrościć tym... leżącym w spokoju. Taka wielka szczęśliwość – czuję, że to musi być ostatnie pragnienie skołatanego burzami życia człowieka.

Z ulicy dolatywał huk i głuchy turkot.... ~~Spojrz Odwróci~~ Spojrzałem w górę, skąd światło dzienne padało... Tam – ~~gor~~ gorączka, ruch, tętno życia –... tu – wielka, milcząca spokojność. Chciałem wyjść. Coś mię trzymało siłą. Trzy razy wracałem od okna, by się rozpływać myślami w ciszy. Czułem, że mi tu jakoś dobrze... Bałem się wracać tam – do tego ruchu...

Nagle dziwny, szczytliwy głos zamącił ~~ci~~ spokój podziemia. Jak przesypywane po szkle ziarna ostrego żwiru, jak... jak coś ogromnie drażniącego spadły w ciszę monotonne sylaby.... Dziadówka mówiła pacierz. Jak nakręcona pozytywka brzmiał jej głos nosowy ~~patetyczne~~ jedno-monotonnie. Czułem bezmyślność, ~~bezt~~ w powtarzaniu ~~obłąkane ci~~ ciągłym jednych form, bezczucie i beztreść w myślach powtarzającej..... Drgnąłem jakimś ~~mo~~ dziwnym uczuciem. Ta brutalność głosu ~~w tem miejscu~~ ~~to świętokradztwo~~ ~~wpadającego~~ powtarzającego z ~~bezmyślną~~ świętokradczą bezmyślnością najprostszą i najwspanialszą modlitwę i wpadającego ostrą ~~monotonią~~ monotonią w grobową ciszę – przerażało mnie. I uczułem całą zniewagę wyrządzaną uczuciu, modlitwie wiecznego spokoju na grobach – przez miliony.....

Wyszedłem szybko... ~~Mone~~ Wcisnąłem żebraczce monetę w zmarzłą dłoń. ~~O zmarłym~~ Ona, myśląc, że się chce dowiedzieć czego o zmarłym, poczęła mówić...

– Mówcie lepiej pacierz!... rzuciłem bezmyślnie, ~~i~~ i ~~wyj~~ poczułem ~~ju~~ znów myśleć, idąc w..

– Znam go dobrze. Zdaje mi się, że go znałem. To mój... krewny...

V.— Wypadłem na uliczny gwar. ~~Dookoła zgrzyt~~ Ogarnęło mię zgrzyt, huk, gwar, kotłowanie, ciżba.—

– Tak, to świat w rzeczywistości. Tamto – podziemia, groby!

"A jednak wrażenie [illegible] zaniosę krok w krok – wrażenie ~~bez~~ wiecznego spokoju.....

Przez co Sabała omijał jarmark w Kieżmarku.

Sabała w młodszych latach, jak zwykły wszyscy Krzeptowscy, lubił wyłazić przy czasie „po interesie myśliwskim" za wierchy. Czy przez to, że na tej tu, polskiej stronie było zwierzyny, czy że na cudzym terenie śmielej było wobec niebezpieczeństwa wyższego zrabusiowywać, liptowska strona, południowa, była celem wycieczek myśliwskich krzeptowskich Zakopiańców. Że zaś Liptacy, naród twardy, strzegli zaciekle praw swej własności, wywiązał się trwały stan wojenny między obu plemionami. Nierzadko też do krwawych przychodziło z przyczyny owej porachunków. Zaznaczyć przytem wypada, że wybitniejsi myśliwcy po tej i po tamtej stronie znali się z postaci i z imienia wzajem, jak walczący naprzeciw bohaterowie homeryccy.

Razu jednego rano wylazł Sabała na tamtą stronę, na Kozy. Ustrzelił capa — i ledwie zdążył flintę dla bezpieczeństwa śrutem nabić — wali: chmara Liptaków, którzy się tu wziąć zaszczycili, dwu pędzi. Nie było się ni chwilki co wahać. Odrzucił capa — i w nogi. Sadził jak jeleń, gdy kupa ogarów tuż-tuż ma go dopędzić. Przypadł nad osypisko — i w momencie, gdy miał skoczyć w przepaść, odwrócił się i wygarnął z flinty do tej kupy. Potem zjechał po piargu kilkadziesiąt metrów — i już wdziera się w górę po przeciwnym zboczu. Obziera się i widzi: kupa Liptaków stoi nad urwiskiem, widać wstrzymała ich flinta — a jeden z nich, znajomy

~~nu~~ dobrze, jedną ręką zasłania se wyfuknięte oko, a drugą grozi Sabale.

— Poczekajże ty ~~mój wołek~~, Jezus — woła — bo ja cię dojdę.

Sabała dobrze widział, co ~~a~~ ta zapowiedź znaczy. Dziś, [illegible] co mu ka ~~[illegible]~~ przeżyły, ~~[illegible]~~ szczęśliwie dostał się na polską stronę, nareszcie i ~~na~~ Krzeptówki, do domu.

Nikomu nic o przygodzie nie rzekł: to też cudno (cięgiem było) [illegible], którzy znali jego „[illegible] myślówki", że Sabała przestał wyłazić na „tamtą stronę"! Polować to polował, niejedną (jeszcze) ~~kozę~~, ba, niejednego niedźwiedzia, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ (jak się zdarzyło) ustrzelił, ale (jego) ~~tu~~, po stronie naszej; ~~[illegible]~~ a Liptowską starannie omijał.

No i minęło tak roków coś dwadzieścia. (Aż ci) Jednego razu ~~A~~ „Jak wielgomożny" pan Chałubiński powiada ~~do~~: ~~Sabała~~ ~~[illegible]~~ Zbieraj się wartko, Sabała, (mamy interes) pojedziemy do Kieżmarku na jarmark.

~~[illegible]~~ (Kieżmark w Liptowie, (wcale) tam nasz tyż na Podhalu i ~~[illegible]~~ oko dobre, stolica). Nie bardzo się to Sabale zwidziało, ale „coż ona beda Jak doktor [illegible] ~~[illegible]~~ powiedział".

Zaprzągł Sabała konie — pan Chałubiński siadł — ~~[illegible]~~ sam Sabała furmanił — pojechali. ~~[illegible]~~ W Kieżmarku ~~jak podczas jarmarku~~ jako w naszym zwyczajnie czasu jarmarku: konisiów, krowów, wozów, ludzi pełno, naród (i okolicy) ~~[illegible]~~ ([illegible]) [illegible], a samiprawie Liptacy.

Pan Chałubiński poszedł za interesem swoim po jarmarku — Sabała został przy wozie. ~~Dał koniom obroku~~, odwrócił ~~go~~ konia, dał mu obroku i coś koło wozu drobi, aż ci widzi: jakiś Liptak, o jednem oku, zachodzi z tej to z tej strony, i tem okiem się mu

[illegible]

przy-patrzuje...

Juści Sabała odrazu go poznał. Dusza mu w piersi się [illegible]. Ba! możecie wiedzieć! Jest na jarmarku w Luptowie.

— Tod to ty, Jasiu?.. — pyta się z uśmieszkiem ów Luptak.

Sabała już śmierć swoją widzi w tym wspomnieniu. Ale nie daje nic poznać po sobie, jeno najobojętniej odpowie:

— E o kogo się pytacie?

Stropiło to trochę jednookiego Luptaka.

— E-ś to pono ty Sabała? — rzecze już niepewniej.

— Ho! — uniósł Sabała kapelusza — Sabała!.. Niech mu ta Bóg grzechy odpuści... Dawno pomarł. Już kielkanaście roków minęło, jak my go pod trawnickem [illegible] leży.

I widzi, że Luptak trop zgubiony chwycił, już się dalej rozwodzić:

— Dy ta gwarzą, że ja niby do nieboszczyka Sabały mam być zawodnie podobny, boch ta niby krewniak jego i tak tyż samo jako on z Krzeptoskich... Ale ka mi ta do Sabały!.. Co ta z nim kogo równać! Był to cłek, był...

I zaczyna się Sabała (tj. siebie nieboszczyka) chwalić, jak jeno najlepiej umie.

Zmyliło to już do reszty Luptaka.

— Hm — podrapał się — niby on, i niby nie. Dwadzieścia roków minęło.

Nic nie wiedział, co sądzić. Poszedł po jarmarku, zwołał znajomców-Luptaków, co Sabałę jeszcze znali: może kto trafi...

4

Obstąpili Sabałę kołem, każdy się mu pilno przypatruje – (a Sabała kapelusza poprawia, ~~gdy kogoś widziano~~ wóz smaruje i świat mu niby ~~ca~~ poza wozem ledwo obejrzany) Nikt nie wie, co pierwsze powiedzieć. Wreszcie który... to prze...

Na to nadchodzi sam pan Chałubiński. Co niedziela w jarmarku, pospacerować. Zerknął ku ~~niemu Sabale~~ ~~pilnie~~ nadchodzącemu Ów z dala pokazał ~~niezwykle~~ Sabale, ~~za nie~~ zaczerwienił dał mu znak okiem („Ho! Ich wiadomo, iż nie trza było wiele ~~dużo~~, jak to i owemu Topatrz – zaraz zmiarkował, że coś się święci..)

Nim jeszcze doszedł ~~Którzy~~ się zbliżył, Luptacy ku niemu:

– Czy to Sabała? – pytają, wskazując na furmana.

~~Pa~~ Pan Chałubiński (już zrozumiał) coś tam odrzekł głową, że nie. ~~Podszedł do fury – już była gotowa~~. ~~W Tak to Luptacy się rozstąpili~~. Podszedł do fury (już była gotowa) ~~skoczył~~ obiał skoczył na siedzisko – Sabała przed nim, wyrwi bicie ~~zacisł konia~~: Luptacy się ~~rozstąpili~~.. zwolna rozstąpili...

„Ha!" – powiedział potem sam Sabała – „jakeśmy się z tego piekła koła wydobyli – jakem zacisł konia, to wóz jakby skrzydeł dostał... ~~Powietrzem się za nami łamało~~. Ino się drewna po drodze migały. – Juz-ci odtąd na jarmark do Kieżmarku nie jeździł."

Zanotował Wł. Orkan.

Wł. Orkan

16

Przez co Sabała omijał jarmak w Keżmarku .

Sabała w młodszych leciech, jak zresztą wszyscy Krzeptowscy, lubiał wylatować przy czasie po „interesie myśliwskim" za wierchy. Czy przez to, że przy tej tu, polskiej stronie mniej było zwierzyny, czy że na cudzym gruncie śmielej było wobec niebezpieczeństwa większego raubszycować, liptowska strona południowa Tatr była celem myśliwskich wycieczek skrzydlatych Zakopiańców. Że zaś Liptacy, naród twardy, strzegli zacięcie prawa swej własności, wywiązał się trwały stan wojenny, między obomy plemionami. Nierzadko też do krwawych przychodziło z przyczyny owej porachunków. Zaznaczyć przytem wypada , że wybitniejsi myśliwcy po tej i po tamtej stronie znali się z postawy i z imienia wzajem, jak walczący naprzeciw bohaterowie homeryccy.

Więc jednego razu wyleciał Sabała na tamtą stronę, na kozy. Ustrzelił capa i zaledwie zdążył flintę dla bezpieczności śrutem nabić- widzi: churma Liptaków, którzy się tu widać zasadzili, doń pędzi. Nie było się ni chwili co ważyć. Ostawił capa i- w ucieki. Sadził jak jeleń gdy kupa ogarów tuż- tuż ma go dopędzić. Przypadł nad osypisko- i w momencie, gdy miał chybnąć w przepaść, odwrócił się i wygarnął z flinty do tej kupy. poczem zjechał po piergu kilkadziesiąt metrów- i już wdzierał się w górę poprzeciwnym zboczu. Obziera się i widzi: kupa Liptaków stoi nad urwiskiem widać wstrzymała ich flinta- a jeden z nich znajomy mu dobrze, jedną ręką zasłania se wyfuknięte oko, a drugą grozi Sabale.

- Pocekajze se, Jasiu - woła - bo ja cie dońdę.

Sabała dobrze wiedział, co ta zapowiedź znaczy już się też i nie obejrzał więcej. Darł, co sił ku przełęczy, szczęśliwie dostał się na polską stronę, nareszcie i na Krzeptówki, do domu. Nikomu nic o przygodzie nie rzekł; to też cudno nieraz onym było, którzy znali jego „naturę myśliwską", że Sabała przestał wylatować na "tamtą stronę". Polować bo polował, niejedną jeszcze kozę, ba, niejednego niedźwiedzia, /jak się

zdarzyło/ ustrzelił, ale jeno tu, po stronie uaskiej, a liptowską statecznie omijał.

No i minęło tak roków coś dwadzieścia, aż ci jednego razu "Ich Wielgomożność" pan Chałubiński" powiada: Zbierzcie sie wartko Sabała, mam interes pojedziemy do Kieżmarku na jarmak.

Kieżmark w Liptowie, wiecie jak Nowy Targ na Podhalu: oko istne, stolica. Nie bardzo się to Sabale zwidziało, ale "coz sie bee Ich Miłości panu Chałubińskiemu prociwił".

Zaprzągł Sabała konia - pan Chałubiński siadł - sam Sabała furmanił - pojechali. W Kieżmarku - jako mieście zwyczajnie czasu jarmarku: harmideru, krzyku, wozów, ludzi pełno, naród z okolicy dalekich ściągnięty, a sami prawie Luptacy.

Pan Chałubiński poszedł za interesem swoim po jarmarku - Sabała został przy wozie. Oduznął Konia ,dał mu obroku i coś koło wozu dudrze, aż ci widzi: jakiś Luptak, o jednem oku, zachodzi z tej to z tej strony, i tem okiem się mu przypatruje.....

Juścić Sabała odrazu go poznał. Dusza mu w pięty uciekła. Ba! możecie wiedzieć: Jest na jarmarku w Luptowie.

Toś to ty Jasiu - rzecze z uśmiechem ów Luptak.

Sabała już śmierć swoją widzi w tym uśmiechu. Ale nie daje nic poznać po sobie, jeno najobojętniej /od/powiada:

-E o kogos sie pytacie?

Stropiło to trochę jednookiego Luptaka.

-E-ś to pono ty Sabała? - rzecze już niepewniej.

-Ho! - uniósł Sabała kapelusza - Sabała!.. Niecha mu ta Bóg grzychy odpuści.. Dawno pomar. Już kilka roków usło, jak pod trawnikiem leży.

I widząc, że Luptak trop zmylony chwycił, jął się dalej rozwodzić.

-Dy ta gwarzą, ze ja niby do nieboszczyka Sabały mam być zwoistnie podobny, boch ta niby krześniak jego i tak tyż samo jako on z Krzeptoskich. Ale ka mi ta do Sabały! Co ta z nim kogo równać! Był to człeką był!...

I zaczyna się Sabała tj. siebie nieboszczyka chwalić, jak jeno najlepiej umie.

Zmyliło to już do reszty Luptaka. Hm - począł dumać - niby on i niby nie. Dwadzieścia roków minęło.

Nic nie wiedział co sądzić. Poszedł po jarmarku, zwołał zna-

 18

jomców- Luptaków, co Sabałę Jasia znali: może kto trafi....

Obstąpili Sabałę kołem, każdy się mu pilno przypatruje-/a Sabała kapelusza poprawia, wóz smaruje: świat mu niby poza wozem całkiem obujętny/. Nikto nie wie co pewnie powiedzieć. Dwadzieścia lat to przecie....

Na to nadchodzi sam pan Chałubiński. Co miał w jarmarku, posprawiał. Zerknął ku nadchodzącemu już zdaleka Sabała, nieznacznie dał mu znak okiem /"Ho! Ich Wielgomożności nie trza było wiele, jak to insemu łopatą - zaraz zmiarkował ze cosi się święci.../

Nim jeszcze do wozu się zbliżył, Luptacy ku niemu:

- Cy to Sabała?- pytają, wskazując na furmana.

Pan Chałubiński /już zrozumiał!a tu mu uż odkręcił głową; że nie. Podszedł do fury już była gotowa/ skoczył na siedzisko - Sabała przed nim, ujął lejce: Luptacy sie zwolna rozstąpili....

"Ha!-" powiada potem sam Sabała - "jak my sie z tego piekła wydobyli - jakech zaciął konia- to wóz jakby skrzideł dostał.... Ino sie drzewa migały.- Jużech odtąd na jarmark do Kieżmarku niejeździł."

Wł Orkan

Przez co Sabała omijał jarmak w Keżmarku .

Sabała w młodszych leciech, jak zresztą wszyscy Krzeptowscy, lubiał wylatować przy czasie po intersie myśliwskim" za wierchy. Czy przez to, że przy tej tu, polskiej stronie mniej było zwierzyny, czy że na cudzym gruncie śmielej było wobec niebezpieczeństwa większego raubszycować, liptowska strona południowa Tatr była celem myśliwskich wycieczek skrzydlatych Zakopieńców. Że zaś Liptacy, naród twardy, strzegli zacięcie prawa swej własności, wywiązał się trwały stan wojenny między obomy plemionami. Nierzadko też do krwawych przychodziło z przyczyny owej porachunków. Zaznaczyć przytem wypada , że wybitniejsi myśliwcy po tej i po tamtej stronie znali się z postawy i z imienia wzajem, jak walczący naprzeciw bohaterowie homeryccy.

Więc jednego razu wyleciał Sabała na tamtą stronę, na kozy. Ustrzelił capa i zaledwie zdążył flintę dla bezpieczności śrutem nabić widzi: churma Liptaków, którzy się tu widać zasadzili, doń pędzi. Nie było się ni chwili co ważyć. Ostawił capa i- w ucieki. Sadził jak jeleń gdy kupa ogarów tuż- tuż ma go dopędzić. Przypadł nad osypisko- i w momencie, gdy miał chybnąć w przepaść, odwrócił się i wygarnął z flinty do tej kupy. poczem zjechał po piergu kilkadziesiąt metrów- i już wdziera się w górę poprzeciwnym zboczu. Obziera się i widzi: kupa Liptaków stoi nad urwiskiem widać wstrzymała ich flinta- a jeden z nich znajomy mu dobrze, jedną ręką zasłania se wyfuknięte oko, a drugą grozi Sabale.

- Pocekajze se, Jasiu - woła - bo ja cie dońdę.

Sabała dobrze wiedział, co ta zapowiedź znaczy już się też i nie obejrzał więcej. Darł, co sił ku przełęczy, szczęśliwie dostał się na polską stronę, nareszcie i na Krzeptówki, do domu. Nikomu nic o przygodzie nie rzekł: to też cudno nieraz onym było, którzy znali jego „naturę myśliwską", że Sabała przestał wylatować na "tamtą stronę". Polować bo polował, niejedną jeszcze kozę, ba, niejednego niedźwiedzia, jak się

zdarzyło/ ustrzelił, ale jego tu, po stronie uaskiej, a Liptowską statecznie omijał.

No i minęło tak roków coś dwadzieścia, aż ci jednego razu "Ich Wielgomożność" pan Chałubiński" powiada: Zbierzcie sie wartko Sabała, mam interes pojedziemy do Keżmarku na jarmak.

Keżmark w Liptowie, wiecie jak Nowy Targ na Podhalu: oko istne, stolica. Nie bardzo się to Sabale zwidziało, ale "coz sie bee Ich Miłości panu Chałubińskiemu prociwił".

Zaprzągł Sabała konia - pan Chałubiński siadł - sam Sabała furmanił - pojechali. W Keżmarku - jako mieście zwyczajnie czasu jarmarku: harmideru, krzyku, wozów, ludzi pełno, naród z okolicy dalekich ściągnięty, a sami prawie Liptacy.

Pan Chałubiński poszedł za interesem swoim po jarmarku - Sabała został przy wozie. Oduznął Konia ,dał mu obroku i coś koło wozu dudrze, aż ci widzi: jakiś Liptak, o jednem oku, zachodzi z tej to z tej strony, i tem okiem się mu przypatruje.....

Juścić Sabała odrazu go poznał. Dusza mu w pięty uciekła. Ba! możecie wiedzieć: Jest na jarmarku w Liptowie.

Toś to ty Jasiu - rzecze z uśmiechem ów Liptak.

Sabała już śmierć swoją widzi w tym uśmiechu. Ale nie daje nic poznać po sobie, jeno najobojętniej /od/powiada:

-E- o kogoś sie pytacie?

Stropiło to trochę jednookiego Liptaka.

-E-ś to pono ty Sabała? - rzecze już niepewniej.

-Ho! - uniósł Sabała kapelusza - Sabała!.. Niecha mu ta Bóg grzychy odpuści.. Dawno pomar. Już kilka roków usło, jak pod trawnikiem leży.

I widząc, że Liptak trop zmylony chwycił, jął się dalej rozwodzić.

-Dy ta gwarzą, ze ja niby do nieboszczyka Sabały mam być żywo istnie podobny, boch ta niby krześniak jego i tak tyż samo jako on z Krzeptoskich Ale ka mi ta do Sabały! Co ta z nim kogo równać! Był to człek był!...

I zaczyna się Sabała tj. siebie nieboszczyka chwalić, jak jeno najlepiej umie.

Zmyliło to już do reszty Liptaka. Hm - począł dumać - niby on i niby nie. Dwadzieścia roków minęło.

Nic nie wiedział co sądzić. Poszedł po jarmarku, zwołał zna-

jomców- Liptaków, co Sabałę Jasia znali: może kto trafi....

Obstąpili Sabałę kołem, każdy się mu pilno przypatruje-/a Sabała kapelusza poprawia, wóz smaruje: świat mu niby poza wozem całkiem obujętny/ Nikto nie wie co pewnie powiedzieć. Dwadzieścia lat to przecie...

Na to nadchodzi sam pan Chałubiński. Co miał w jarmarku, posprawiał. Zerknął ku nadchodzącemu już zdaleka Sabała, nieznacznie dał mu znak okiem /"Ho! Ich Wielgomożnośći nie trza było wiále, jak to insemu łopatą - zaraz zmiarkował ze cosi się święci.../

Nim jeszcze do wozu się zbliżył, Luptacy ku niemu:

- Cy to Sabała?- pytają, wskazując na furmana.

Pan Chałubiński /już zrozumiał!a ten już odkręcił głową; że nie. Podszedł do fury już była gotowa/ skoczył na siedzisko - Sabała przed nim, ujął lejce: Luptacy sie zwolna rozstąpili....

"Ha!-" powiada potem sam Sabała - "jak my sie z tego piekła wydobyli - jakech zaciął konia- to wóz jakby skrzideł dostał.... Ino sie drzewa migały.- Jużech odtąd na jarmark do Kieżmarku niejeździł."

Przez co Sabała omijał jarmak w Keżmarku .

Sabała w młodszych leciech, jak zresztą wszyscy Krzeptowscy, lubiał wylatować przy czasie po intersie myśliwskim" za wierchy. Czy przez to, że przy tej tu, polskiej stronie mniej było zwierzyny, czy że na cudzym gruncie śmielej było wobec niebezpieczeństwa większego raubszycować, liptowska strona południowa Tatr była celem myśliwskich wycieczek skrzydlatych Zakopieńców. Że zaś Luptacy,naród twardy,strzegli zacięcie prawa swej własności, wywiązał się trwały stan wojenny między obomy plemionami. Nierzadko też do krwawych przychodziło z przyczyny owej porachunków. Zaznaczyć przytem wypada , że wybitniejsi myśliwcy po tej i po tamtej stronie znali się z postawy i z imienia wzajem, jak walczący naprzeciw bohaterowie homeryccy.

Więc jednego razu wyleciał Sabała na tamtą stronę, na kozy. Ustrzelił capa i zaledwie zdążył flintę dla bezpieczności śrutem nabić widzi:churma Luptaków, którzy się tu widać zasadzili, doń pędzi. Nie było się ni chwili co ważyć. Ostawił capa i- w ucieki. Sadził jak jeleń gdy kupa ogarów tuż- tuż ma go dopędzić. Przypadł nad osypisko- i w momencie, gdy miał chybnąć w przepaść, odwrócił się i wygarnął z flinty do tej kupy. poczem zjechał po piergu kilkadziesiąt metrów- i już wdziera się w górę poprzeciwnym zboczu. Obziera się i widzi: kupa Luptaków stoi nad urwiskiem widać wstrzymała ich flinta- a jeden z nich znajomy mu dobrze, jedną ręką zasłania se wyfuknięte oko, a drugą grozi Sabale.

- Pocekajze se, Jasiu - woła - bo ja cie dońdę.

Sabała dobrze wiedział, co ta zapowiedź znaczy już się też nie obejrzał więcej. Darł, co sił ku przełęczy, szczęśliwie dostał się na polską stronę, nareszcie i na Krzeptówki, do domu. Nikomu nic o przygodzie nie rzekł: to też cudno nieraz onym było, którzy znali jego naturę myśliwską", że Sabała przestał wylatować na "tamtą stronę". Polować bo polował, niejedną jeszcze kozę, ba, niejednego niedźwiedzia,/jak się

zdarzyło/ ustrzelił, ale jeno tu, po stronie ~~czeskiej~~ naskiej, a liptowską statecznie omijał.

No i minęło tak roków coś dwadzieścia, aż ci jednego razu "Ich Wielgomożność ~~xxxx~~ pan Chałubiński" powiada: Zbierzcie sie wartko Sabała, mam interes pojedziemy do Kieżmarku na jarmak.

Kieżmark w Luptowie, wiecie jak Nowy Targ na Podhalu: oko istne, stolica. Nie bardzo się to Sabale zwidziało, ale "coz sie bee Ich Miłości panu Chałubińskiemu prociwił".

Zaprzągł Sabała konia - pan Chałubiński siadł - sam Sabała furmanił - pojechali. W Kieżmarku - jako mieście zwyczajnie czasu jarmarku: harmidru, krzyku, wozów, ludzi pełno, naród z okolicy dalekich ściągnięty, a sami prawie Luptacy.

Pan Chałubiński poszedł za interesem swoim po jarmarku - Sabała został przy wozie. Oduznął Konia ,dał mu obroku i coś koło wozu dudrze, aż ci widzi: jakiś Luptak, o jednem oku, zachodzi z tej to ~~xxxx~~ z tej strony, i tem okiem się mu przypatruje.....

Juścić Sabała odrazu go poznał. Dusza mu w pięty uciekła. Ba! możecie wiedzieć: Jest na jarmarku w Luptowie.

Toś to ty Jasiu - rzecze z uśmiechem ów Luptak.

Sabała już śmierć swoją widzi w tym uśmiechu. Ale nie daje nic poznać po sobie, jeno najobojętniej /od/powiada:

-E-~~x ka~~ o kogoś sie pytacie?

Stropiło to trochę jednookiego Luptaka.

-E-é to pono ty Sabała? - rzecze już niepewniej.

-Ho! - uniósł Sabała kapelusza - Sabała!.. Niecha mu ta Bóg grzychy odpuści.. Dawno pomar. Już kilka roków usło, jak pod trawnikiem leży.

I widząc, że Luptak trop zmylony chwycił, jął się dalej rozwodzić.

-Dy ta gwarzą, ze ja niby do nieboszczyka Sabały mam być ~~swo~~ żywo istnie podobny, boch ta niby krześniak jego i tak tyż samo jako on z Krzeptoskich Ale ka mi ta do Sabały! Co ta z nim kogo równać! Był to człek był!...

I zaczyna się Sabała tj. siebie nieboszczyka chwalić, jak jeno najlepiej umie.

Zmyliło to już do reszty Luptaka. Hm - począł dumać - niby on i niby nie. Dwadzieścia roków minęło.

Nic nie wiedział co sądzić. Poszedł po jarmarku, zwołał zna-

jomców- Liptaków, co Sabałę Jasia znali: może kto trafi....

Obstąpili Sabałę kołem, każdy się mu pilno przypatruje-/a Sabała kapelusza poprawia, wóz smaruje: świat mu niby poza wozem całkiem obojętny/ Nikto nie wie co pewnie powiedzieć. Dwadzieścia lat to przecie...

Na to nadchodzi sam pan Chałubiński. Co miał w jarmarku, posprawiał. Zerknął ku nadchodzącemu już zdaleka Sabała, nieznacznie dał mu znak okiem /"Ho! Ich Wielgomożności nie trza było wiele, jak to insemu łopatą - zaraz zmiarkował ze cosi się święci.../

Nim jeszcze do wozu się zbliżył, Luptacy ku niemu:

- Cy to Sabała?- pytają, wskazując na furmana.

Pan Chałubiński /już zrozumiał!a temu ~~odwrócił~~ odkręcił głową, że nie. Podszedł do fury już była gotowa/ skoczył na siedzisko - Sabała przed nim, ujął lejce: Luptacy sie zwolna rozstąpili....

"Ha!-" powiada potem sam Sabała - "jak my sie z tego piekła wydobyli - jakech zaciął konia- to wóz jakby skrzideł dostał.... Ino sie drzewa migały.- Jużech odtąd na jarmark do Kieżmarku niejeździł."

Przez co Sabała omijał jarmak w Keżmarku.

Sabała w młodszych leciech, jak zresztą wszyscy Krzeptowscy, lubiał wylatować przy czasie po intersie myśliwskim" za wierchy. Czy przez to, że przy tej tu, polskiej stronie mniej było zwierzyny, czy że na cudzym gruncie śmielej było wobec niebezpieczeństwa większego raubszycować, liptowska strona południowa Tatr była celem myśliwskich wycieczek skrzydlatych Zakopieńców. Że zaś Liptacy, naród twardy, strzegli zacięcie prawa swej własności, wywiązał się trwały stan wojenny między obomy plemionami. Nierzadko też do krwawych przychodziło z przyczyny owej porachunków. Zaznaczyć przytem wypada, że wybitniejsi myśliwcy po tej i po tamtej stronie znali się z postawy i z imienia wzajem, jak walczący naprzeciw bohaterowie homeryccy.

Więc jednego razu wyleciał Sabała na tamtą stronę, na kozy. Ustrzelił capa i zaledwie zdążył flintę dla bezpieczności śrutem nabić widzi: churma Liptaków, którzy się tu widać zasadzili, doń pędzi. Nie było się ni chwili cóś ważyć. Ostawił capa i- w ucieki. Sadził jak jeleń gdy kupa ogarów tuż- tuż ma go dopędzić. Przypadł nad osypisko- i w momencie, gdy miał chybnąć w przepaść, odwrócił się i wygarnął z flinty do tej kupy. poczem zjechał po piergu kilkadziesiąt metrów- i już wdziera się w górę poprzeciwnym zboczu. Obziera się i widzi: kupa Liptaków stoi nad urwiskiem widać wstrzymała ich flinta- a jeden z nich znajomy mu dobrze, jedną ręką zasłania se wyfuknięte oko, a drugą grozi Sabale.

- Pocekajze se, Jasiu - woła - bo ja cie dońdę.

Sabała dobrze wiedział, co ta zapowiedź znaczy już się też nie obejrzał więcej. Darł, co sił ku przełęczy, szczęśliwie dostał się na polską stronę, nareszcie i na Krzeptówki, do domu. Nikomu nic o przygodzie nie rzekł: to też cudno nieraz onym było, którzy znali jego naturę myśliwską", że Sabała przestał wylatować na "tamtą stronę". Polować bo polował, niejedną jeszcze kozę, ba, niejednego niedźwiedzia. Jak sie

zdarzyło/ ustrzelił, ale jego tu, po stronie ~~czeskiej~~ naskiej, a Liptowską statecznie omijał.

No i minęło tak roków coś dwadzieścia, aż ci jednego razu "Ich Wielgomożność" ~~xxxxx~~ pan Chałubiński" powiada: Zbierzcie sie wartko Sabała, mam interes pojedziemy do Kreżmarku na jarmak.

Kieżmark w Liptowie, wiecie jak Nowy Targ na Podhalu: oko istne, stolica. Nie bardzo się to Sabale zwidziało, ale "coz sie Ich Miłości panu Chałubińskiemu prociwił".

Zaprzągł Sabała konia - pan Chałubiński siadł - sam Sabała furmanił - pojechali. W Kieżmarku - jako mieście zwyczajnie czasu jarmarku: harmideru, krzyku, wozów, ludzi pełno, naród z okolicy dalekich ściągnięty, a sami prawie Liptacy.

Pan Chałubiński poszedł za interesem swoim po jarmarku - Sabała został przy wozie. Oduznął Konia ,dał mu obroku i coś koło wozu dudrze, aż ci widzi: jakiś Liptak, o jednem oku, zachodzi z tej to~~xxxx~~ z tej strony, i tem okiem się mu przypatruje.....

Juścić Sabała odrazu go poznał. Dusza mu w pięty uciekła. Ba! możecie wiedzieć: Jest na jarmarku w Liptowie.

Toś to ty Jasiu - rzecze z uśmiechem ów Liptak.

Sabała już śmierć swoją widzi w tym uśmiechu. Ale nie daje nic poznać po sobie, jeno najobojętniej /od/powiada:

-E-a ~~ka~~ o kogoś sie pytacie?

Stropiło to trochę jednookiego Liptaka.

-E-ś to pono ty Sabała? - rzecze już niepewniej.

-Ho! - uniósł Sabała kapelusza - Sabała!.. Niecha mu ta Bóg grzychy odpuści.. Dawno pomar. Już kilka roków usło, jak pod trawnikiem leży.

I widząc, że Liptak trop zmylony chwycił, jął się dalej rozwodzić.

-Dy ta gwarzą, ze ja niby do nieboszczyka Sabały mam być ~~swo~~ żywo istnie podobny, boch ta niby krześniak jego i tak tyż samo jako on z Krzeptoskich Ale ka mi ta do Sabały! Co ta z nim kogo równać! Był to człek był!...

I zaczyna się Sabała tj. siebie nieboszczyka chwalić, jak jeno najlepiej umie.

Zmyliło to już do reszty Liptaka. Hm - począł dumać - niby on i niby nie. Dwadzieścia roków minęło.

Nic nie wiedział co sądzić. Poszedł po jarmarku, zwałał zna-

jomców- Liptaków, co Sabałę Jasia znali: może kto trafi....

Obstąpili "abałę kołem, każdy się mu pilno przypatruje-/a Sabała kapelusza poprawia, wóz smaruje: świat mu niby poza wozem całkiem obujętny/ Nikto nie wie co pewnie powiedzieć. Dwadzieścia lat to przecie...

Na to nadchodzi sam pan Chałubiński. Co miał w jarmarku posprawiał. Zerknął ku nadchodzącemu już zdaleka Sabała, nieznacznie dał mu znak okiem /"Ho! Ich Wielgomożnośći nie trza było wiéle, jak to insemu łopatą - zaraz zmiarkował ze cosi się święci.../

Nim jeszcze do wozu się zbliżył, Luptacy ku niemu:

- Cy to Sabała?- pytają, wskazując na furmana.

Pan Chałubiński /już zrozumiał:a to / odwrócił głową, że nie. Podszedł do fury już była gotowa/ skoczył na siedzisko - Sabała przed nim, ujął lejce: Luptacy sie zwolna rozstąpili....

"Ha!-" powiada potem sam Sabała - "jak my sie z tego piekła wydobyli - jakech zaciął konia- to wóz jakby skrzideł dostał....
Ino sie drzewa migały.- Jużech odtąd na jarmark do Kieżmarku niejeździł."

Kur. Lwow.
25 XII

1

28

Betlejem i Assyż.

„I postawię dla ciebie przymierze dnia onego ze zwierzem polnym i z ptactwem powietrznem i z płazem ziemskim, a łuk i miecz i wojnę wygładzę z ziemi: i sprawię, iże bezpiecznie mieszkać będą."

(Ozeasz, II, 18.)

Narodzenie Boga w człowieku...
Zasłyszane, jeno ~~to~~ niezupełnie.
Ze słów powyższych snadnie można zrozumieć, że Bóg zrodził się w duszy człowieka, kiedy ten poczuł się Panem i mógł ~~prawa~~ nowe twórzyć, jako też zawierać ze słabszem stworzeniem przymierze.

Lecz ze słowa „wygładzę" rozumiemy, że przymierza [illegible] groźny, Jehowa. ~~A oto Betlejem~~...

A oto boskie zdarzenie: Betlejem... I obraz każdemu znany: stajenka prosta, ~~żłóbeczny~~ ~~Boży~~ żłób, bardzo szczupła, Boskie Osoby, ~~stół~~ przy żłobie zaś wół i osioł, ~~którzy~~ ~~([illegible])~~, na drogę i nad odrzwiami ptaszki różnego ~~wszelakiego~~ gatunku.

Tu jużci nie „przymierze" wroga z wrogiem, lecz jakby pewne zżycie się i przyzwyczajenie; jakby patriarchalny stosunek pana z czeladzią; z jednej strony życzliwość, a z drugiej przywiązanie ludzi nieletnich — z drugiej zaufanie, bezpieczność, a wyrażanie hołdu i ofiarowanie usług: ptaszki śpiewają, co która pamięta, a wół i z osłem chuchają ciepłem na Dziecinę, przyczem „klękają, adorują", jak mówi Kolenda — adorują Boga w człowieku.

2

Jest w tej „stajence" jakieś wiersz nieme o czasach przed-Ablowych, kiedy „wszystko mówić umiało" (czyli człowiek przestał rozumieć ich mowę, gdy się zbuntował), a zarazem jakoby sen z dalekiej przeszłości Harmonii. Coś, co się nie wyraża, lecz co się czuje, jak powietrze ojczyste lub zew z lat, gdzie się przeżyło z pasterzami swobodne lata wzrostu -: tak to powietrze „stajenki betlejemskiej wieści o czemś i wzrusza...

Tu przez dziwne skojarzenie Betlejem z wilją, raczej z pamięcią wilii z lat dziecięcych przychodzi mi na oczy serca ojciec mój... słowianin, zamiłowany w przyrodzie i rozumiejący jej ducha - on, który znał mowę ptaków, jak nikto, a z bydlętami, jako gazda tak się zaobchodzić umiejący, iż gdy woły - tive ze stajni rozpuścił - przedawić, to wołom - trzeźwi - łzy z ócz ciekły...

Przypomina mi się jakaś wieczerzy wilijnej, jak, dzieląc się wzniesioną ręką biorąc opłatek, leżący na sianie, nakrytem białym obrusem, podaje matce w milczeniu i życząc jej wszystkiego dobrego łzawemi oczami, na których w tej chwili błyszczały dwie łzy.. a potem z nami się łamie.. i, gdy już siedzimy z łyżkami, czyni złożywszy dłonie nad grzybową polewką, z łamanym przez wzruszenie głosem: „Pobłogosław, Panie, te dary!.. A po wieczerzy, idzie z opłatkiem do stajni - do bydląt... i karmi je opłatkiem do „wilji". Wierzyłem święcie, że w tę wilję we wieczór bydlęta z gazdą rozmawiają..
Utwierdzało mnie w tej wierze zagłębienie się w wierze mego ojca.

Oto ciemna Betlejem skojarzyła mi się z pamięcią ojca i tych „wilij z lat dziecięcych -

3
29

×

Mało kto, [illegible] z ludzi ma Betlejem w sercu.

Oto obchodzi się święta „Bożego narodzenia". Pierwszy świadek narodzenia Pana, wół, idzie na rzeź — dla uświetnienia tej uroczystości. Nie mówi się nic o świni, specjalnie na zabicie tuczonej (której życiowy podobny los człowieka, którego też kiedyś także w pogodnym celu tuczono wśród plemion ludożerczych; ale nie w tem podobieństwo człowieka do świni, tylko w tem, gdy święta „Bożego narodzenia" obchodzi upijaniem się z lubością w błocie, przy czem przewyższa jest od świni, [illegible] ale to nie jest jego wyższość nad stworzeniem, bowiem i [illegible] z owoców jednej robić trunek mocny i upijają się tak haniebnie dosłownie jak ludzie — a następny dzień po upiciu się smutne, osowiałe, trzymają się za głowy — znów tak dosłownie jak ludzie.) —

„W Dzień Bożego narodzenia radość wszystkiego stworzenia — ptaszki z w górę podlatują..." Tak jest w kolendzie, a w rzeczywistości... Idzie to tych małych istot, zdobyczą prawdziwą ziemi [illegible] [illegible] Kosy i [illegible] [illegible] [illegible] człowieka — na [illegible] „Bożego narodzenia!" Łowy! łowy! [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] narodzenia?

×

„Pokwapcie się, wy lekkie, jasne motyle, i wy mrówki, złote, jak iskry! Ptaszki wesołe i wy zwinne polne i leśne zwierzęta... Wszystek ten drobny świat, który jakoby dla kogoś doskonalszego zabawek jest zbiorem, niech się kryje gdzie, gdyż oto, dziś temu wiek, z najdzikszymi stworami, człowiek przyszedł na świat!... Zawsze,

Weselem podaję wam, że jeden więcej [illegible], jeden więcej piękny narodził się..."

Tak gdy swoją pieśń skończył anioł, pochylający się nad dzieckiem, nastąpiła na bardzo mało chwila głębokiego milczenia, potem, jak gdyby struny złotej wygłos zabrzmiały słowa drobnych złotych muszek, i owadów tęczowych, i motyli w pętły złotem odzianych:

„Piękny – piękny – piękny! jest człowiek dziecię, i niebawem podziwiać go będziemy bezczynnego po łąkach, zamieszanego jak owca, po pas w kwiecie, tak, że ~~[illegible]~~ będzie skłonić rękę, w której mieć będzie zdradny węzeł gazy, pochwycić motyla zbyt ufnie siągcego kwiaty, pochwycić muszki złote szklanoskrzydłe i tęczowe owadki... A potem z uśmiechem przymierzać im szpilkami karki... One obracać się będą na korkowych palach i wspinać na wyprężone nogi z jękiem, którego nie dosłyszy tłuste ucho człowieka, gdy po łowach nacieszy się zdobyczą, na posłaniu, głęboko będzie spał, w pięknym uśmiechem ten nadobniejszy..."

„I przyjdzie matka, pożyje, zachwyci się – profesor przebudzonego wychwalić będzie, iż widzieć tyle trudów ponosi — ale on się nic z tego, ani się nikt z tego nic nie nauczy! Tylko człowiek pacholę rozpocznie próbować przyrodzonego nienawistnego, to jest, ażeby wszystko podstępem ująć, zamordować, obedrzeć i dla samego siebie zużytkować! To jedno, od rana do nocy, codziennie względem całego stworzenia poczynać on przez wszystkie męki!..

„Atoli on jest piękny, i piękna matka jego i siostra starsza..!" – zaszeptać poczęły ptaszki–

„Lecz strzeżcie skrzydeł waszych, w których nie utyjecie pary piór, bo pojmają was podstępnem opętaniem sieci i odrąbią skrzydełka wasze, ażeby uczepić je na kapeluszach i na wdzianiach. Kobiety od nas wszystkich ptaszków są piękniejsze, lecz nie zamierzono ich rozwinąć piękność własną, tylko odbierać cudzą i brać na siebie... Strzeżcie się więc..."

Wspominam także stynące na drzewie wiewiórka, cała w złotym ogonie promieniami złota, zesunęła się nieco niżej i pokornie swą rozpoczęła prośbę:

„Powiadają, że umiałybyśmy bawić i rozweselać ludzi, będąc jakoby weselną gajów krotochwilą i igraszką... Lecz człowiek z wyniosłością patrzy na rozrywki i igraszki, tylko ocenia pracę i trud. Wystrzegajcie się go, jakkolwiek piękny jest i wymowny!.. Gdy my albowiem pracą mozolną uzbieramy sobie na zimę jadła i, we wypróchniałem drzewie, orzech zebrawszy do orzecha, otulimy je mchem najstaranniej – zaraz bystry i piękny przemyśli się o tem i zabiera wszystko, co któremu z nas jest igraszką jadła... Ale on wyprawić się musi zatem w niewiadome zdziczały, okrutnika i syna okrutników po wszystkie czasy."

„Jadło wszystko stracić na zimę jest wielką męką!.. – tęsknie dośpiewa ukryty w ciemni mały ptaszek – „lecz nam przemyślny człek, bywało, igłą wykałał oczy, abyśmy, w ciemnościach pogrążeni, bujniej śpiewały..."

„Widziałam go przez szczeliny kryjówki, i wiem, jak jest urodziwym!" zadzwoni ze osłoniętych

tak strumienia jeszcze rybka — „czoło me nawet po-
dniesione... Zaiste, mądry przecie, bo on z przezroczy-
stego włosa nici uda mi z wody bieżącej, i nastroi
mój hak żelazny, i robaczka albo robaczka przód
utwierdzi na haku, aby mimo iście głodne rybki
potykając podstępną śmierć gorzką.”

A wtedy nad strumienia brzegiem przemawiający
złotym tonem ciołek, podobny do Apisa pomnikowego,
gładki i [illegible], zawoła:

„Zawsze ofiarny stryj wół, który pracuje
na ludzi, wspomina, że nawet skoro wyciągnie
do człeka białą swoją rękę, ażeby
się przygarnąć, nie dowierzaj! Bo on uczy się
smakiem pokarmi, ile mięsa narosło, ile tłusto-
ści!...

Albowiem jego całą nauką jest i było po
wszystkie czasy, od rana do nocy tym się zajmuje,
tak jednym, ażeby <u>wszystko podstępem ująć,
zamordować, złupić, i zjeść, i zjeść!</u>...

„On to sędziwego woła, gdy już dość dość
żwawo w pole wlec się nie może, utraci obu wszystkie
i zęby — skoro ujrzy posłuszny na ubocznie,
nie obmywam stopy twojej od orwanku — nie,
to rzecz — kości poszczą dla wrobienia z niej
do gry zabawnej po uczcie — z wojny jednego kości
będzie, a w drugiej rąk zetrzeć! I niezmiernie
stanie się, ażeby cienia śladu pozostał, że
ten wół istniał...”

„Niczemny wierze zagładzą rodowi owiec!” —
Mruczy wreszcie i baranek, biedny i czysty jak
obłok. — „Lubo owca tam pomimo i dawne

z ochotą wełnę swoją i mleko, bo dzielić się lubi wszystkiem, co ma — ale on już od dziecka w stronę podstępu, wyzysku i pożerstwa wystosował twardość serca swojego i do ostatniej chrząstki poliże wszystko we zwierzęciu. Wytoczy z niego wnętrzności, wyrobi je i sprowadzi w struny muzyczne, ażeby na nich wygrywać piękne pieśni, boskie akordy — pono na chwałę Boga!"..

~~ad~~ (Hymn, wyjęty × ~~w „Ostatniej z bajek"~~ z utworu Cypriana ~~Norw~~ Norwida: „Ostatnia z bajek".)

—

A ponad tym człowiekiem, który „przez wieki tam tylko się zaprzątał, aby wszystko podstępem ujść, zamordować", ponad tą iliadą łowów, łowów i łowów, odkąd ludzkość nam widzialna aż do dzisiejszego dnia, jaśnieje ~~+ ja~~ w niezmiennym świetle, jako gwiazda zielona nad mrokami — żywot św. Franciszka z Assyżu. [Dlaczego przez kościół, który uprawnia zabójstwo, uznany jest za świętego, trudno zrozumieć; natomiast świętym jest ostatecznie dla tych, którzy pragną z mroków zwierzęcości wyjść do człowieka. On sam życiem swoim ~~[illegible]~~ stworzył nową religię: „Kochaj bliźniego" rozszerzył na wszechstworzenie — wszystkie przykazania zamknął w jednem, ale żywem i wszystko obejmującem: „Nie zabijaj!"

Znów widzimy narodzenie Boga w człowieku — w „niebiańskiej Umbrji" miasteczku Assyżu przyszedł na świat ten człowiek-dziecię, aby widomie ziemskiej olśnić duszę i raj ludziom pokazać.

8

Wyraźnie zaznaczają się trzy fazy boskie w stosunku człowieka do stworzenia: starozakonne przyjmowanie, betlejemskie przyswojenie i wreszcie przyjaźń św. Franciszka.

Przez Betlejem prowadzi droga duszy do Asyżu. Aby umiłować, trzeba zrozumieć i uszanować. I św. Franciszek już nie „błogosławi rybom" – na półwyspku, ale nad brzegiem stojąc, gdy zaciekawione wychylają główki nad powierzchnię błękitnych wód, rozmawia z niemi – mową serca, nie znaną ludziom [illegible]. Legendy włoskie mówią o nim, jak o czarodzieju (np. legenda „o wilczku z Gubbio", który dał łapę na to św. Franciszkowi, że „nigdy nikogo nie napastnie, byle go jeno żywiono, i potem „chodził posłusznie" za św. Franciszkiem, słuchając jego kazań o miłości.)

Żywot św. Franciszka to religia zbratania, miłości wszystkiego stworzenia, czucie się we wszystkiem, jako że we wszystkiem jest cząstka Boga. Dusza w porywie uczucia i miłości woła, [illegible] się: „O bracie mój, kochający! O siostry moje, gwiazdy!.." Miłość wszechświat ogarnia. Jest to bogactwo mistyczne [illegible] szczęścia – harmonia.

Betlejem wyznaczało na niewielkiej Asyżi jeno miejsce. Mówią, że co rok obchodzi się po wiekami święto „Bożego narodzenia"!

Wł. Orkan

Poręba Wielka.

Bethleem i Assyż.

<u>Bethleem.</u> <u>Betlejem i Assyż.</u>

Narodzenie Boga w człowieku...

Zaiste nad to wszystkiemi! ~~[illegible]~~ Przed tylu wiekami, [stało się ten czas] nie wiemy.

A rześ do boskiego zdarzenia, którego ~~[illegible]~~ ludzkość corocznie świętem upamiętnia, jako tradycja mówi, stało się pobok miasteczka żydowskiego (o czem napomina chrześcijańska antyczności), w lichej stajence przydrożnej... Świadkami tego narodzenia Boga ~~byli~~ [byli]: woły, pasterzy i owce, ~~tak~~ filozof żaden, a tak przez ludzi ocenieni. Oni to pierwsi „klęknęli, adorując." — adorując Boga w człowieku.

Idąc za „gwiazdą betleemską" stajemy nad ~~[illegible]~~ nad ~~[illegible]~~, nie bardzo podobnym [nawet] miasteczkiem — Assyżem. Św. Franciszek, niewiadomo dlaczego przez Kościół za świętego uznany, [...]

(może: „O bracie mój Kościele! O siostry moje gwiazdy!") Jedno przypomnienie: „Nie zabijaj!" ~~[illegible]~~ Krwawym ... się cudzej ziemi, ku wszechświatowi:

Potem znów nad „gwiazdą betleemską" gasnącą — bestya tryumfuje — (Bóg w człowieku umiera.)

Oto obchodzi się święto narodzenia Boga. Pierwszy śnieżek wisi [illegible] na stół — dla uczczenia. Nie mówi się już o takiem stworzeniu, jak o świecie, która przeszła, że z [illegible] dość dużo wymaga [illegible]. Najtańsze drugie ptactwo. Ileż to tych sztuk zdobiących prawdziwie ziemię krasą i śpiewem swoim, idzie na uczczenie narodzenia Pana. Oto [żółte] [illegible]... Każdy [illegible] nad „stajenką", gdzie się do żłóbka. Chłopy, [illegible] w [illegible] [illegible] przez [illegible] zastawiają [illegible]

i wmawia się, że ich tak dużo na „Boże narodzenie" podusiło.

Smutno mi, że bandytom przyszedł apetyt — cóż robić. I mnie to „Boże narodzenie" [illegible], bo go widziałem [illegible]. Szablonik — okazja do jedzenia. Tak i wilk może obchodzić Boże narodzenie. Chyba jest taka umowa (dziecinna) [illegible] na zawsze niż, gdy ludzie, żeby odnowa następowały [illegible], a symbole były symbolami — ~~[illegible]~~ służyć na porządku.

— Poco się pan tak mało — rozumiejąc? — [illegible] trzeźwy ~~[illegible]~~ polityk. — ~~Walka, panie, nie poemat!~~ [illegible].

— Zresztą, ~~[illegible]~~ przepraszam — mogę z panem pomówić i ~~[illegible]~~ w ~~[illegible]~~ przedpokoju. No więc — reforma wyborcza... „Stało w jakiejś gazecie, że „cesarz ofiarowuje reformę wyborczą ludom swoim — na gwiazdkę." ~~Ro~~ Dzieci były grzeczne. A zatem... do widzenia. Że też pan tak mógł [illegible] nawet pomyśleć. ~~[illegible]~~

— Walka, panie, nie poemat!

— Rozumiem.

—

„Oddajcie co jest cesarskiego cesarzowi!" — odrzekł Chrystus niechętnie, ~~[illegible]~~ obłudnie [illegible] uczniom faryzeuszów, ~~[illegible]~~ wiedząc, że im nie mówić o rewolucji ~~wśród~~ ~~do tych~~ tym niewolnikom z kości i ducha.

—

— Niewola w sobie — niewola pojęć — psychologia!

— A pan?

— Rewolucjonista! Wobec rewolucji w Rosji.

— Przepraszam... Car obiecał dać konstytucję ~~na gwiazdkę~~ w tamtym roku na gwiazdkę, ale dzieci były niegrzeczne. Wobec tego — [illegible]

gwiazdy – baty. O święty Mikołaju!..

— Pan szydzi z rzeczy świętych!..

— Gdybym umiał śmiać się... Naprawdę: tych dzieci niepoliczonych jest sto ~~jednocześnie~~ dwadzieścia milionów!

—

(Ojciec z zapałem do stajni. Bydło [illegible].)

—

Narodzenie Boga... ~~Kiedyż~~

Kiedyż przyjdzie narodzenie człowieka!

Jaki niedostosowany... Z jednej strony Bóg z drugiej wilk, tygrys, hyena, nawet świnia. A najgorzej że tymczasem ~~[illegible]~~ homo ~~[illegible]~~ z pod niewolnika. Bezbożnik Zaratustra chciał widzieć ~~[illegible]~~ w człowieku lwa, orła i węża (jego godło) i nic ponad – inaczej że widział go ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ nad-człowiekiem.

—

[illegible] nikomu nie wyda się to, [illegible] gdy [illegible]

Gaz. Podhal. 1926, nr 52
Porębowska i Rzeszowska, Pierwsze Czytanie III, Lwów 1931, str. 193

Legenda o stworzeniu.

~~[illegible]~~ W siedem dni Pan Bóg stworzył świat,
a potem, bawiąc się jakoby, stworzył ~~[illegible]~~ przedziwne
różne kraje, ze wszystkiem w nich, co ~~[illegible]~~ było potrzeba.
~~[illegible]~~ Wcześnie utworzył był kraj węgierski, ~~doliny~~ niziny [illegible],
[illegible] rękami; a gdy trafiły się zbocza, to (schylił ku południowi
do słońca schylone
je ku południowi), by na nich wino rość mogło.
Zaczem zbliżył się ku ~~[illegible]~~ stronie, gdzie miała
powstać (być) Polska. Postanowił ją jeszcze bogatszą uczynić,
przez to, że różne na jej obszarze umyślił założyć ziemie. ~~Akurat~~ (Regionalizm)

Akurat, kiedy zaczął Podhale budować, przechodzący mimo Anioł zawołał: „Szczęść Boże!"
Pan Bóg uśmiechnął się. (tak) miał ~~[illegible]~~
~~Podhala~~ bowiem ~~[illegible]~~ w myśli (przebogatego) wizję Podhala. —
Ośmielony stróż niebios zbliżył się ku Panu Bogu i przyzierał się chwilę Jego pracy. A widząc, że
to wcale nie tak trudna sztuka, zaprzągł się sam
popróbować. „~~Spocznij rzecze~~ Odpocznij — rzecze — Panie ~~(mój)~~, a ja z ~~roboty~~ przez tyle ~~[illegible]~~ ze lichą się potrudzę." —
„Żebyś to mógł dać radę?!" — „Nie dam rady?! — uniósł

się Anioł w koronę. – „Zezwól, Panie, a ujrzysz, że niegorsze potrafię zbudować krainy, niż te, co z pod boskiej ręki wyszły." Stwórca świata uśmiechnął się na to pobłażliwie. „Jeżeli chcesz koniecznie –"... (Umiłowanemu aniołowi niczegoby w dobroci ojcowskiego serca nie ustąpił!). „Jeżeli chcesz koniecznie spróbować" – powiedz – „to możesz skończyć tę oto ziemię, którą zacząłem budować. (Sądził Pan, że co dobrze zaczęte, to nie tak łatwo zepsuć). „A ja tymczasem pójdę dalej..!"

I przeszedł Pan Bóg w stronę ku północy, aby nowe tam ziemie ukształtować. Miały to być Proszowskie i Sandomierskie. Anioł przyleciał na skrzydłach i już z góry wykrzyknął: „Ach!" – bo też było się czemu zachwycić. Ziemia proszowska była jak dywan wzorzysty, rozkoszny, barwny, przetkany kępami sadów, rówieśnica jej sandomierska, wyższa nieco, pofalowana w doliny i wzgórza, chyliła się dół łagodnie ku słońcu (południa) i zdawała się grzać w jego promieniach. Wstęga Wisły szeroka zataczała błękitne półkola pomiędzy jej złotymi wzniesieniami.

V (1) Niedługo to wcale trwało (bo cóż dla Boga trudne-
go), jak był z ziemiami temi dwiema gotów. Za-
wołał tedy ~~da~~ anioła: „Jużeś skończył swą
~~– Jużeś skończył swą pracę?~~
~~– Już! – odkrzyknął anioł.~~
~~– To~~
pracę?" – „Już!" – odkrzyknął anioł. – „To ~~d~~
chodź, przypatrz się moim ziemiom." (1)

(tak w Proszowskiem, jak i w Sandomierskiem) 3. 36

Bowiem – gdzie okiem rzucić – wszędzy widne były, na wzgórzach, i w dolinach, złote łany pszenicy, aż się wydawało patrzącemu, że pozłota prawdziwa słońca na dnie te ziemie spadła. Widać Pan Bóg chciał je już szczególnie szczodrze obdarzyć. (rosić).

Kiedy Anioł dość się już temu nadziwował, rzecze Pan Bóg: „No, a teraz zobaczymy to twoje Podhale!"

Anioł, dumny ze swojego dzieła, cieszył się już naprzód pochwałą Boską, i krokiem niecierpliwym wyprzedzał Pana. Skoro stanęli na miejscu, Pan Bóg aż oczy przetarł, przestraszony, nie mogąc uwierzyć temu, co ujrzał.

– Coś ty tu porobił?! – zakrzyknął.

Anioł sam się też zdumiał i strwożył wielce. Co innego bowiem zastał, niż był zostawił.

Przystępując do pracy, wyobraził był sobie, że nic lepszego ziemi dać nie może, jak dużo, dużo ciepła. Przeto zebrał niesłychaną ilość kamieni, głazów i skał, spiętrzył je w wysokie góry aż ku niebu, ziemią je zlekka jeno przy-

4.

prószyłszy, w tem przekonaniu, że gdy je tak ku słońcu ~~wydźwignie~~ wysoko wydźwignie, to gorąco samo wszystko sprawi, i kraj żyznością zakwitnie. Ale właśnie podtenczas, kiedy w Sandomierskiem bawił, przyszła ulewa ~~o~~ okrutna, strugi wody spłókały ziemię ze ~~ta~~ skał, zniosły ją na dół ~~po~~ ~~tokami~~ wyrwami potoków — i oczom teraz wystąpiły groźne, ~~s...~~ spiętrzone ściany skalne, o nagich, ~~szczytach g ku~~ nieba ~~wystających~~ wystających szczytach, o żlebach czarnych i przepaściach, ~~na słowem jednem: Tatry. A niż na niższych stoczach i pagórkach, gdzie woda ziemi nie zdołała spłókać, widać~~, górą kosodrzewiną zmierzwione, a dołem ciemnią smreków odziane, dzikością surową tchnące, no jednem słowem: Tatry. A zaś na niższych stoczach i ~~dolinach~~ pagórkach, gdzie woda ziemi nie zdołała spłókać, ściel(i)ły się tylko mchem zarosłe, ~~hale lub wid~~ pustynne hale lub ~~zieleniły~~ zieleniły się tu i ówdzie płaty lichego owsa.

— Coś ty za myśl miał — uważywszy to wszystko, rzecze do Anioła Pan Bóg — żeś tak tę ziemię ukształcił tam?

(2) 37

i choćby ci się i nie udali, to jakoś ~~[illegible]~~ żyć będą, bo im przygotowaliśmy kraj żyzny, pewniejszy. ale...

(2)

— Chciałem ją, Panie, podnieść tak wysoko — sprawił się strapiony Anioł — żeby więcej ciepła słonecznego dla niej uzyskać.

— A przez to właśnie chłód jej sprowadziłeś. Ten nawet lichy owiesek, co na niej rodzić się może, zanim dojrzeje, mróz zetnie. Tak, tak — zadumał się nad Podhalem Pan Bóg — będzie to przez twój nierozum kraj chłodu i głodu. Już się to nie da odrobić.

— Nie trap się, Panie — przystąpił z otuchą Anioł. — Ja temu jeszcze zaradzę. Dozwól mi tylko, żebym tu ludzi utworzył, a zobaczysz, jak sprzęgą łąki, jak pokryją zbocza skalne uprawną rolą.

— Co to, to już nie! — rozzłościł się Pan Bóg. — Chcesz się bawić, to możesz iść Sandomierzan czy Pomorzan albo też Proszowian stwarzać, którym przygotowałem kraj żyzny, pszeniczny. Ale Podhalanina pozostaw już mnie.

I sam Pan Bóg wydumał tedy górala: o rosłej, smukłej postawie, o nogach jak ze stali, o oczach bystrych, orlich,

6.

o umyśle lotnym, przedsiębiorczym, ~~o~~ o zaciętości niezwykłej/ energii ~~niezwykłej~~ i sprycie – aby mógł ~~w~~ na tej błędnej ~~[illegible]~~ ziemi dać sobie radę.

—

/WŁADYSŁAW ORKAN/

LEGENDA O PODHALU

W siedem dni stworzył Pan Bóg świat, a potem stwarzał różne kraje, ze wszystkiem, co było potrzeba. Właśnie utworzył był kraj węgierski, dolinę żyzną, przeciętą rzekami; a gdy trawiły się zbocza, to chylił je ku południowi, by na nich wino róść mogło. Zaczem zbliżył się ku stronie, gdzie miała być Polska. Postanowił ją jeszcze bogatszą uczynić przez to, że różne na jej obszarze umyślił założyć ziemie.

Właśnie, kiedy zaczął Podhale budować, przechodzący mimo Anioł zawołał: "Szęzóść Boże!". Pan Bóg uśmiechnął się: miał bowiem w myśli obraz przebogatego Podhala. Ośmielony stróż niebios zbliżył się ku Panu Bogu i przyzierał się chwilę Jego pracy. A widząc, że to wcale nie tak trudna sztuka, zapragnął sam popróbować.

-Odpocznij- rzecze - Panie mój, a ja przez ten czas za Ciebie się potrudzę.

- Żebyś to mógł dać radę!

- Nie dam rady? uniósł się Anioł w honorze.- Zezwól, Panie, a ujrzysz, że niegorsze potrafię zbudować kraje, niż te co z pod Twej wykwitły ręki.

Stwórca świata uśmiechnął się na to pobłażliwie.

- Jeżeli chcesz koniecznie /umiłowanemu Aniołowi czegóżby w dobroci ojcowskiego serca nie ustąpił?/, jeżeli chcesz koniecznie spróbować, to możesz kończyć tę ziemię tu oto, którą zacząłem budować./Sądził Pan, że co dobrze zaczęte, to nie tak łatwo zepsuć/. A ja tymczasem przejdę dalej.

I przeszedł Pan Bóg w stronę ku północy, aby nowe tam ziemie ukształtować. Miało to być Proszowskie i Sandomierskie. Niedługo to wcale trwało / bo cóż dla Boga trudnego?./ jak był z ziemiami temi dwiema gotów. Zawołał tedy do Anioła:

-Jużeś skończył swą pracę?

- Już! odkrzyknął Anioł.

- To chodź, przypatrz się moim ziemiom.

Anioł przyleciał na skrzydłach i już z góry wykrzyknął:"Ach"!- bo też było się czemu dziwić.

Ziemia Proszowska jak dywan wzorzysty, rozkoszna, barwna równina, przetykana kępami sadów, ruczajami. Sandomierska wyższa nieco pofalowana w doliny i wzgórza, chyliła się łagodnie ku słońcu południa i zdawała się grzać w jego promieniach. Wstęga Wisły szeroko z zataczała błękitne półkola pomiędzy złotemi wzniesieniami. Bo, gdzie okiem rzucić, tak Proszowskie, jak i Sandomierskie, wszędy widne były na wzgórzach i dolinach, złote łany pszenicy.Mogło wydawać się patrzącemu, że pozłota prawdziwa ze słońca na dwie te ziemie spadła. Widać Pan Bóg chciał je szczególnie szczodrze obdarzyć.

Kiedy Anioł dość się już temu nadziwował, rzecze Pan Bóg:

-A teraz zobaczymy twoje Podhale.

Anioł, dumny ze swojego dzieła, cieszył się już naprzód pochwałą Boską i wyprzedzał Pana krokiem niecierpliwym. Skoro stanęli na miejscu, Pan Bóg aż oczy przetarł, przestraszony, nie mogąc uwierzyć temu, co ujrzał.

-Coś ty tu porobił? zakrzyknął.

Anioł sam się też zdumiał i strwożył wielce. Cóż innego bowiem zastał, niż pozostawił.

Przystępując do pracy, wyobraził był sobie, że nic lepszego ziemi dać nie można, jak dużo, dużo ciepła. Przeto zebrał niesłychaną ilość kamieni, głazów i skał, spiętrzył je w wysokie góry aż ku niebu, ziemią zlekka jeno przyprószywszy, w tem przekonaniu, że gdy je tak ku słońcu wysoko wydźwignie, to gorąco samo wszystko sprawi i kraj żyznością zakwitnie.

Aliści podtenczas, kiedy w Sandomierskiem bawił, przyszła ulewa okrutna, strugi wody spłókały ziemie ze skał, zniosły ją nadół wyrwami potoków. Oczom teraz ukazały się groźne spiętrzone ściany skalne, o nagich w niebo wystających szczytach, o żlebach czarnych i przpaściach, wyżej kosodrzewiną zmarniałą a dołem ciemną smrekową odziane, dzikością surową tchnące, no jednem słowem: Tatry. A zaś na

niższych stokach i pogórzach, gdzie woda nie zdołała ziemi spłókać, ścieliły się tylko mchem zarosłe, pustynne hale, lub zieleniły się tu i ówdzie płaty lichego owsa.

- Coś ty za myąl miał - zobaczywszy to wszystko, rzekł do Anioła Pan Bóg - żeś tak tę ziemię ukształcił?

- Chciałem ją, Panie, podnieść tak wysoko - tłumaczył się strapiony Anioł - żeby więcej ciepła słonecznego dla niej uzyskać

- A przez to właśnie chłód jej sprawiłeś. Ten nawet liechy owiesek, co na niej rodzić się może, zanim podoła dojrzeć, mróz zetnie. Tak, Tak - zadumał się nad Podhalem Pan Bóg - będzie to przez twój nierozum kraj cłodu i głodu. Już się to nie da odrobić.

- Nie trap się Panie - przystąpił z otuchą Anioł.- Ja temu jeszecze zaradzę. Pozwól mi tylko, żebym tu ludzi utworzył, zobaczysz, jak sprawią te łąki marne, jak pokryją zbocza skalne uprawną rolą.

- Co to, to już nie! rozgniewał się Pan Bóg.- Chcesz się bawić, to możesz iść Sandomierzan albo też Proszowian stwarzać, którym przygotowałem kraj żyzny, bogaty. Ale górala pozostaw już mnie.

I sam Pan Bóg wydumał tedy górala: o rosłej, śmigłej postawie, o nogach jak ze stali, o oczach bystrych, orłowych, o umyśle lotnym, przedsiębiorczym, o zaciętości niezwykłej, Energji i sprycie - aby mógł na tej biednej Aniołowej ziemi dać sobie radę.

J. Babicki i St. Magierowski, Badanie Podhalanie(?), Lwów 1928, str. 216 n.

Na hale...

Koło Zielonych Świątek, gdy jeszcze w głębokich żlebach[1] górskich śnieg zrudziały leży, a już zielona ruń pokryła trawiaste ~~zbocza i~~ upłazy[2], rozpoczyna się wypęd bydła i owiec na hale.[3] Dzieje ~~w po~~ się to w pewne dni pogodne na całym obszarze Podhala[4] równocześnie, jakby za tajnym rozkazem. Ożywiają się naraz dziedziny[5], ruch w osiedlach[6] powstaje, radosny nastrój ~~podniecenie udziela się ludziom, kwiatom~~ ogarnia ~~[illegible]~~ młodzież, ~~gdy się ozwie wesoło turlikanie szałasów pędzonych w góry~~ idących ~~idących w górę~~ w góry, równie starych jak i młodzież nieletnią.

Weźmy dziedzinę pierwszą skraja, n.p. ~~naprzykład~~ Biały Dunajec. Rano słoneczne. ~~[illegible]~~. W osiedlach, po obu stronach drogi rozłożonych, niezwykłe poruszenie. Oto, kurzem gościńca zamglona, zbliża się ku wsi jakaś zbita a ruchliwa masa, niby szare wojsko piechotne. Słychać już zdala klekot drewniaków, (tak dobrze znane turlikanie[7].)

– Szałas[8] idzie! Szałas idzie! – podają od pierwszych ~~ch~~ chałup młodzi ~~jedni~~ drugim w gorączce podniecenia.

Ciekawością [illegible] z obejść wywabieni, wysuwają

się na drogę stary i oczy, słonione dłonią, kieruje w tę stronę, skąd płynie chmura przyziemna nadciąga.

Aliści w ulicę wsi wpływa, niby rzeka wełnista, kierdel [9] stado owiec... Naprzód idą dojki siwe, rozumne przodownice, co już na hale z szałasem od kilku lat chadzały; za niemi toczy się posłusznie ~~z kiwaniem głów potakliwem, swych kożuchów~~ masa ~~trzęsąc strzępkami wełny, czarne i białe jarki młode~~ z kiwaniem głów potakliwem, trzęsąc strzępkami ~~wełny~~ swych kożuchów, białe i czarne jarki.[10] Za kierdelem ~~...~~, sprawiając go gwizdem ~~przejmującym~~ osobliwym, kroczą młodzi juhasi,[12] w koszulach ciemnych, serdaczkach, w kapeluszach z białemi kostkami, z wełnianemi torbami u pasa i z ciupagami zberczącemi w dłoniach. ~~Kierdel zaliczyć można na trzysta i więcej owiec.~~ Ogania je ~~kierdel~~ naokół gorliwie pies średni ~~...~~ biały, owczarek, z wywieszonym od trudu płomiennym ozorem a radością w śmiejącej się paszczęce i oczach, iże tak ważną dano mu wypełnić służbę.

Gdy szałasy - jeden, drugi i dalsze ~~trzeci~~ - przeszły w hale ~~góry~~, poczyna się w obejściach krzątanina, przygotowanie wypędu statku[13] ~~...~~ mieszanego na bliższe ~~hale~~ upłazy.

Tak, jak w innych, dzieje się też w obejściu Orawcówny. Owce dojne dołączono, dawszy im znaki, do szałasu - pozostałe jałowe owce ~~ja~~ i jagnięta mają się paść obok bydła na t. zw. ~~Skupniowej hali~~ Skupniowym upłazie. ~~Do pa~~ „

Do pasienia najmłodsi z rodzeństwa, lat czternastu ~~jeszcze~~ niedoszli, przeznaczeni: Wojtuś i Tereska. Wynika też między nimi sprzeczka: kto będzie pasł owce, a kto krowy. Honor bowiem większy paść owce w halach.

– Ty będziesz krowy – twierdzi Wojtuś.

– Nie, ja będę owce – upiera się Teresia.

– Widziałeś, żeby dziewki owce pasały? – szydzi Wojtuś.

– A widziałeś, żeby je paśli tacy mali, jak ty? – odcina się Tereska.

– Mali...! Czy ja to mały? Zmierzmy się! – stanął koło siostry.

– Aha, na palcach się podnosisz...

– To ty się, cyganko, podnosisz.

– Będziesz widział, że ja pożenę owce.

– Będziesz widzieć, że ja.

Osąd ojcowski rozstrzygnął. Wojtuś ostał przy swojem. Nuż tedy, ostrząc palec, dworować z Tereski:

– Widzisz, na moje wyszło!

Teresce łzy do oczu nabiegły.

– Czekaj, kieś taki...

Żal mu się siostry zrobiło.

– Na drugi rok – pociesza ją – to się przemienimy: Ty będziesz paść jagnięta z krowami, a ja się

zgodzę na juhasa.
– Hej! – uśmiechnął się przez ~~łzy~~ dłonie – Byłby też to juhas!
– A co! – uniósł się wzrostem – Ujmyn... na mój dusiu! – zaklął się po juhasku.

Przybiegła stryjkowa Jewka i Stochów Jasiek, z pytaniem do nich:
– Kiedy bedziecie wyganiać?
– ~~Tatuś~~ Mówili tatuś: pojutrze...
– To poženiemy razem... Hu! ha!

Nastał ranek przeczysty. Ani chmurki nad rysującymi się ~~ostro i niebo~~ namiekie szczytami Tatr. ~~Woj-~~
W osiedlu Orawcowem ruch ~~powstał~~ od świtu, weselne turlikanie w obejściu się rozlega.
~~tuś wyjmował bicz z czerwoną ... u końca biczyska kitką i ... próbowali nim strzelać po obejściu, radując się głośnemu, odbijanemu od ścian budynków, z trzaskaniu.~~ ~~Następnie~~ Włożono Przyprawił ~~takie~~ ów barwne dzwonki ~~do~~ owcom: aby ~~słychać~~ ich było ~~słowa~~ szukać, ~~jeśli~~ gdyby ~~gdzie~~ się straciły. ~~Największy dzwonek przypiął czarnej, rogatej kurnycie, która~~ jako najstarsza ~~... powiedzie się innym przodownicą.~~ Zakłekotały ... w oborze – Jagnięta wywróciły się z ... ~~wyszły z otwartej~~ owczarni i dokazywały na ~~oborze, ide~~ zgrodzie, ... i się zwracały ... ~~wzlatując ...~~ lub skacząc na wszędzie w górę. Wypuszczono też krowy ze stajni, które porykując zrozumiały do spodziewanej paszy, ~~rozglą~~ obzierały się po obejściu wielkiemi, jak studzienki na hali, ~~oczyma~~ oczyma.

Wojtuś z Tereską gotowi już ~~byli~~ do wypędu. Tedy ~~wszystkie stanęły w pogotowiu, a ojciec~~ przedtem ukazał się ojciec z kropielnicą, przeżegnał krzyżem na pożytkowe statek i pokropił

ИИ

<u>V</u>

Dzień do wyjazdu wymarzony.

W osiedlu ~~II~~/Orawcowem ruch od świtu. Wojtuś wyszotował sobie bicz z czerwoną u końca biczyska kitką i próbuje nim strzelać po obejściu; ~~trzask podwójny,~~ ~~od~~ za każdym razem trzask, odbity od ścian ~~budynku~~ stodoły, podwójnie się rozlega. Kręcące się po ~~[illegible]~~ osiedlu owce rozgłośnie turlikają; przy~~[illegible]~~ wieszano im bowiem dzwonki blaszane na szyjach – aby je słychać było, gdyby się* w lesie straciły. Za niemi wywarły się jagnięta z owcar*ni i dokazują na dziedzińcu, szermując się swawolnie ~~czołami~~ główkami, ~~lub~~ to skacząc na miejscu wgórę. Wypuszczono nakoniec i krowy ze ~~stajni~~ stajni, które, ~~ryczą~~ porykując zrozumiale do spodziewanej paszy, obzierają się po obejściu ~~wielkimi wilgo~~-~~tnemi~~ wielkiemi, jak studzienki na hali, oczyma.

Wojtuś z Tereską gotowi już do wyjazdu, zeodziani na drogę, z biczyskami w dłoniach. Tedy ukazał się ~~ojciec~~ na obejściu ojciec z kropielnicą, przeżegnał krzyżem na powietrzu statek i pokropił

go święconą wodą. Przeżegnali się zatem i pasterze mali, zmówili krótki paciorek wargami i zaśmiewając się bieżem – Wojtuś owce, a Tereska krowy – zajęli je razem i pognali.

Po drodze dołączyli się do nich ze stadkiem swym Jewka Strykowa i Jasiek od Stocków. We czwórkę (szli) dalej. Wojtuś gwizdał na palcu, jak jakiś prawdziwy, co budziło aż podziw Strykowej Jewki. Wnet minęli wieś Poronin i olczańskie dziamy, weszli w regle i zadali się drogą leśną w ubocz.

Rześkość żywiczna lasu ich objęła – cztery pasterskie serca uderzyły żywiej. Oto ciszysz, w zapędzie [illegible] ze zgrzytem pod stopami pierzgi, z pokukiwaniem, z turlikaniem owiec, jako już pasterze duzi, którzy [illegible] pędzili. Cieszą się (z ranku rześkością), słonkiem, co przez las prześwieca i radosnym spodziewaniem, co ich tam czeka na hali. Niecierpliwość już wzięła ich skrzydlatymi dłońmi pod pazuchy i, jak piórka na powietrzu, lekko w górę ich niesie.

Las wkrótce począł rzednąć – jeszcze chwila – i okrzyk (zachwytu radości) wydarł się naraz z czterech młodych piersi. Oto otwarła się [illegible] idąca w niebo górna hala [illegible], cała od słońca złota. Tu jego duch się rozwarł i tknął się swobodnie. Pomyślał, słysząc z hali turlikanie owiec, weszli kraj w niebie.

Roztoczył się przed nimi obraz stuletniej swobody

~~— Tu ich lato pasterskie...~~

~~Unoszę się szczęściem do nich tarzające się po miękkiej trawie (obiecana ...) niewidziana swoboda. Sam Pan Jezus gdy ... turlikanie owiec, uśmiecha się ... z błękitu ... w błękicie.~~

~~Sam Pan Jezus, gdy ... na złotej łące pełnej, uśmiecha się radośnie. A jak dopiero usłyszy turlikanie owiec!..~~

~~(Sam Pan Jezus, z wysoka na łąkę złotą pełną, uśmiecha się radośnie. A jak dopiero usłyszy turlikanie owiec!..)~~

—

— Tu ich lato pasterskie...

Unosi się szczęściem do nich, tarzające się po złotej trawie, rok niewidziana swoboda.

—

Na hale.

Koło Zielonych Świątek, gdy ~~w głębokich rozpadach~~ jeszcze w głębokich żlebach górskich śnieg zrudziały leży, a już zielona ruń pokryła trawiaste zbocza i upłazy, rozpoczyna się wypęd bydła i owiec na hale. Naprzód idą [illegible]. Z różnych dziedzin ~~Podhala~~ podhalańskich przez bace (pozbierane), ciągną kierdele ~~owc~~ owiec do gór, pędzone przez juhasów.

~~Oto już wieś pod Tatrami~~ podtatrzańska, [illegible] Poronia, Rano słoneczne. W dziedzinie podtatrzańskiej ruch. Oto ~~gościńcem ku wsi~~ [illegible] gościńca ~~widać~~ zbliża się ku wsi [illegible] niesą, niby wojsko piechotne. Dzwonki przy [illegible]...

(– Szczęść idzie! szczęść Boże! – po [illegible] od pierwszych chałup [illegible] drugim [illegible]). Z [illegible]. Ludzie ~~[illegible]~~ po obu stronach gościńca [illegible] wyglądają, [illegible] ciekawością [illegible] wytrabieni, tak młodzi jak i starzy, i [illegible] skierowują w stronę, skąd płynie chmura pyłu ciemna nad [illegible]. Z daleka w ulicę wsi wpływa, [illegible] kierdel owiec ~~[illegible]~~ [illegible], dalej. Naprzód [illegible] już nie [illegible] (zwis pasy) po kilkakroć chodzący, z nimi, zbite w masę, [illegible] kami wełny [illegible] i czarne jarki.[1] Za tyłu stada, [illegible]

1/ młode owce

2.

dalej [illegible] i gwizdy [illegible], którzy znowu gukali; w koszulkach, czarnych serdakach, w kapeluszkach małych z [illegible] kostkami, z dzwoniącymi torbami na pasach [illegible] Kierdel ów który dążył do tego i owej owce. Ogarnia go naokół (górliwe psy, owczarek, [illegible]), z wywieszonym od trudu [illegible] ozorem a radośnie w duszy [illegible] się pasące i owiec, że tak ważną dano mu wypełnić służbę. Gukas otwiera. Dojrzewają sadzące owce, [illegible] lata się, kierdle owe (z otrzymywaniem i liczby [illegible], [illegible], do [illegible] swój statek do [illegible] kierdela.)

(Przeszły [illegible] w górę. Gdy się [illegible] w osiedlu począł się krzątanina, przygotowanie wypędu [illegible] statku domowego na bliższe hale.

Tak jak w innych, dzieje się też w obejściu Orawców. Owce dójki dobrano, dano im znaki, do szałasu pozostały jałowe owce i jagnięta. [illegible] resztę krów i jałówek miało iść z jesieni w hale. Do paszenia [illegible] najmłodsi z rodzeństwa [illegible] przeznaczeni: Wojtuś i Tereska. Wynikła też między nimi sprzeczka: kto będzie pasł owce, a kto krowy. Honor [illegible] pasać owce w halach.

— Ja [illegible] — krzyknął Wojtuś.

— Nie, ja będę owce — sprzeciwia się Tereska.

— Gdzie widziałaś, żeby dziewki owce pasły? — zadziwił się Wojtuś.

– A widziałaś, żeby je pasili tacy mali, jak ty? – odezwała się Teresa

– Mali! Czy ja to mały? Zmierzmy się! – stanął koło ściany.

– Aha! na palcach się podnosisz...

– To ty się ~~podnosisz~~, cyganko, podnosisz.

– Będziesz widział, że ja pozaganiam owce.

– Będziesz widzieć, że ja ~~[illegible]~~.

Odsył. Rozka ojcowski rozstrzygnął. Wojtuś ~~[illegible]~~ ostał przy swojem. Jął podrażnić Tereskę:

– Widzisz, że na moje wyszło!

Tereskę łzy ~~[illegible]~~ do oczu nabiegły.

– Czekaj, ktoś taki...

Żal mu się jej (poprawka) zrobiło, ale nie chciał tego pokazać po sobie.

– Na drugi rok – pocieszał ją – to się przemienimy: ty będziesz paść jagnięta (z krowami) i ja pójdę na juhasa.

Przybiegli strykowa Jewka i Stachów Jasiek ~~i kiedy~~ z pytaniem do nich:

– Kiedy będziecie wyganiać?

– Kaj tatuś (mówili: pojutrze) ~~może jutro, może pojutrze~~.

– To pożegnamy razem. – Hu! ha!

~~– Dobra! razem!~~

Nastał ranek przeczysty. Ani chmurki nad ~~[illegible]~~ wynurzyły się czysto szczytami Tatr.

(z osiedla jednego, drugiego...) W osiedlu Orawców, jako i w innych, ruch.

Wynoszą owce z owczarni z jagniętami. Jagnięta młode, ~~[illegible]~~ dokazywały jak dzieciaki, ~~[illegible]~~, pyrskając nosem w górę.

~~XXI~~. Na hale.

1. Koło Zieł. Świątek, gdy... (rano – z bacą jeszcze nie... zielenieje...)
2. Wypęd ~~[illegible]~~ na hale.
3. Kierdel ~~[illegible]~~ owiec (do 300) [illegible]... juhasi... (biały Tres-owian, w ~~[illegible]~~ ogonie (wyszywanym czerwonym wzorem) dźwięcznie dzwonki...)
4. Ruch w obiedzinach...
5. W osiedlu Drewna:....

   Owce do bacy do kierdel
   – pozostałe owce i
   – jagnięta.
6. Wojtuś i Tereska. (sprzeczka, kto będzie pasł owce, a kto krowy i jałowizny (cielęta))

   Rozkaz ojcowski rozstrzygnął.

   Wojtuś zaawansował na juhasa.

   – a ona pokłóciła z Tereską.

   Stryjkowe Jurka. Stachów Jurek.
7. Na upłaz Stępniowy.

   ~~Dzień~~ ~~Ten~~ Ranek pogodny, rozświtały.

   Dzwoni radość w powietrzu. –

   – ~~[illegible]~~ wszystko (dzwonki owiec, krów...
8. Na hali....

49

idą ...

zbierzą [illegible] kilka [illegible]
przy [illegible] [illegible]
[illegible] się [illegible] pod [illegible]
[illegible], turkotliwy —
[illegible] — [illegible] [illegible]
[illegible] się [illegible]
a [illegible] na [illegible] [illegible]
[illegible] ... wesoło —

Na hali [illegible] (która już tamtego roku) [illegible] owce i na [illegible] ...

Uśmiecha się (Terenka [illegible] Jasiowi:)
... Będzie nasz pasł...
Wysłaś dziewczyno [illegible] zagania [illegible]
[illegible] na owce jak [illegible].
[illegible] [illegible] [illegible] się [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible] i las [illegible].
[illegible] się [illegible] — ... [illegible] się [illegible]
turkotliwy owce — — — [illegible]
[illegible], spodziewanie [illegible] od
[illegible] się nagle hala, [illegible]
[illegible] ... Ta czeka od wesela.

—

50

1) żleb – żłób

2) upłaz – spadziste zbocze trawiaste. ~~ukośnie ... łąki w Tatrach~~

3) hale – wysoko położone łąki w Tatrach.

4) Podhale – obszar ~~kraj~~ pod Tatrami.

5) Dziedziniec – wieś skupiona

6) osiedla – osada ~~grupa~~ kilka domów razem, lub także dziedzińce, między gospodarstwami zabudowaniami, ~~tzw.~~ obejście.

---

7) turlikanie – ~~głos dzwonków~~ odgłos, który słyszymy, dźwięk dzwonków klasznych, jakie owcom przypinają...

8) Szałas – owce, ~~przeznaczone zebrane z różnych dzierżaw~~ przez bacę, ~~który~~ oddane przez gazdów ~~pod~~ ~~opiekę bacy cały ... rok~~ pod opiekę starszego owczarza (zwanego baca ~~starszy owczarz~~), który stoi z nimi przez lato w Tatrach ~~na ...~~ hali, gdzie pasą się i z mleka ich wyrabia sery.

9) Kerdel – stado

10) dojki – owce mleczne

11) jarki – młode owce.

12) jałas – ~~przestan~~ dorastające ~~owce~~ owce nieliczne.

13) statek – żywina domowa (krowy, ~~krowy~~, cielęta, ~~byki~~, owce)

14/ regle – niżowe, [illegible] Tatr.

Na hale

~~Szałas~~

Owce w burzy (~~szałas w burzy~~)

Wysoko w Tatrach, między skalnemi zboczami, znajdują się łąki, zwane halami, na których latem ~~wypasają się liczne~~ stoją (liczne) szałasy. — Taki szałas, jest to kierdel do trzystu i więcej owiec, spędzonych z górskich osiedli, a rządzi nim stary gazda (baca), który w kolebie dymnej wyrabia z mleka owiec sery. Ma on pod sobą kilka dorosłych juhasów #, których zadaniem jest pilnować owiec. Pasą je dołem na halach, a czasem podchodzą z niemi po zboczach skalistych na ~~wysokie~~ wyniosłe, (~~[illegible]~~ przewierchnie) upłazy. #

Gdy lato ciepłe, pogodne, to niema biedy z szałasem. Ale gdy się trafi rok zimny, burzliwy, gdy padną — jak to w górach bywa dość nierzadko — mgły, słoty, wichry, burze lub śnieżyce, wtedy juhasi ciężkie mają z owcami przeprawy. Stworzenia te bowiem, z natury lękliwe, ~~płoszą się przy~~ łatwo wpadają w ~~ogólnie~~ popłoch; (wówczas, zbite w ławę, sunąć przed się na złamanie karku, i nic ~~ich~~ nie zdoła ich wstrzymać). — Zdarzyło się raz, że, niemal spłoszony, cały szałas przyleciał ~~z gór~~ z hal do wsi o mil kilka, i ludzie nie mogli zbiegłych w strachu owiec uspokoić. ~~W środku~~, ~~jako~~ W środku tym padło zduszonych kilkanaście jarek. # Albo wówczas, kiedy to z szałasu na Kondratowej sto owiec przepadło... Jeden ze starszych juhasów, który był przy tym ~~[illegible]~~, szałasie, tak później o tym wypadku opowiadał:

— Onego lata staliśmy z szałasem na hali Kondratowej. Od Zielonych Świąt, kiedyśmy z owcami wyszli, a do końca

~~miesiąca~~

miesiące czerwca nic się nam niepomyślnego nie przydarzyło. Baca był nam juhasom rad, bo ani jedna z owiec z szczęsnu poświęconego nam się w tym czasie nie zmarniła. Aż nadszedł ów dzień fatalny... Było to coś w tydzień może po Świętym Piotrze i Pawle. Już my rano wiedzieli, co że coś będzie, bo owce, kieśmy wygonili, nie chciały jak zazwyczaj z koszara wyjść. Długo mieliśmy z niemi pracę, nim-eśmy je wygnali.

Do-południa paśliśmy na hali, a po wydoju południowym zajęliśmy szałas i udaliśmy się pasący ku ~~skalist~~ skalistym wierchom; minęliśmy przełęcz i spuściliśmy się z owcami na stronę południową. Były tam pośród skał upłazki trawiaste, i owce rade miały się potem paść. Było w kierdelu pięćset owiec, a na to czterech nas juhasów do pilnowania do strzeżenia. Pies-owczarz, wprawiony w sztuce, obiegający w koło kierdel, pomagał nam w czuwaniu, by się owce zanadto nie rozchodziły.

Słonko, schylone prawie na śródwiecze, jakoś zaberdzo przygrzewało. Ale o [illegible] ktoś zmianie ani znaku. Cała połać południo[illegible] nieba była jasna – dalsze wierchy Tatr i węgierskie widne niże topiły się w słonecznym żarze. Co było z od północy drugiej strony nie dało się przez przełęcz ściany skalnej widzieć.

Nagle wyjrzała rąbkiem ciemna chmura z ponad z ponad północno-zachodniego smugu i jęła szybko róść

na niebie.

W momencie pewnym zagrzmiało. Nie czekając na dalsze oznaki, poczęliśmy w pośpiechu zaganiać w górę ku przełęczy owce, ~~pies~~ przynaglając je gwizdem i hukaniem. Pies też opędzał je, dysząc płomieniem ozora, jak oszalały.

Nim do przełęczy dobiliśmy, chmura już zakryła słońce. Zwiała się włochatym brzemieniem i szła wprost na nas. ~~A~~ Kłębiło się w niej okrutnie i szumiało ~~tak~~, aż strach nas ~~obleci~~ oblatywał.

Naraz rozbłysło przeraźnie — huk straszny potoczył się po wierchach okolicznych — i lunął deszcz wraz z gradem. Siekło nas ~~[illegible]~~ lodem i ulewą, wydało się, że nas żywo zmiecie. Krótko to na szczęście trwało. Zaczem zwaliła się na nas płachta chmury. Noc nas ~~[illegible]~~ przysiadła.

Byliśmy wreszcie na przełęczy.

I z tej nocy raz po raz otwierało się przeraźne oczy ~~pełgłe~~ ślepiące światło — za każdym łyśnięciem dreszcz ~~nas przechodził~~ przez ciało przechodził — huk toczył się gdzieś w dole.

Byliśmy w środku burzy.

Ponad całą tą trwogą i przerazą górował w nas, juhasach, strach o szałas, ~~a~~ o owce. Mogliśmy jeno spuścić się z nimi ~~ukosem z przełęczy [illegible]~~ jedynym bezpiecznym żlebikiem, ukosem z przełęczy — a w momencie tym gadki o tem nie było. Zbiły się barany w stracha w ~~[illegible]~~, jeden płat nierozerwalny i, na ~~ża~~ żadne hukanie, gwizdy nie zważając, zsunęły się ścianą bryłą w stro-

ny północy, na ślepo. W mgnieniach między łyskaniem, gdy noc zapadała, traciliśmy je z oczu. A gdy rozbłysło, to się jak lawina o- czom złowieszczym wyjawiały — sunące prosto na przepaść. [Rozpacz nas ~~ogarnęła~~ ogarnęła. ~~wszelkich sił użyliśmy~~ Ochrypli od krzyku, wszelkich sił użyliśmy — rąk i kolan — by je skierować (w stronę prawą) bezpieczniej, gdzie indziej ~~przeszłość~~. Ale nic. Żadna mogły ich ~~nie~~ w tym ślepym, lawinnym ruchu nie wstrzymała.

Jak zsunęły się nad krawędź ~~ścianą~~ przepaści. W rozbłysku światła widzimy, jak urywa się część ostatniej lawiny i niknie... Cud, że reszta, jakimś ostatnim instynktem wstrzymana, jest zawróciła się na prawo.

Gdy ~~zapadliśmy, jeszcze~~ opuściliśmy się na dół, na halę, wie- dźmy się nagniło. (Burza się zawróciła cofała) ~~Na zachodzie~~ pokazał się ~~pas~~ skrawek jasnego nieba. Policzyliśmy owce — ~~100~~ sto owiec bra- kowało. Byliśmy jeszcze radzi, że na tem się skończyło. Bo mogły wszystkie wpaść w przepaść.

—

Owce w burzy

Wysoko w Tatrach, między skalnemi zboczami znajdują się łąki, zwane halami, na których latem wypasają się liczne szałasy. – Taki szałas, jest to kierdel do trzystu i więcej owiec sprowadzonych z górskich osiedli, a rządzi nimi stary gazda (baca), który w kolebie dymnej wyrabia z mleka owiec sery. Ma on pod sobą kilku dorosłych juhasów, których zadaniem jest pilnować owiec. Pasą je dniem na halach, a czasem pod chmurą z niemi po zboczach skalistych na wyniosłe, przywierchnie upłazy.

Gdy lato ciepłe, pogodne, to niema biedy z szałasem, ale gdy się trafi rok zimny, burliwy, gdy padną – jak to w górach dość nierzadko bywa – mgły, słoty i wiatry, burze lub śnieżyce, wtedy juhasi ciężkie mają z owcami przeprawy. Stworzenia te bowiem, z natury lękliwe, łatwo wpadają w popłoch; (wówczas, zbite w tłum, suną przed się na złamanie karku i nic nie zdoła ich wstrzymać). – Zdarzyło się raz, że, czemś spłoszony, cały szałas przeleciał z hal do wsi o mil kilka, i ludzie zbitych w stadach owiec uspokoić {nie mogli} W ścisku tym padło zduszonych kilkanaście jarek. Albo wówczas, kiedy to z szałasu na Kondratowej sto owiec przepadło... Jeden ze starszych juhasów, który był przy tym szałasie, tak później o tym wypadku opowiadał:

– Onego lata staliśmy z szałasem na hali Kondratowej. Od Zielonych Świąt~~ek~~, kiedyśmy z owcami wyszli, do końca miesiąca czerwca nic się nam niepomyślnego nie przydarzyło. Baca był nam juhasom rad, bo ani jedna owca z szałasu powierzonego nam ~~nie~~ się ~~nie~~ w tym czasie nie zmarniła. Aż nadszedł ów dzień feralny:

Było to coś w tydzień może po świętym Pietrze i Pawle: już my rano wiedzieli, że coś będzie, bo owce, kieśmy wyganiali, nie chciały jak zwykle z koszara wyjść. Długo mieliśmy z niemi pracę, nim'śmy je wygnali

Do południa paśliśmy na hali, a po wydoju południowym zajęliśmy szałas i udaliśmy się pasący ku skalistym wierchom; minęliśmy przełęcz i spuści-

liśmy się z owcami na stronę południową. Były tam pośród skał upłazki trawiaste, i owce rade miały się poczem paść. Było w kierdelu pięćset owiec, a na to czterech nas juhasów do strażowania. Pies-owczarz, wprawiony w służbę, obiegając wkoło kierdel, pomagał nam w czuwaniu, by się owce zanadto nie rozchodziły.

Słonko, sczylone prawie na środwieczerz, jakoś zaborczo przygrzewało. Ale o jakiejś zmianie ani znaku. Cała połać południowa nieba była jasna — dalsze wierchy Tatr i węgierskie widne niżej topiły się w słonecznym zalewie. Co było z drugiej od północy strony nie dało się poprzez przesłonę ściany skalnej widzieć.

Nagle wyjrzała rąbkiem ciemna chmura z ponad północno-zachodniego szczytu i jęła szybko rość na niebie. W momencie pewnym zagrzmiało. Nie czekając na dalsze oznaki poczęliśmy z pośpiechem zaganiać w górę ku przełęczy owce, przynaglając je gwizdem i hukaniem. Pies też opsoczał je, błyskając płomieniem oczowa, jak uciekały.

Nim do przełęczy dobiliśmy, chmura już zakryła słońce. Zniżała się z łoskotem brzmieniem i szła wprost na nas. Kłębiło się w niej okrutnie aż strach nas oblatywał.

Naraz rozbłysło przeraźnie — huk straszny potoczył się po wierchach okolnych — i lunął deszcz wraz z gradem. Siekło nas lodem i ulewą, widziało się że nas żywo zmiecie. Krótko to na szczęście trwało. Zaczem zwaliła się na nas płachta chmury. Noc nas przysiadła.

Byliśmy właśnie na przełęczy.

I z tej nocy raz po raz otwierało się przeraźnie, oczy ślepiące światło — za każdem łyśnięciem dreszcz przez ciało przechodził — huk toczył się gdzieś w dole.

Byliśmy w środku burzy.

Ponad całą, ~~tęsknotę i p~~ tę trwogę i przerazę górował u nas, juhasów, strach o szałas, o owce. Mogliśmy jeno spuścić się z niemi jedynym bezpiecznym szlakiem, urwisem z przełęczy — a w momencie tym gadki o tem nie było. Zbiły się bowiem w strachu w jeden płacht niezwolny i, na żadne hukanie, gwizdy nie zważając zsuwały się ścianą, biegąc w stronę północną, na ślepo, w mgnieniach, między łyskaniem, gdy noc zapadła,

traciliśmy je z oczu. A gdy rozbłysło, to się jak lawina ruchem rozpędzonym wyjawiały — sunące prosto na przepaść.

Rozpacz nas ogarniała. Ochrypliśmy od krzyczenia, wreszcie się wzywaliśmy — rąk i kolan — by je skierować w stronę prawą, bezpieczniejszą dla zejścia. Na nic. Żadna moc by ich w tym ślepym, lawinnym ruchu nie wstrzymała.

Tak zsunęły się nad krawędź przepaści. W rozbłysku światła widzimy, jak urywa się część wełnistej lawiny i niknie... Cud, że reszta, jakimś ostatnim instynktem wstrzymana, zwróciła się na prawo.

Gdy spuściliśmy się na dół, na hale, widniej się uczyniło! Burza już z wierchów opadła. Na zachodzie pokazał się skrawek jasnego nieba. Policzyliśmy stado — sto owiec brakowało. Byliśmy jeszcze radzi, że na tem się skończyło. Bo mogły wszystkie opaść w przepaść.

56

Wł. Orkan

OWCE W BURZY.

Wysoko w Tatrach, między skalnemi zboczami, znajdują się łąki, zwane halami, na których latem wypasują się /liczne/ szałasy. – Taki szałas, jest to kierdel do trzystu i więcej owiec, spędzonych z górskich osiedli, a rządzi nim stary gazda /baca/, który w kolebie dymnej wyrabia z mleka owiec sery. Ma on pod sobą kilku dorosłych juhasów, których zadaniem jest pilnować owiec. Pasą je dołem na halach, a czasem podchodzą z niemi po zboczach skalistych na wyniosłe, przy wierchnie upłazy.

Gdy lato ciepłe, pogodne, to niema biedy z szałasem. Ale gdy się trafi rok zimny, burzliwy, gdy padną jak to w górach dość nierzadko bywa – mgły, słoty, wichry, burze lub śnieżyce, wtedy juhasi ciężkie mają z owcami przeprawy. Stworzenia te bowiem, z natury lękliwe, łatwo wpadają w popłoch: /wówczas zbite w ławę, suną przed się na złamanie karku, i nic nie zdoła ich wstrzymać/ – Zdarzyło się raz, że, czemś spłoszony, cały szałas przyleciał z hal do wsi o mil kilka, i ludzie nie mogli zbitych w strachu owiec uspokoić. W ścisku tym padło zduszonych kilkanaście jarek. Albo wówczas, kiedy to z szałasu na Kondratowej sto owiec przepadło... Jeden ze starszych juhasów, który był przy tym szałasie, tak później o tym wypadku opowiadał:

– Onego lata staliśmy z szałasem na hali Kondratowej. Od Zielonych Świąt, kiedyśmy z owcami wyszli, do końca miesiąca czerwca nic się nam niepoślnego nie przydarzyło. Baca był nam juhasom rad, bo ani jedna owca z szałasu powierzonego nam się w tym czasie nie zmarniła. Aż nadszedł ów dzień feralny...

Było to może w tydzień po Świętym Piotrze i Pawle. Już my rano wiedzieli, że coś będzie, bo owce, kieśmy wyganiali, nie chciały jak zwyczajnie z koszaru wyjść. Długą mieliśmy z niemi pracę, nimeśmy je wygnali.

Do-południa paśliśmy na hali, a po wydoju południowym zajęliśmy szałas i udaliśmy się pasęcy ku skalistym wierchom; minęliśmy przełęcz i spuściliśmy się z owcami na stronę południową. Były tam

pośród skał upłaski trawiaste, i owce rade miały się poczem paść. Było w kierdelu pięćset owiec, a na to czterech nas juhasów do strażowania. Pies-owczarz, wprawiony w służbę, obiegając w koło kierdel, pomagał nam w czuwaniu, by się owce zanadto nie rozchodziły.

Słonko, schylone prawie na śródwieczerzu, jakoś zabardzo przygrzewało. Aleć o jakiejś zmianie ani znaku. Cała połać południowa nieba była jasna - dalsze wierchy Tatr i węgierskie widne niże topiły się w słonecznym zalewie. Co było z drugiej od północy strony nie dało się przez przesłonę ściany skalnej widzieć.

Nagle wyjrzała rąbkiem ciemna chmura z ponad północno -zachodniego szczytu i jęła szybko róść na niebie. W momencie pewnym zagrzmiało, Nie czekając na dalsze oznaki, poczęliśmy w pośpiechu zaganiać w górę ku przełęczy owce, przynaglając je gwizdem i hukaniem. Pies też opędzał je, dysząc płomieniem ozora, jak oszalały.

Nim do przełęczy dobiliśmy, chmura już zakryła słońce. Zniżała się włochatem brzemieniem i szła wprost na nas. Kłębiło się w niej okrutnie i szumiało aż strach nas oblatywał.

Naraz rozbłysło przeraźnie- huk straszny potoczył się po wierchach okolnych - i lunął deszcz wraz z gradem. Siekło nas lodem i ulewą, widziało się, że nas żywo zmiecie. Krótko to na szczęście trwało. Zaczem zwaliła się na nas płachta chmury. Noc nas przysiadła.

Byliśmy właśnie na przełęczy.

I z tej nocy raz po raz otwierało się przeraźnie, oczy ślepiące światło, za każdem łyśnięciem dreszcz przez ciało przechodził - huk toczył się gdzieś w dole.

Byliśmy w środku burzy.

Ponad całą tą trwogą i przerazią górował w nas, juhasach, strach o szałas, o owce. Mogliśmy jeno spuścić się z niemi jednym bezpiecznym szlakiem, ukosem z przełęczy - a w momencie tym gadki o tem nie było. Zbiły się bowiem w strachu w jeden płach nieprzerwalny i na żadne hukania, gwizdy niezważając, zsuwały się ścianą białą w stronę północną, na ślepo. W mgnieniach między łyskaniem, gdy noc zapadła traciliśmy je z oczu. A gdy rozbłysło, to się jak lawina oczom zlęknionym wyjawiały - sunące prosto na przepaść.

Rozpacz nas ogarniała. Ochrypli od hukania, wszelkich sił używaliśmy - rąk i kolan - by je skierować w stronę prawą gdzie bezpieczniej-

Wł. Orkan

OWCE W BURZY.

Wysoko w Tatrach, między skalnemi zboczami, znajdują się łąki, zwane halami, na których latem /liczne/ szałasy. - Taki szałas, jest to kierdel do trzystu i więcej owiec, spędzonych z górskich osiedli, a rządzi nim stary gazda /baca/ który w kolebie dymnej wyrabia z mleka owiec sery. Ma on pod sobą kilku dorosłych juhasów, których zadaniem jest pilnować owiec. Pasą je dołem na halach, a czasem podchodzą z niemi po zboczach skalistych na wyniosłe, przy wierchach upłazy.

Gdy lato ciepłe, pogodne, to niema biedy z szałasem. Ale gdy się trafi rok zimny, burzliwy, gdy padną jak to w górach dość nierzadko bywa - mgły, słoty, wichry, burze lub śnieżyce, wtedy juhasi ciężkie mają z owcami przeprawy. Stworzenia te bowiem, z natury lękliwe, łatwo wpadają w popłoch: /wówczas zbite w ławę, suną przed się na złamanie karku, i nic nie zdoła ich wstrzymać/ - Zdarzył się raz , że, czemś spłoszony, cały szałas przyleciał z hal do wsi o mil kilka, i ludzie nie mogli zbitych w strachu owiec uspokoić. W ścisku tym padło zduszonych kilkanaście jarek. Albo wówczas, kiedy to z szałasu na Kondratowej sto owiec przepadło... Jeden ze starych juhasów, który był przy tym szałasie, tak później o tym wypadku opowiadał:

- Onego lata staliśmy z szałasem na hali Kondratowej. Od Zielonych Świąt, kiedyśmy z owcami wyszli, do końca miesiąca czerwca nic się nam niepośnego nie przydarzyło. Baca był nam juhasom rad, bo ani jedna owca z szałasu nam się w tym czasie nie zmarniła. Aż nadszedł ów dzień fatalny...

Było to może w tydzień po Świętym Piotrze i Pawle. Już my rano wiedzieli, że coś bedzie, bo owce, kieśmy wyganiali, nie chciały jak zwyczajnie z koszaru wyjść. Długą mieliśmy z niemi pracę, nimeśmy je wygnali.

Do-południa paśliśmy na hali, a po wydoju południowym zajęliśmy szałas i udaliśmy się pasęcy ku skalistym wierchom; minęliśmy przełęcz i puściliśmy się z owcami na stronę południową. Były tam

pośród skał upłaski trawiaste, i owce rade miały się poczem paść. Było w kierdelu pięćset owiec, a na to czterech nas juhasów do strażowania. Pies-owczarz, wprawiony w służbę, obiegając w koło kierdel, pomagał nam w czuwaniu, by się owce zanadto nie rozchodziły.

Słonko, schylone prawie na śródwieczerzu, jakoś zabardzo przygrzewało. Aleć o jakiejś zmianie ani znaku. Cała połać południowa nieba była jasna - dalsze wierchy Tatr i węgierskie widne niże topił się w słonecznym zalewie. Co było z drugiej od północy strony nie dało się przez przełęcz ściany skalnej widzieć.

Nagle wyjrzała rąbkiem ciemna chmura z ponad północno zachodniego szczytu i jęła szybko róść na niebie. W momencie pewnym zagrzmiało. Nie czekając na dalsze oznaki, poczęliśmy w pośpiechu zaganiać w górę ku przełęczy owce, przynaglając je gwizdem i hukaniem. Pies też opędzała je, dysząc płomieniem ozora, jak oszalały.

Nim do przełęczy dobiliśmy, chmura już zakryła słońce. Zniżała się włochatem brzemieniem i szła wprost na nas. Kłębiło się w niej okrutnie i szumiało aż strach nas oblatywał.

Naraz rozbłysło przeraźnie- huk straszny potoczył się po wierchach okolnych - i lunął deszcz wraz z gradem. Siekło nas lodem i ulewa widziało się, że nas żywo zmiecie. Krótko to na szczęście trwało. Zaczem zwaliła się na nas płachta chmury. Noc nas przysiadła.

Byliśmy właśnie na przełęczy.

I z tej nocy raz po raz otwierało się przeraźnie oczy ślepiące, światło za każdem łyśnięciem dreszcz przez ciało przechodził - huk toczył się gdzieś w dole.

Byliśmy w środku burzy.

Ponad całą tą trwogą i przerazią górował w nas, juhasach, strach o szałas, o owce. Mogliśmy jeno spuścić się z niemi jednym bezpiecznym szlakiem, ukosem z przełęczy - a w momencie tym gadki o tem nie było. Zbiły się bowiem w strachu w jeden płach nierozerwalny i na żadne hukania, gwizdy nieważając, zsuwały się ścianą białą w stronę północną, na ślepo. W mgnieniach między łyskaniem, gdy noc zapadała traciliśmy je z oczu. A gdy rozbłysło, to się jak lawina oczom zlęknionym wyjawiały - sunące prosto na przepaść.

Rozpacz nas ogarniała. Ochrypli od hukania, wszelkich sił używaliśmy - rąk i kolan - by je skierować w stronę gdzie bezpieczniej.

OWCE W BURZY.

Wysoko w Tatrach, między skalnemi zboczami, znajdują się łąki, zwane halemi, na których latem wypasają się /liczne/ szałasy. - Taki szałas, jest to kierdel do trzystu i więcej owiec, spędzonych z górskich osiedli, a rządzi nim stary gazda /baca/ który w kolebie dymnej wyrabia z mleka owiec sery. Ma on pod sobą kilku dorosłych juhasów, których zadaniem jest pilnować owiec. Pasą je dołem na halach, a czasem podchodzą z niemi po zboczach skalistych na wyniosłe, przy wierchach upłazy.

Gdy lato ciepłe, pogodne, to niema biedy z szałasem. Ale gdy się trafi rok zimny, burzliwy, gdy padną jak to w górach dość nierzadko bywa - mgły, słoty, wichry, burze lub śnieżyce, wtedy juhasi ciężkie mają z owcami przeprawy. Stworzenia te bowiem, z natury lękliwe, łatwo wpadają w popłoch: /wówczas zbite w ławę, suną przed się na złamanie karku, i nic nie zdoła ich wstrzymać/ - Zdarzyło się raz , że, czemś spłoszony, cały szałas przyleciał z hal do wsi o mil kilka, i ludzie nie mogli zbitych w strachu owiec uspokoić. W ścisku tym padło zduszonych k kilkanaście jarek. Albo wówczas, kiedy to z szałasu na Kondratowej sto owiec przepadło... Jeden ze starszych juhasów, który był przy tym szałasie, tak później o tym wypadku opowiadał:

- Onego lata staliśmy z szałasem na hali Kondratowej. Od Zielonych Świąt, kiedyśmy z owcami wyszli, do końca miesiąca czerwca nic się nam niepoślnego nie przydarzyło. Baca był nam juhasom rad, bo ani jedna owca z szałasu powierzonego nam się w tym czasie nie zmarniła. Aż nadszedł ów dzień ~~fatalny~~ feralny...

Było to może w tydzień po Świętym Piotrze i Pawle. Już my rano wiedzieli, że coś bedzie, bo owce, kieśmy wyganiali, nie chciały jak zwyczajnie z koszaru wyjść. Długą mieliśmy z niemi pracę, nimeśmy je wygnali.

Do-południa paśliśmy na hali, a po wydoju południowym zajęliśmy szałas i udaliśmy się pasęcy ku skalistym wierchom; minęliśmy przełęcz i spuściliśmy się z owcami na stronę południową. Były tam

pośród skał upłaski trawiaste, i owce rade miały się poczem paść. Było w kierdelu pięćset owiec, a na to czterech nas juhasów do strażowania. Pies-owczarz, wprawiony w służbę, obiegając w koło kierdel, pomagał nam w czuwaniu, by się owce zanadto nie rozchodziły.

Słonko, schylone prawie na śródwieczerzu, jakoś zabardzo przygrzewało. Aleć o jakiejś zmianie ani znaku. Cała połać południowa nieba była jasna - dalsze wierchy Tatr i węgierskie widne niże topił się w słonecznym zalewie. Co by ło z drugiej od północy strony nie dało się przez przesłonę ściany skalnej widzieć.

Nagle wyjrzała rąbkiem ciemna chmura z ponad północno zachodniego szczytu i jęła szybko róść na niebie. W momencie pewnym zagrzmiało, Nie czekając na dalsze oznaki, poczęliśmy w pośpiechu zaganiać w górę ku przełęczy owce, przynaglając je gwizdem i hukaniem. Pies też opędzał je, dysząc płomieniem ozora, jak oszalały.

Nim do przełęczy dobiliśmy, chmura już zakryła słońce. Zniżała się włochatem brzemieniem i szła wprost na nas. Kłębiło się w niej okrutnie iszumiało aż strach nas oblatywał.

Naraz rozbłysło przeraźnie- huk straszny potoczył się po wierchach okolnych - i lunął deszcz wraz z gradem. Siekło nas lodem i ulewa widziało się, że nas żywo zmiecie. Krótko to na szczęście trwało. Zaczem zwaliła się na nas płachta chmury. Noc nas przysiadła.

Byliśmy właśnie na przełęczy.

I z tej nocy raz po raz otwierało się przeraźnie oczy ślepiące, światło za każdem łyśnięciem ~~daszcz~~ dreszcz przez ciało przechodził - huk toczył się gdzieś w dole.

Byliśmy w środku burzy.

Ponad całą tą trwogą iprzerazią górował w nas juhasach, strach o szałas, o owce. Mogliśmy jeno spuścić się z niemi jednym bezpiecznym szlakiem, ukosem z przełęczy - a w momencie tym gadki o tem nie było. Zbiły się bowiem w strachu w jeden płach nieprzerwalny i na żadne ~~huknięcia~~ hukania, gwizdy niezważając, zsuwały się ścianą białą w stronę północną, na ślepo. W mgnieniach między łyskaniem, gdy noc zapadła traciliśmy je z oczu. A gdy rozbłysło, to się jak lawina oczom zlęknionym wyjawiały - sunące prosto na przepaść.

Rozpacz nas ogarniała. Ochrypli od hukania, wszelkich sił używaliśmy - rąk i kolan - by je skierować w stronę prawą bezpieczniej-

Wł. - Owcen

OWCE W BURZY.

Wysoko w Tatrach, między skalnemi zboczami, znajdują się łąki, zwane halami, na których latem wypasają się /liczne/ szałasy. - Taki szałas, jest to kierdel do trzystu i więcej owiec, spędzonych z górskich osiedli, a rządzi nim stary gazda /baca/ który w kolebie dymnej wyrabia z mleka owiec sery. Ma on pod sobą kilku dorosłych juhasów, których zadaniem jest pilnować owiec. Pasą je dołem na halach, a czasem podchodzą z niemi po zboczach skalistych na wyniosłe, przy wierchach upłazy.

Gdy lato ciepłe, pogodne, to niema biedy z szałasem. Ale gdy się trafi rok zimny, burzliwy, gdy padną jak to w górach dość nierzadko bywa - mgły, słoty, wichry, burze lub śnieżyce, wtedy juhasi ciężkie mają z owcami przeprawy. Stworzenia te bowiem, z natury lękliwe, łatwo wpadają w popłoch: /wówczas zbite w ławę, suną przed się na złamanie karku, i nic nie zdoła ich wstrzymać/ - Zdarzył się raz , że, czemś spłoszony, cały szałas przyleciał z hal do wsi o mil kilka, i ludzie nie mogli zbitych w strachu owiec uspokoić. W ścisku tym padło zduszonych kilkanaście jarek. Albo wówczas, kiedy to z szałasu na Kondratowej sto owiec przepadło... Jeden ze starych juhasów, który był przy tym szałasie, tak później o tym wypadku opowiadał:

- Onego lata staliśmy z szałasem na hali Kondratowej. Od Zielonych Świąt, kiedyśmy z owcami wyszli, do końca miesiąca czerwca nic się nam niepoślnego nie przydarzyło. Baca był nam juhasom rad, bo ani jedna owca z szałasu nam się w tym czasie nie zmarniła. Aż nadszedł ów dzień feralny...

Było to może w tydzień po Świętym Piotrze i Pawle. Już my rano wiedzieli, że coś bedzie, bo owce, kieśmy wyganiali, nie chciały jak zwyczajnie z koszaru wyjść. Długą mieliśmy z niemi pracę, nimeśmy je wygnali.

Do-południa paśliśmy na hali, a po wydoju południowym zajęliśmy szałas i udaliśmy się pasęcy ku skalistym wierchom; minęliśmy przełęcz i puściliśmy się z owcami na stronę południową. Były tam

pośród skał upłaski trawiaste, i owce rade miały się poczem paść. Było w kierdelu pięćset owiec, a na to czterech nas juhasów do strażowania. Pies-owczarz, wprawiony w służbę, obiegając w koło kierdel, p pomagał nam w czuwaniu, by się owce zanadto nie rozchodziły.

Słonko, schylone prawie na śródwieczerzu, jakoś zabardzo prz grzewało. Aleć o jakiejś zmianie ani znaku. Cała połać południowa nieba była jasna - dalsze wierchy Tatr i węgierskie widne niże topił się w słonecznym zalewie. Co by ło z drugiej od północy strony nie dało się przez przełęcz ściany skalnej widzieć.

Nagle wyjrzała rąbkiem ciemna chmura z ponad północno zachodniego szczytu i jęła szybko róść na niebie. W momencie pewnym zagrzmiało, Nie czekając na dalsze oznaki, poczęliśmy w pośpiechu zaganiać w górę ku przełęczy owce, przynaglając je gwizdem i hukaniem. Pies też opędził je, dysząc płomieniem ozora, jak oszalały.

Nim do przełęczy dobiliśmy, chmura już zakryła słońce. Zniżała się włochatem brzemieniem i szła wprost na nas. Kłębiło się w n niej okrutnie iszumiało aż strach nas oblatywał.

Naraz rozbłysło przeraźnie- huk straszny potoczył się po wierchach okolnych - i lunął deszcz wraz z gradem. Siekło nas lodem i ulewa widziało się, że nas żywo zmiecie. Krótko to na szczęście trwało. Zaczem zwaliła się na nas płachta chmury. Noc nas przysiadła.

Byliśmy właśnie na przełęczy.

I z tej nocy raz po raz otwierało się przeraźnie oczy ślepiące, światło za każdem łyśnięciem dreszcz przez ciało przechodził - huk toczył się gdzieś w dole.

Byliśmy w środku burzy.

Ponad całą tą trwogą iprzerazią górował w nas juhasach, strach o szałas, o owce. Mogliśmy jeno spuścić się z niemi jednym bezpiecznym szlakiem, ukosem z przełęczy - a w momencie tym gadki o tem nie było. Zbiły się bowiem w strachu w jeden płach nierpzerwalny i na żadne hukania, gwizdy niezważając, zsuwały się ścianą białą w stronę północną, na ślepo. W mgnieniach między łyskaniem, gdy noc zapadła traciliśmy je z oczu. A gdy rozbłysło, to się jak lawina oczom zlęknionym wyjawiały - sunące prosto na przepaść.

Rozpacz nas ogarniała. Ochrypli od hukania, wszelkich sił używaliśmy - rąk i kolan - by je skierować w stronę prawą bezpieczne

J. Bałucki i St. Maykowski
Kraj lat dziecinnych, Lwów 1931, str. 169 nn

Zła zima.

Zazwyczaj zima w górach daje się ludziom jak i zwierzętom we znaki; lecz zimy takiej, jaka w tym czasie, o którym ninie ~~[illegible]~~ mówimy, nastała, nie pamiętali najstarsi gazdowie. Była to, w całem tego słowa znaczeniu, zła zima.

Spadł odrazu na Wszystkich Świętych śnieg wielki i sypał przez dni następne jak z wora, tak, iż widziało się: wszystko w śnieżnej pogrąży zatonie. Zaczem przyszła zawierucha, jęło dąć śniegiem lecącym i spadłym — ~~[illegible]~~ jedna biel wirująca podniosła się od ziemi do nieba. Trwała ta zamieć dni kilka, a gdy się w końcu uciszyło i rozjaśniło nieco, przedstawił się zdumieniu świat przeinaczony... Gdzie były poprzód dolinki, tam wzgórza białe — płotów jak niedz wysokich ni śladu — koło ścian szańce, sięgające strzechy — każdy pień w sadzie, odęty naokół, jakby wyrastał ze studni, a drzewa o pół skrócone: śniegu wzwyż do paru metrów.

Od izb do stajen, by się dostać, ~~[illegible]~~ rozkopy musiano czynić w zaspach i tunele; tożsamo ~~równie~~ do studzien. Z osiedla do osiedla śladów nie uświadczył — ani gadki, by się kto mógł przez topiel zaspów przekopać. Do tego mróz siarczysty chwycił. Zamknęło ludzi ~~[illegible]~~ w domach.

Ptactwo przeniosło się w niższe okolice, by łatwiej jakieś pożywienie znaleźć, a wierne górom trznadle i sikorki ściągnęły się do stodół i sieni.

Zwierzyny leśnej ani słychu. – Zające gdzieś w szczelinie zaspu pod jałowcem znalazły przygodne schronę. Wiewiórki ukryły się w swych mchowych pościelach, futerkami ogonów nakryte. Kuna też nie wychyliła się z zaarendowanego wiewiórczego gniazda, w czarny swój mufek po oczy łebisce schowana. Lis zaszył się na podziemie jamy, kontentując się dogryzieniem pozostawionych z lepszych czasów kości. Borsuk w martwotę zapadł w swojej norce, tłustością własną sycony.

*/.

Dziki i sarny, które zima, zaskoczona nagle zwaloną, zaskoczyła w wyżynnych ostojach, nie mogły już, z powodu niebywałych zasp, okrutnych [illegible], dostać się w niższe rejony, i skazane były na przetrwanie, aż się odwilż przystąpi. Gdzie je [illegible] przez okrutny zapust, tam trwały: pojedynczo lub w zbitych gromadkach stały pod strzechą konarów, oszukując głód zmarzłym mchem, korą wydobytymi, czym mogły.

Tak pod schronem rozłożystej na skraju jodły (?) skupiło się stadko: sarna matka z [illegible] i trzy sztuki: z tych jedna maleńka, rozpuszczona, i dwie roczne [illegible]. Odgłos ich naokoło, zgarnięte ściany śniegu (widziało się) ściany na dnie, [illegible]. Zresztą było tam nic. Odgrzebywały ratkami śnieg i dostawały z pod ściółki zamarzłe resztki zimowej trawy, płatki mchu, [illegible], a [illegible] tkwiło jeszcze w ich [illegible]. Lecz mijał dzień po dniu, a znikąd żadnej odmiany, bo coraz zimniej i głębiej. Co mogły z dna zdobyć, spożyły. Zostało ino śnieżne [illegible], na [illegible] przez noc [illegible] zamarzło. Tedy, gdy głód dopiekał, [illegible] ogryzać [illegible] korę z [illegible] jodły. [illegible] przegryzaniem, jadły śnieg, który ogień gasił. W czasie długich mroźnych nocy tuliły się do siebie i grzejąc się swym oddechem, trwały w półśnie, półjawie.

Przyszły dnie [illegible]. Kory już nie [illegible]. Głód począł słabić je w nogach. Najmłodsza sztuka osunęła się na ziemię. A dwie [illegible] pozostałe [illegible]

4 pytaniem
błagalnym
(bezradnie) zawodziły na rogacza, na opiekuna swego jedynego. Jeleń pojął tę ich prośbę, [illegible] sam uwierzył, że to już ostateczny kres. Trzeba znaleźć jakąś radę. Gdyby do lasu młodego się przedostać – tam [illegible]. Tylko [illegible] dałoby się przetrwać. Gdzie tam nisko zwisające, całymi [illegible] [illegible]. Tam [illegible] przeżydzie. [illegible] zrobić, też przeszło...

Rzucił się w ścianę śniegu, lecz odrzuciło go z powrotem. Nie dając za wygraną, ociężały, rozpędzony, powtórzył próby raz drugi i trzeci... Za czwartym razem ugrzązł [illegible] i całego wysiłku musiał użyć, by się wydobyć z powrotem. O przedostaniu się dalej ani mowy. Opuścił głowę ku ziemi na znak swej bezradności, niedoli i [illegible].

Minęło [illegible] stojący. Stadko osłabione [illegible] się wynędzniałe, tylko [illegible] [illegible] ze [illegible] [illegible] strasznego głodu. Coraz [illegible] opierały się żałośnie głowy na szyjach, coraz smutniej patrzyły na siebie [illegible] oczy. Widmo bliskiego końca zawisło nad stadkiem. Minęło znów dni kilka bez odmiany.

Wreszcie nadszedł dzień, gdy najmłodsza ze stadka, już nie [illegible] ([illegible]), nie [illegible]. Zbliżył się ku niej [illegible] i pomógł jej [illegible] lekko nóżką. Po [illegible], zrozumieli [illegible], oczy rozpaczne obróciły na [illegible] na ojca-rogacza. I drugie [illegible], a wreszcie [illegible] tak [illegible] i [illegible] o ratunek.

~~[illegible]~~ Ryknął z serca, jakby w serce ugodzony strzałą, ~~[illegible]~~ i prze-
rażony przez pokrzywy, runął w ~~[illegible]~~ zasyp śnieżny. Utonął zaraz,
lecz nie dał ~~[illegible]~~ się pogrążyć. Począł podrzucać skoki
i parł piersią, ~~[illegible]~~ zagarnął przejrzystej śnieżny pod
sobą, a co chwila zapadając i wydźwigając się przemocą w górę.
~~Począł nareszcie płynąć...~~
Chciał masę śnieżną ścisnąć pod sobą, uczynić wysoki
~~[illegible]~~ zwałone, by się nad nią ~~[illegible]~~ wydostać, lecz
~~[illegible]~~ wielka masa przezroczysta wciągała go jak w wodę.

Począł ~~[illegible]~~ nareszcie płynąć...

Wiódł rozkołysany głowy jak wodę wzburzył, a nogami
przebierał, przed ~~[illegible]~~ rozpaczny zasłaniał się.

W pewnym momencie ~~[illegible]~~ otrząsnął głowę ze śniegu — ~~[illegible]~~
~~nie tor przed~~ — Ujrzał już szpary od drzew... ~~Obejrzał~~ Obejrzał
swoje ~~[illegible]~~ ślady, jak się układają za nim — lecz, ostatnie, ~~[illegible]~~
ustały wnet, ~~[illegible]~~ i musiały się ~~[illegible]~~ cofać.

A przetoruje ci drogę ~~[illegible]~~ podwójnie — wrócić po nie.

Pewny zwycięstwa, począł płynąć przez pokłady
dalej. Lecz opór był nadmierny. Długie godziny
uszły, nim ~~[illegible]~~ dobrnął na środek. (~~dziś~~)

Odpoczął ~~[illegible]~~ moment — i znów ruszył na-
przód. ~~[illegible]~~ Natrafił na głębiny, w których nogi
dna nie dostawały — osunął się — a oczy śnieg
mu zasypywał. Parskał tedy, wynurzał się ~~[illegible]~~
brał pod się puszyste fale — i płynął, płynął, płynął.

6.

Na jeziora polanki zdarł się jak
łódź rybacka, za którą szlak ciągnie drugi siniejący.

Już przeczuwał wyjście z matni — gdzieś skraj leśny
niedaleko!.. zwycięstwo... (Ślady na ośnieżonej)

Znowu zapadł w zaspę. Czyni wysiłki okrutne,
nie może opanować chwiejącej się, grząskiej,
miękkiej masy. Siły, rozpaczą dobyte, wyczerpały się w pół
drogi. Próbuje wrócić —
na nic — masa ciężąca nie puszcza, pęta
nogi, całe ciało zesztywniałe w kleszczach zimne
zagarnia.

Ostatkiem siły (wyrwał jeszcze) podrywa w górę —
i znieruchomiał w zaspie.

wyprostowane nogi rozchylone, uniesione ponad śnieg,
2 świadczyły, gdzie ustał zwierza ruch.

Na drugi dzień ślady jego przetarte na bokach
1. Zarównał go noc.

(3. Gdy słońce wyszło nad polanki i
zroszonym osypane latorośle rosy, ostrzeliło
zakwitły jak bezcenny krew
pośmiertne...
z bryłki wyjrzały.

(odlot wichr)

Orły.

Na baszcie niedzickiego zamku, nad Dunajcem, naprzeciw ruin Czorsztyna, gnieździła się para królewskich orłów. Stąd, z tej wysokiej straży nadgranicznej panowała nad całym Spiszem.

Stąd czyniła wyprawy powietrzne po należną jej z ziemi tej daninę. Nie wybierała jej jednak, podług tradycyjnych nakazań, z okolicznych wsi: aby gniewu i pomsty w sąsiedztwie tak bliskiem, co by bezpieczny gniazda zagrażało, nie wywoływać — lecz zapuszczało się jedno lub drugie w swych wycieczkach daleko na południe, aż poza Kieżmark, Podoliniec, w słowackie ziemie dziedziny, i stamtąd rabowało sobie prawem orlem naznaczony haracz.

W dni deszczowe, zamglone, siadywały w posępie na krawędzi baszty i, chmurnym wzrokiem pozierając z góry, ostrzem dziobów gładziły nastroszone pióra. — Zaś, gdy rano się otwarło słoneczne, i granie Tatr Wysokich rysowały się na czystym bez chmurki błękicie, tedy, przeistoczone pogodnym [?] ciągnione [?], porywały się samolotnie z baszty, wzbijały się ku niebu wysoko i nad poniżoną ziemią majestatyczne zataczały koła.

W promieniach ich podniebnego wzroku zieleniło się rozległą mapą w dole całe ich królestwo spiskie: od sinych murów Tatr po liljowe Pieniny — od (niebieskiego) wszystkiego [?] zakola Dunajca po lśniącą wstęgę Popradu. Władczym, królewskim wzrokiem toczyły po swej ziemicy, a zaś, pagórzysty, z górą zrównany kraj — gdy ponad

nim szerokie zataczały kręgi — karmiąc, zdało się, ich widokiem. — Ludzie, pracujący w polu, prostowali się znad ziemi i, słoniąc oczy dłonią przeciw słońcu, śledzili wzrokiem podziwu ich królewskie zawiłe okręgi.

— To ci wspaniały ptak! — mówili w dumie. — Jak se tak po niebie płynie...

A one pływały dumnie, jak admiralskie pancerne okręty, po morzu niebios. Pływały po błękicie pols[illegible] w słońcu, jak dwa ciemne obłoki, bez celu.

Nieraz zaś głód je i troska o orlęta młode do kołowania celowego zmuszał. Wtedy odbijały się daleko od gniazda, szybowały utartemi szlaki na południe i tam nad pagórkami-dolinkami, nad dziedzińcami o[illegible]wackiemi toczyły koła złowrogie, wypatrując z wysoka żywiny. — Ludzie tu już nie sławili ich w ładnych okręgach, lecz je jak manewry wroga traktowali.

— O, patrzcie! — wskazywali w górę na kołujące. — Już po podatek przybyły... Już upatrują, rabusiówki, co w swe szpony by porwać.

Choć w rzeczy — co się koło osiedli kręciło, żadnej z tego orłom naszym korzyść. Gąsięta, kurczęta, kury — za liche to dla ich trudu zdobycze. Te zostawiały czeladzi swej: jastrzębiom i krogulcom.

Co innego, gdy się zabieliło na pastwisku kędyś jagnię młode — gdy się ukazał zając w polu lub zaczerwienił się lis przemykający — gdy sarnię wyszło na polanki... Wtedy orzeł czy orlica (które z nich koło ponad tem toczyło) (ściśle) stuliło raptem wiechy skrzydeł i strzałą prosto spadało ku ziemi po upatrzony łup.

Porywało go w straszne kleszcze szponów i najbliższym szlakiem ~~wracało do~~ spieszyło do gniazda z ciężką wonną zdobyczą. Tu na nią czekały ~~otwarte młode~~, ostre haki dziobów, zdaleka się już przy zbliżającym się, znanym szumie skrzydeł łakomie rozwierając~~cych~~.

Gdy młode orlęta opierzyły się na tyle, że wyrosły im długie lotki skrzydeł, wówczas rodzice wywoływali je z gniazda i zaprawiali w ćwiczeniach do lotu. A skoro już widzieli, że samotne dadzą sobie radę, wtedy wypuszczali je z pod swojej opieki. I widać było ~~z pobliskich~~ z pobliża Niedzicy, jak krążyły godzinami na powietrzu koła z oczekującym kwileniem: „Ki-li! Ki-li!" — aż je głód w końcu doskwierający do przedsiębiorczości samodzielnej zmusił.

Co rok wylatywało z baszty zamku nowe pokolenie, które zakładało w pobliskich Pieninach, w lasach Falsztyna lub w tatrzańskich skałach swoje wysokie osiedle i mnożyło wyprawami swemi na południe chwałę niedzickich orłów.

Para królewska, w Niedzicy pozostająca, dzierżyła władzę ~~ziemią spiską~~ nad ~~polskim Spiszem~~ polskim Spiszem berło. I dobrze jej się wiodło. Wszak dziwiło się, że szczęście, mocnym sprzyjające, na stałe przy niej siadło.

Aż przyszedł rok fatalny... ~~Co~~

Coś się w ich królestwie ~~spodziewa~~ poczęło psuć. Jakieś niezwykłe poruszenie wśród ludności — zgromadzenia hałasu [?] w dziedzińcach — przyjazdy furmanek [?] wszelkich — przemykanie drogami automobilów — dały się z góry oczom ich bystrym uważyć. Dziwowały się tym zmianom,

4.

nie mogąc poznać przyczyny. (Wielu orłów prostość pierwotnego prawa nie mogła wedrzeć się poza widma plebiscytu). Aż w dniu ~~[illegible]~~ jednego, gdy kołowały wysoko, zauważyły tu i tam na otwartej w dole mapie gromadki ludzi w odstępach, którzy wbijali w ziemię jakieś znaki. Znaki te szły od Czerwonego Klasztoru – przez Magórę, opodal – do Jurgowa. (Jasne, niewiadome ogrom ~~[illegible]~~ dyplomacji, nie mogły orły w prostocie swej wiedzieć, że się tu wznosi (nowa wytyczna granica) – ~~[illegible]~~ Że jakoś ich zmór, gdy nad tą częścią krainy, postrzegły stojących w pobliżu tych znaków ludzi w mundurach, podobnych do żołnierzy, z groźnymi kijami na ramionach (Znały te ~~[illegible]~~ zdradne kije dobrze: z których wypada błysk i huk śmiertelny). Trzymały się ostrożnie wysoko, będąc to zjawisko ~~[illegible]~~ (stale) w mniemaniu pewnym, gdy orlica, pomyślała sobie w okrążaniu, by dokładniej rzecz uważyć, z stuk i hukiem wypadł z dołu i wyrwał jej dwa ~~[illegible]~~ pióra z rozpostartego skrzydła. (Widać to na [illegible]). Czemprędzej wzbiła się wyżej, ostrzegając krzykiem towarzysza. – Cofnęły się nad terenem ku zachodowi, biorąc Dunajca ~~[illegible]~~ i, kołując nad Niedzicą, Kacwinem ~~[illegible]~~, Ostrowskim, Trybszem, Białką Spiską, ~~[illegible]~~, a przyglądając się ku miedzy zdradliwej, miedzy nigdzie gubiącej, że się im przedtem ~~[illegible]~~ zaciemniło.

Pewnego ranka ~~[illegible]~~ orzeł, na którego ~~kolej~~ wypadła kolej zdobycia obiadu, zerwał się z ~~[illegible]~~ bezdni i poszybował górą na południe. Orlica została w gnieździe przy pisklętach.

Po jakimś czasie – gdy już orzeł-rodzic powinien był nadlecieć z obiadem – rozległ się z południa po powietrzu, stłumione przestrzenią i wierzchem lasu, echo wystrzału... Porwała się orlica z gniazda, niespokojna, wyleciała wysoko w powietrze i bystry wzrok rzuciła ku południowi. Jeszcze widać było w powietrzu czysty pasek dymu, wprost nad linią owych dziwnych znaków. Tknięta trwogą, poszybowała w stronę tego dymu, który wnet zniknął. ~~Nadpływając ku odległej granicy, instynktem~~ Nadpływając ku odległej granicy, instynktem uniosła się w górę. ~~[illegible] Obawę trapiona w górze~~, i wysoko zataczała nad tem miejscem koła, wypatrując z natężeniem podejrzanych ~~punktów~~ na ziemi. Nagle wydała krzyk krótki, rozpaczliwy... Oto w dole dojrzała ~~[illegible]~~ zewłok swego orła w ręku człowieka w mundurze. Rzuciła się bez pamięci na dół – wprost na głowę owego zabójcy. Już była tuż nad czołem jego – gdy znów ~~instynkt~~ mocniejsza ponad wszystko trwoga poderwała ją z powrotem w górę.

Długo z boleścią krążyła nad tem miejscem klęski. Wreszcie pamięć na głodne pisklęta pociągnęła ją do ~~[illegible]~~ szukania żeru. Sama już teraz musiała je żywić. Ale odtąd też również musiała się strzec. Ile razy przyszło jej polatywać po ~~[illegible]~~ zdobycz czy z łupem ponad owemi granicami, to zawsze wzbijała się wyżej, aby ujść czyhającej zdrady. – Już nie powróci owo... bodziec nad Spiszem. Może jeszcze nadzieja wróżyła, że one kiedyś....

—

(c.d.) II 70 4.

I dobrze się królewskiej parze ~~sokolej~~ ~~(sokołowej)~~ orlej, nad Spiszem panującej, wiodło. Widziało się, że szczęście, ~~[illegible]~~ mocnym sprzyjające, na stałe przy niej siadło. ~~A~~ Aleć wiadomo, że i panujących ślepy ~~(zaraz)~~ grot losu nie omija.

W jedno pogodne rano ~~[illegible]~~ orzeł, na którego wypadła ~~właśnie~~ kolej zdobycia obiadu, porwał się z poszumem z baszty i popłynął zwycięzcą ~~[illegible]~~ wyprzestrzym ~~potem ku~~ ku południowi. Mijały się oczom jego lasy w poniżu w dole i w opyli słońca zatonione pagórze ~~lasy~~ spadziste, doliny — na prawo zaś spiętrzały się w górę ostrymi załomami granicy Tatr, i stał samotnie na uboczu groźny cień [illegible] Murań.

~~[illegible]~~ Przypomniało się ~~po~~ płynącemu ~~[illegible]~~ podniebnie orłowi, jako niedawnym czasem jagnię pozyskał na zboczu Murania. Pies-owczarek zrobił [illegible], juhasi przypędzili — a on je im ~~[illegible]~~ na oczach w powietrze uniósł.

— Możeby zboczyć... Znajdzie się zapewne jeszcze... i byłoby bliżej do obiadu.

W tej myśli odwrócił ster w kierunku na zachód i wnet nadpłynął nad ścięte zbocza Murania. Począł ~~kołować~~ zataczać koła, wypatrując z góry. Ujrzał na zielonym upłazie owce białe, cały ~~(tłok)~~ rozsypany kierdel, niby kamyki ruchliwe. Opuścił się ~~kr~~ tuż okręgiem i śledził je dokładniej lunetami ócz. Pilnowało je, widzi, dwóch juhasów: jeden ciupagę dzierżył w ręku, drugi zaś ~~[illegible]~~ połyskującą, [illegible]

kij. Nic sobie nie robił z tego – ~~[illegible]~~ choć z nich [illegible] ~~sięgę~~ – byleby jeno ~~wypada~~ upatrzyć odpowiedni łup... Zoczył wreszcie dwa jagnięta, pasące się po boku. Jedno z nich sobie naznaczył i już miał je na celu źrenicy. Kiedy kołujące coraz ~~węższy~~ węziej, zawisł się prosto ponad niem, stulił raptownie skrzydła i piorunem szumiącym spadł na nie. W mig poderwał się od ziemi z zdobyczem w szponach. Jeszcze nie odbił się wzwyż, kiedy łuk wypadł z znienacka, i wraz łoskot bolesny przeszył mu skrzydło. Posypały się pióra... Kiedy łuk drugi dobiegł z ~~dołu~~ ziemi, był już z łupem ~~wysoko~~ daleko.

~~Odtąd orzeł nasz Wykurował się po tym wypadku nasz orzeł, lecz stał się inwalidą~~ Odtąd orzeł nasz szwankował na zdrowiu. Mógł jeszcze unosić się na falach powietrza, ale już niepewnie, chwiejnie, jak aeroplan o zachwianiętem skrzydle; o dalekich, zdobycznych wyprawach nie mogło już być mowy.

Cały trud dożywienia orląt spadł teraz na orlicę. Co rano szybowała ku ~~stronie południa~~ spichrzom południa i powracała wieczorem późnym – nigdy z próżnymi szpony. Kiedy jednego dnia zabawiła dłużej na południu i wracała ~~ze zdobyczą koło środy~~ do gniazda ze zdobyczą koło śródwieczerz, z dala już, nadpływającą, uderzył widok dymu skłębionego nad basztą zamku. Tknięta trwogą, pomknęła chyżo, co sił w skrzydłach. Nie było już

wstępliwości i pożar objął beszty. Wzniecił też ~~popiół~~ dym leżącego w osłonieniu orła, wydającego dziwne skwiry trwogi.

~~— Pisklęta~~!..

Puściła ze szponów łup i sama wpadła w gęstą chmurę dymu.

— Pisklęta!...

Dojrzała je ~~krwią oczu~~ przez rdzawy dym w gnieździe, które już języki płomieni muskały. Wydała krzyk krótki, ścinający krew, i na ślepo rzuciła się ku nim... Chwyciła je w szpony i wyrwać w górę z otoczy płomieni było ~~niedługiem~~ jednem — ponad śmiercią — mgnieniem. Zaskwierczały pióra od gorąca — ~~płomień oczy owionął. Płomień~~ żar oczy skrwawił. Nic to — przebiła się już z nimi nad dymy, wyniosła je na powietrze i opodal w lesie na mchu wilgotnym złożyła. Stwierdziła w mroku, że żyją. Oczadzone dymem i gorącem, chłód powietrza otrzeźwił. (Dramat minął.)

Zleciał też ku nim orzeł-inwalida. Dużo było miłosnej powieści. — Po naradzie krótkiej zabrali pisklęta razem i przenieśli je znad Dunajca do ruin Czorsztyna. Tu założyli nowe osiedle. Stąd starostują dalej nad ziemią spiską.

—

Bałucki-Majkowski, Mniej Serce. Lwów 1931, str. 10 n.

72

Orlica. (Orły).

Na baszcie w zamku niedzickim, nad Dunajcem, naprzeciw ruin Czorsztyna, ~~[illegible]~~ gnieździła się para królewskich orłów. Stąd (najwyższej) z wysokiej strażnicy nadgranicznej panowała nad całym spodem. Stąd w [illegible] wyprawy (~~daleko na południe~~) po ~~[illegible]~~ zdobycz z [illegible] ~~[illegible]~~ ... ~~[illegible]~~ do niosą. ~~[illegible]~~ Ku wybierała jej jedna z okolicznych wsi (podług tradycyjnych wskazań), aby ~~[illegible]~~ niedoli i pomsty w sąsiedztwie bliskim, ~~ni~~ coby ~~[illegible]~~ bezpiecznym gniazda zagroziła, na wywiązywanie lecz zapuszczało się jedno ~~czy~~ lub drugie daleko ~~[illegible]~~ na południe, aż (kierunek...) poza Popradem w słowackie dziedziny i stamtąd (ratowało / ~~wybierało~~) sobie prawem orłów przypisany haracz! (Sołtysa, Kurczyka, kury za liczba to dla ich... zdobycz;

te zostawiały zaledwie [illegible] swój
jastrzębiom i ~~krogu~~ krogulcom. Same
zaś podbierały z lat jagnięta ~~mło~~-
de ...... (a z pośród osiedli ludzkich)
z pól zające, z lasów ~~szczupłe~~ mło-
sarniątka młode — i przynosi-
ły je w kleszczach szponów nad-
[illegible] do gniazda [illegible].)
Wychowały już kilka orlich pokoleń,
które...

Utartemi już szlaki powietrznemi wracały do gniazda z łupem, ciężarzy w szponach. [illegible] ta i same jednak uraczone, siedziały na krawędzi baszty, grotami dziobów swych (dziobem) prostujące (wygładzające) pióra. — Gdy dzień był piękny, słoneczny, i zagrzane lato wysoko wynosiły się na czystym bez chmurki błękicie, tedy syte przestworem słoneczno-błękitnym ciągnione, porywały się z baszty i, wzbijały się ku niebu wysoko i nad pomiędzy [illegible] spodem majestatyczne (tryumfalne) zataczały koła. Ludzie pracujący w polu, prostowali się i, słonisz oczy dłonią przed słońcem, śledzili wzrokiem podziwu ich królewskie (zaiste) okrzyki.

— To wiej ptak wspaniały! Jak się po niebie płynie... — mówili górale.

Płynęły istne jak królewskie okręty po morzu niebios

3/

Niejeden zuch głód je i pieśni troska oblęże [illegible]
młode do koncertowania (śliczniejszego) przymusza.
Tedy odbijały się daleko od gniazda, szy-
bowały ulotnie [illegible] na połu-
dnie i tam nad pagórami, (kalenicami)
dolinami, nad [illegible] stołecznemi
toczyły koliście, wypatrując [illegible]
[illegible] żywny.

Ludzie tu już nie [illegible] otwarli ich, (jak rebusików).. traktowali.

— O, patrzcie! — wskazywali kołując. — Już to początek przybyłych.. Już wypatrują rebusiki, coby je w swe dziuple porwać.

Chodź w rzeczy, co się kołacze. Ich [illegible], niewiele z tego ordum nagich korzyść. Surdut, kurczęta, kury zaliczone to dla ich trudu zdobycz. Te zostawiały wielki wszystko swej: jastrzębiom etc. i t. krogulcom.

Co innego gdy się zabieliło na podwórku jegomości modrego gdy się [illegible] rozsypie w polu lub rozsie- wanie się [illegible] przemykujący — gdy dorwać wyrośnie na polanie...
Wtedy orzeł się orłów (które z nich koło [illegible]) [illegible]

nagle skrzydła i strzelić prosto spadłszy na ziemi po upatrzony łup. Porywało go w straszne kleszcze szponów i najbliższym szlakiem wracało do gniazda z ciężącą w szponach zdobyczą. Tu na nią niektóre ostre haki dziobów, które ją w mig rozrywały. Orły [illegible], z daleka się już przy zbliżającym się [illegible] skrzydeł łakomie rozdzierając.

Gdy młode orlęta opierzyły się na tyle, że wyrosły im dłuższe lotki skrzydeł, wówczas rodzice wywoływali je z gniazda i zaprawiali w ćwiczeniach do lotu. A skoro już widzieli, że samotnie dadzą sobie radę, wtedy wypuszczali je z pod swojej opieki.

I widać było, jak toczyły godzinami powietrzu koła (oczekujące), z przyjmującem wołaniem (kwileniem): „Kli! Kli!" — aż je głód do samodzielności przymusił do przedsiębiorczości samodzielnej [illegible].

Co rok wylatywało z [illegible]

5.

~~[illegible]~~ zamku nowe pokolenie, które wiodło ~~w świat i mnożyło wyprawami swemi stare orły~~. Zakładało w pobliskich Pieninach, w lasach Falsztyńskich lub w Tatrach swoje wysokie siedliska i ~~mnożyło~~ mnożyło wyprawami swemi na południe starą ~~[illegible]~~ tatrzańską orłów (orły).

~~Z dobrawoli~~ Królewska Sfera, w której ~~siedziba~~ ufundowana, ~~[illegible]~~ na sporym (~~w wieży~~) dzierżyła władzę (nad spodem) bardzo. I dobrze jej się wiodło. Lecz zdarzyło się, że nie jej panowanie ~~z niedgraniczonego~~ nad ziemią spiską nie podoła ~~[illegible]~~ (~~trosk~~) ~~[illegible]~~. (wywrócił).

Aż przyszedł rok fatalny (1920)..
Coś się ~~na ziemi spiskiej począło dziać jakieś poruszenie~~, w ich królestwie spiskiem pojęło. pani. Jakieś niezwyczajne poruszenie wśród ludności.. Dało się oczom ich bystrym (odrażonych) uważyć. Zgromadzenia.. przejazdy ~~furmanek~~ furmanek wozów, ~~automobilów~~ ~~przejazdy~~ przejeżdżanie (samochodów) automobilów.
Dziwowały się tym zmianom, nie mogąc poznać przyczyny. (W ich orlą prostotę pierwotnego prawa nie mogła przecie wcisnąć się wiedza dyplomatów.)

75 6.

(Aż ci) Dnia jednego, gdy krążyły (pod Słońcem) wysoko, ~~postrzegły~~ zauważyły one i tam ~~gromadki~~ na otwartej [w dole] łące pięć gromadki ludzi ~~którzy stąpili o odst~~ w odstępach, którzy wtykali w ziemię jakieś znaki. (Coby to mogło być?) Znaki te szły od Czerwonego Klasztoru ~~przez~~ Magórą [illegible] spiskę, do Jurgowa.

Że pewnie nie wiedz., gdy nad tą... krążyły, postrzegły ~~koło wpobok~~ [illegible] w pobliżu tych znaków ludzi w mundurach podobnych do orłów, z ognionośnemi kijami na ramionach. (Znały te stworzenia bardzo dobrze: z których wypada ~~huk i~~ piorun [gromem]) ~~huk i błysk błysk~~ (błysk i huk..). Trzymały się ostrożnie wysoko, bacząc to z pewnością – lecz w momencie pewnym, gdy orlica ponad[?] się a w okręgu, by ~~tęgo~~ do którejś nie zbudzić, – ~~huk~~ ~~błysk~~ [strzał] wypadł z dołu ~~z hukiem~~ i wyrwał jej dwie lotki z rozpostartego skrzydła. ~~Czemprędzej~~ ~~[illegible]~~ widać to nie przelewki. Czemprędzej wzbiły się wyżej, ostrzegając [Cofnęły się nad Tatrami, tu [illegible]] tamtym towarzyszy. Długo jeszcze krążyły wysoko (~~nad~~ Dunajcem) ponad ... V...

Jeśli, niewiadomo o spornych [illegible], że się to odnosi do [illegible] granicy (czechosłowacką) granicę.

7. Pewnego ~~Jednego~~ ranka, ~~gdy tak~~ orzeł, na którego kolej wypadło zdobycie obiadu (~~śniadania~~), zerwał się i poszybował gdzieś na południe. Orlica została ~~w gnieździe~~ przy pisklętach w gnieździe.

Po pełnej godzinie, gdy już orzeł-rodzic powinien był nadlecieć z obiadem, ~~[illegible]~~ ~~się [illegible]~~ rozległo ~~się~~ z południa ~~[illegible]~~ po powietrzu, ~~echo~~ stłumione ~~[illegible]~~ przedłużającym się [illegible] huk, echo wystrzału. Porwała się orlica z gniazda, niespokojna, wykonała w powietrzu i bystry wzrok rzuciła ku południowi. Jasno widać było w powietrzu ciągnący się pas dymu, wprost nad granicą ~~[illegible]~~ ogrodu dziwnych maków i (ludzi w mundurach). Tknięta trwogą, poszybowała ~~[illegible]~~ w stronę tego dymu, który wnet ~~się~~ zniknął. Nadlatując ku granicy, dostrzegła [illegible] wzniosła się w górę i wysoko ~~[illegible]~~ zataczała koła, wypatrując pilnie poruszeń na ziemi. ~~[illegible]~~

(Nic osobliwego – prócz tych ludzi z [illegible] nie dało jej się zobaczyć. Zawróciła więc z powrotem do gniazda...

(Nocy chwila długie – słońce już ~~[illegible]~~ z południa przechylało się – omal nie wracał. Czasem wyskoczył nieproszony (pomost, przydrożny ~~[illegible]~~) obrazy. Później też czasem gdzieś dopominały się o podanie. – Oczekiwała jeszcze chwilę –

Nagle wydał krzyk krótki, rozpaczliwy... Oto z dołu ~~[illegible]~~ dopadł z ogródka ~~[illegible]~~ (~~[illegible]~~) ojciec z ręką ułomną w mundurze... A Renata ~~z~~ się bez pamięci na dół – wprost na głowę onego urzędnika... ~~gdy z boku [illegible]~~ wypadł z już była też [illegible] (głowę jego)... gdy zaś (instynktem) mocniejszym drugi podchwycił ją z powrotem w górę... ~~[illegible]~~ długo z boleścią krążyła nad tym martwym kształtem.

Wreszcie pamięć o na przekleństwach ~~[illegible]~~ pociągnęła ją na ~~[illegible]~~ umieranie [illegible]. Sama teraz musiała je żywić.

~~Ile [illegible] [illegible]~~ Ile ona też musiała się stracić! – Ile razy (~~[illegible]~~ [illegible]) po [illegible] wystąpieniu ponad ~~[illegible]~~ z naszymi granicy, to zawsze wbiegła. Tu się w górę, aby wyżej wyżej... Już nie panowała [illegible] nad [illegible] [illegible]. Miała jeszcze nadzieję w otchłaniach, że ona ~~[illegible]~~ kiedyś zapomni –

Królewskie Orły

Na niedostępnej skale, jak na wysokiej baszcie starego zameczyska gnieździła się para królewskich ptaków. (~~Z tej wysokiej straży nadgranicznej~~) Stąd, niby z tej strażnicy nadgranicznej panowały nad całym spiszem. Stąd czyniły wyprawy dalekie na południe po należną im z tej ziemi daninę. Nie wybierały jej jednak, podług tradycyjnych wskazań z okolicznych wsi; aby niechęci i pomsty w sąsiedztwie bliskiem, coby bezpieczeństwu gniazda zagrażało, nie wywoływać, lecz zapuszczały się jeno lub drugie daleko na południe, aż po za Poprad w słowackie dziedziny i stamtąd wybierały sobie prawem orlim przypisany haracz. Gołębie, kurczęta, kury za lichą to dla ich zdobycz; te zostawiały czeladzi niejako swej, jastrzębiom i krogulcom. Same zaś podbierały z hal jagnięta młode, a z pól za osiedli ludzkich, z pól zające, z lasów sarniątka młode -- i przynosiły je w kleszczach szponów do gniazda pisklętom.

Wychowały już kilka orlich pokoleń..

Utartemi już szlakami powietrznemi wracały do gniazda z łupem ciążącym w szponach. Nasycone pisklęta i same godnie ukarmione siadywały na krawędzi swej wyniosłej baszty grotami swych dziobów wygładzając pióra.

Gdy dzień był piękny, słoneczny, i granie Tatr wysokich wysuwały się na czystym bez chmurki błękicie, tedy przestworzem ciągnione, porywały się ze skały, wzbijały się w niebo wysoko i nad zieleniejącą w dole majową ziemią ~~zataczały~~ majestatycznie zataczały koła.

Ludzie pracujący w polu, prostowali się i dłonią oczy dłonią przeciw słońcu, śledzili wzrokiem ich królewskie wiszące zakola.

– To ci ptak wspaniały! mówili w dumie. Tak se po niebie płynie..

Płynęły iście jak ~~królewskie~~ wielkie admiralskie okręty po morzu niebios.

Wnet znów głód je i troska o orlęta młode do

kołowania śledczego przypominała. Tedy odbijały się daleko od gniazda, szybowały utartemi szlaki na południe i tam nad pogodnemi dolinami, nad siedzibami słowackiemi kreśliły koła wypatrując z wysoka żywiny.

Ludzie tu już nie znali ich, lecz jak rabusiów traktowali.

– O patrzcie! – wskazywali na krążące: – Już po podatek przybyły...

Już wypatrują rabuśniki, coby w swe szpony porwać.

Choć w rzeczy co się koło dworca osiedli kręciło, niewiele z tego orłom naszym korzyść. Co innego, gdy się zabieliło na pastwisku jagnię młode, gdy się ukazał zając w polu, lub zawroził się lis pomykający – gdy sarnię wyszło na polankę... Wtedy orzeł czy orlica, które z nich koło po nad twardo, stulało nagle skrzydła i strzałą prosto spadało ku ziemi po upatrzony łup. Porwało go w straszne kleszcze szponów i najbliższym szlakiem wracało do gniazda z ciężarem w szponach zdobyczą. Tu na nią czekały ostre nowi dzioby, które ją w mig rozrywały.

Gdy młode orlęta opierzyły się na tyle, że wyrosły im długie lotki skrzydeł, wówczas rodzice wypędzały je z gniazda i zaprawiali w ćwiczeniach do lotu. A skoro już widzieli że samotne dadzą sobie radę, wtedy wypędzali je z pod swojej opieki. I widać było jak kreśliły godzinami powietrzne koła z przejmującem wołaniem – kwileniem: „Kli! kli!" aż je głód do przedsiębiorczości samodzielnej zmusił.

Co rok wylatywało z skalnego gniazdka nowe pokolenie, które zakładało w pobliżu ~~Tatrach~~ swoje wyrosłe osiedla i mnożyło wyprawami swemi chwałę spiskich orłów.

Para królewska dzierżyła wciąż nad polskim Spiszem berło. I dobrze jej się ~~wodziło gdy że nie~~ działo. Wydawało się, że nic jej panowania nie podważy.

Aż dnia jednego, gdy kołowały nad Spiszem wysoko zauważyły tu i tam, na otwartej w dole mapie gromadki ludzi w odstępach, którzy wbijali w ziemię jakieś znaki (co by to mogło znaczyć?) ~~znaki te były od czerwonego sztandaru~~ ~~[illegible]~~ Ala ~~gis~~

Za jakiś czas znów gdy nad tą... krążyły postrzegły stojącą w pobliżu tyczkę znanów ludzi.

w mundurach podobnych do siebie z ognionośnemi kijami na ramionach. (Znały te strażnice niedobrze: z których wypada piorun z gromem, (błysk i huk...) Trzymały się ostrożnie wysoko, badając to zjawisko – lecz w momencie pewnym, gdy orlica poniosła się w okręgu, by dokładniej rzecz zbadać, – strzał wypadł z dołu i wyrwał jej dwie lotki z rozpostartych skrzydeł. Wtedy to nie pomogło. Ostrożniej odbiegła się wyżej, ostrzegając krzykiem towarzysza, cofnęły się nad teren bliżej gniazda i kołując wysoko nad skałami pozierały ku ziemi zdradzieckiej, niosły uczucie gnębiące, że się im państwo zacieśniło.

Pewnego ranka, orzeł, na którego kolej wypadła zdobycia obiadu, zerwał się i poszybował górą na południe. Orlica została przy pisklętach w gnieździe.

Po jakimś czasie gdy już orzeł-rodzic powinien był nadlecieć z obiadem, rozległ się z południa po powietrzu stłumione, przesłaniającem wiecznem lasu, echo wystrzału... Porwała się orlica z gniazda, niespokojna, wyleciała wysoko w powietrze i bystry wzrok rzuciła ku południowi. Jeszcze widać było w powietrzu czystem pasem dymu, wprost nad linją owych dziwnych znaków i ludzi w mundurach. Trzepiąca trwogą poszybowała w stronę tego dymu, ~~wprost nad linją granicznych owych znaków dziwnych~~ który wnet zniknął.

Nadpły~~[illegible]~~ wając zdradnej granicy, instynktownie uniosła się w górę i wysoko zataczała koła upatrując pilnie ~~śladów~~ pozostałych na ziemi. ~~Nic osobliwego~~ Nagle wydała krzyk krótki, rozpaczny... Oto w dole dojrzała zwłoki martwego orła w ręku człowieka w mundurze. Rzuciła się bez pamięci na dół – wprost na głowę owego ~~zabójcy~~ człowieka. Już była tuż nad głową jego, gdy znów instynkt mocniejszy ponad wszystko trwoga poderwała ją z powrotem w górę...

Długo z boleścią krążyła ~~po~~ nad tem miejscem klęski.

Wreszcie pamięć ~~o pisklętach~~ na głodne pisklęta przyciągnęła ją do szukania żeru. Sama teraz musiała je żywić. Dla nich też musiała się strzec. Ile razy przyszło jej przelatywać po zdobycz czy z łupem ponad niewidzialną granicą, zawsze wzbijała się w górę aby ujść czyhającej zdrady. Już nie pływała swobodnie nad owym szczytem. Miała jeszcze nadzieję w orlętach, że one kiedyś...

Porazińska - Rossowski
Pierwsze czytanka III, str. 141 u.

~~Przydki~~ Michał z pod Gromnic.

(Przydki Michał).

~~Michał z pod Gromnic był to człek,~~ dla
Dla Michała z pod Gromnic czas nie ~~nie~~ miał znaczenia. Co dziś zamyślił, to się napewno po latach musiało zrobić. Chyba, żeby się nie zrobiło. Jako i z tą świetlicą... Lecz o tem trzeba z kraja opowiedzieć.

Michał, gospodarz niebiedny i jeszcze niestary, od roku ~~już~~ mieszkał w nowym domu. Dom, jak zwyczajnie, miał dwie izby, przedzielone sienią. Michał jednak mieścił się z całą rodziną tylko w jednej izbie, ~~tak~~ zwanej piekarnią. Drugą, świetlica, stała dotąd niewykończona. Brak w niej było okien, drzwi, pieca i podłogi.–

~~Pomału~~ Ile razy Michał przechodził przez sień i poziera na rumowisko w otwartej ~~starej~~ świetlicy, tyle razy postanawiał w duchu:

– Trza będzie pomyśleć o wykończeniu.

Ale wciąż coś zachodziło – jak nie to, to tamto – czas ubiegał, i rzecz się odkładała. Rok drugi minął, i trzeci,

2

ci, a świetlica stała, nieskończona.

Mieszczyć się w jednej izbie było ~~nadto~~ zaiście ciasno. Latem jeszcze jak latem – dzieci szły w pole do robót, drzwi się otwierało – ale zimą, gdy się wszyscy w izbie zgromadzili – do tego kury, króliki, ~~jak to w większym gosp~~ czasem cielę, jak to w większym gospodarstwie bywa – nie było się istnie gdzie obrócić. Gość jaki gdy się nadarzył, nie było go zgoła gdzie usadzić. – Cóż dopiero, gdy nadszedł czas, kiedy ksiądz miał chodzić po kolędzie. Michałowa ze wstydu pod ziemię chciałaby się schować. Wtedy też Michał miał za swoje!

– Twoja to wina – ~~mó~~ krzyczała do męża – że ja przed księdzem muszę oczami świecić. Jakie osoby duchowne w takim chlewie ~~przyj~~ gościć? Świetlica dawno mogła być gotowa. ale tyś nigdy prędki.

A Michał w pokorze zwieszał głowę, czuł przecie, że ~~ma~~ żona ma słuszność. Łagodził ją też słowami:

– No dajże spokój. Już ja się do tego

weźmę, jak jeno kolendy przejdą.

Ale czas kolend ~~minie minął~~ i post minął, przyszła wiosna, z wiosną znów roboty pilne, potem sianokosy, żniwa – i rok, jak amen, ~~minął~~ uleciał. Świetlica jak stała niewykończona, tak stała.

Zdarzyło się w pewnym czasie, że któryś z panów z powiatu, będąc na komisji w okolicy, przechodził mimo domostwa Michałowego. ~~Odpoczął~~ Bardzo mu się podobanie domu spodobało, ~~[illegible]~~.

— Co za widok stąd macie! — pochwalił. — Moglibyście mieć mieszkańców na lato, jeno wykończcie świetlicę. Za czynsz z jednego lata koszta się odbiją. Gospodarz przytem może sporo grosza zarobić na miejscu za mleko, jaja, które swym gościom dostarczy.

Zwidziała się ta rada Michałowi.

4.

– Musisz raz wreszcie świetlicę wykończyć – ~~powiedziała~~ oświadczyła stanowczo mężowi.

– Ja też tak myślę – odrzekł zgodnie Michał. – Czas już najwyższy, by zebrać się do tego. Jeno ~~desek~~ deski trza naprzód przystroić...

Miał Michał swój ~~l~~ las przy gruncie. Zdobył się na to nareszcie, że upatrzył dzień w tygodniu ~~wolny~~, przynajął chłopa ~~pa~~ do siebie, poszli do lasu i drzewo na deski ścięli. No ~~i~~ dobrze. Trza było ~~teraz~~ teraz drzewo to obrobić, ~~ściągnąć~~ zepchnąć ku drodze i zawieźć do tartaku. Na to już Michał nie mógł się tak ~~prędko~~ rychło zdobyć. ~~Co sobie chwilę sposobną upatrzył, to mu coś zawdy inne prędko, Działo, i w Dumał~~ Myślał poprawdzie o tem, by zaciętą robotę dokończyć, ale zawdy coś mu przeszkadzało. – Pół roku uszło

~~znowu~~, nim się Michał ~~Mó~~ mógł zabrać do obróbki drzewa, i znowu drugie pół roku, nim je na drogę ~~przystąpił~~ zepchnął. (~~dociągnął~~). Tam i zostało. Leżało wprawdzie na głowie Michałowi i nieraz (nie dwa) pomyślał: „Trzeba to drzewo do tartaku zawieźć" – ale ~~tak sekodziło~~ wciąż coś zachodziło, czas ubiegał, drzewo na drodze gniło. I świetlica stała, nieskończona.

A tu w piekarni stawało się coraz ciaśniej – dzieci podrosły – dawniej troje i czworo drobiazgu wyspało się napoprzek na łóżku, teraz trza było więcej pościeli sposobić. Bywało, że Michał sam nieraz na podłodze się ułożył, serdak pod głowę jeno podścieliwszy. Gdy mu ta poniewierka dokuczyła, nieraz nocą westchnął:
– Już ja muszę tę świetlicę skończyć...

6.

Ale w świetle dnia ten mus się rozwiewał. ~~Mijał tak miesiące~~ I mijał tak miesiąc za miesiącem, rok za rokiem — świetlica stała, nieskończona. Ludzie patrzący na ~~tę~~ jego zwłóczenie ~~jego ze wszystkim~~ ~~z dnia~~ z robotą, ukuli ~~nawet~~ przysłowie: „Prędki, jak Michał z pod Bronia."

Świetlica zresztą, tak jak stała, ~~nie~~ bynajmniej nie próżnowała. Latem składano w niej potraw, jesienią len, grochowiankę, ku wiośnie zawierano do niej ~~jagnięta~~ i kózki i jagnięta, a przez rok cały służyła za skład sprzętu gospodarskiego.

~~Tak też było za ojców w starym domu. [illegible] w piekarni~~,

Co Michałkowi trudno, to Michałowi jeszcze trudniej. Lata szły — dzieci dorastały — w kości Michała z wiekiem napływała

coraz to większa ociężałość. Po-
zierał na świetlicę:

– ~~Trzeba by~~ Trzeba by dokończyć...

Ale już nie miał wiary, by to zrobić.

– Dorośnie syn, to izbę dokończy.

Gdy syn dorósł, nie było już co dokończać. Świetlica bowiem zgniła ~~tym czasem~~.

—

84 1

Inklus w gospodarstwie.

Jan Słowa i Paweł Słęb, rozbudowani osobno sąsiedzi, gospodarzyli na jednej, 24-o morgowej zagrodzie. Każdy z nich miał jednako po 12 morgów, tylko w parcelach mijanych (t.zn. jedna parcela Słębia, druga Słowy), położonych w dwóch pochyłych spadach (zachodnim i południowym.)

Obaj byli w równych średnich latach, (w jednym mniej więcej czasie ożenieni), jednako mieli dzieci po kilkoro, i zdrowie również obu im służyło. Zdawałoby się, że jednako też powinno im się powodzić. Ale tak w rzeczy nie było. Słowie wszystko szło „jak z płatka", Słębiowi „jak po grudzie". U Słowy chleba nie zbrakło, u Słębia niedostatek nieraz pobawiał w chałupie. Pracował poprawdzie Słowa, ale i Słęb nie próżnował.

Jakaż tego odmiennego powodzenia mogła być przyczyna?

Kiedy ludzie postronni, ~~nasłuchujący~~ nasłuchawszy się narzekań Słębia i cierpkich jego uwag o powodzeniu sąsiada, pytali się go, co za ~~pód~~ powód, że Słowie ~~(gospodarzowi)~~ jako sąsiadowi na takiej ~~samej prawie~~ połówce zagrody zgoła inaczej się wiedzie, ~~[illegible]~~ Słęb znacząco wznosił oczy, trzeby dziwując się ich niedomyślności...:

– Nie wiecie?

I wytrzymawszy ich ciekawość, rzucał szeptem tajemniczym:

– Słowa ma inklusa.*)

---

*) Inklus – siła tajemna, która ściąga szczęście (bogactwo, lub powodzenie)

2.

Tedy wszystkim, co ciemnego w tej sprawie było, jednem się naraz stawało, i przydawali z chrząkaniem rozumiejącem:

– Patrzcie, ktoby się spodział!

Słowa istotnie miał inklusa – jeno wcale nie takiego, o jakim ludzie myśleli. Inklus jego był w oświacie. Ino go Słęb znowu, jak Słęb, docenić nie umiał. Podczas gdy on ~~niedzielę~~ [illegible] uważał za dzień próżniaczy, w którym, odbywszy swoje, wyspać się można dowoli, ~~[illegible]~~ a najwięcej ~~[illegible]~~ z tym z owym pogadać, poplotkować, Słowa nie ciągał sobie ~~ostał~~ po sumie czy po nieszporach w czytelni, posłuchać przemów, jakie się zdarzyły, a zwłaszcza interesowało go szczególnie ~~[illegible]~~, co instruktor rolniczy, dojeżdżający z powiatu, o uprawie ziemi, o hodowli, o podniesieniu ~~[illegible]~~ wogóle gospodarstwa górskiego opowiadał. (Wziął sobie nawet od niego broszur kilka (o sposobie uprawy roli i łąk, o nawozach sztucznych itd.) i te zawsze w chwilach wolnych sylabizował, ~~[illegible]~~ albo też kazywał któremuś z dzieci starszych, które do szkoły chodziło, by mu je płynniej ~~[illegible]~~ głośno czytało.

Nie poprzestając na tem, zaprenumerował ~~sobie~~ „Przewodnik Kółek rolniczych”, Gospodarczy zamawiał corocznie „Kalendarz gospodarczy” i, o jakiej książce dowiedział się jeno, że o sprawach rolnictwa traktuje, starał się ją niezwłocznie sprowadzić. Miał już tego sporą paczkę w domu. Nie leżały one, jak to ~~[illegible]~~ zazwyczaj bywa, w zarzuceniu, ba je przy każdej sposo-

bmiejszej chwili, by sobie ~~...~~ dorady ich wbić w pamięć, przesiadał.

Stało się mu dużo jaśniej w głowie, i zrozumiał, że już tak pchać to życie, jak ojcowie pchali, czas idący nowy nie dozwala — kto, chcący żyć inaczej, trzeba iść z postępem. Grunt, ~~cho~~ pole, choćby i niemało, to jeszcze nic. Trzeba(się mu przypatrzeć i z tej (innej) strony), uważyć, zbadać, czego potrzebuje, aby się mogło plonami odpłacić. (Inaczej, pracy jeno na niem dużo, a korzyści nijakiej. Bieda biedę pogania i orze — i biedę zbiera.)

— Raz się to musi zmienić — powiedział se, i innem już, szerzej otworzonem okiem na grunt ojcowy spojrzał.

Chodzący (wiu) ~~po~~ pole — gdy mu ci w ~~...~~ (myślach) uparcie odmawiający — uważył naprzód, że dobrze by było parcele rozrzucone scalić. Możnaby łacniej na jednym kawałku większym doświadczenia gospodarcze czynić. Ku temu nie widział przeszkody żadnej — dwóch ich było na zagrodzie — pogadać jeno z Sęborem. Spotkawszy go tedy na zagonach, zaraz do rzeczy przystąpił.

— Wiecie, kumie — powiada mu — mierzą mnie te parcele mijane, te miedze. Dwoch nas ino jest — po jedni pola mamy — przetnijmy ~~4~~ zagrodę na pół, niech (ma) każdy swe pole w całości. Ja ostanę na jednej, wy na drugiej połówce, i będzie. Co wy, kumie, na to?

Głąb się zastanowił: co słowa może w tem mieć...

4.

Bez interesu na to by nie ciągnął...

— Jak macie obawę jaką — dodał Sława — tyście na podziale źle nie wyszli, to ~~wam zostawię do wyboru~~ weźmiemy ~~geometrę~~ geometrę, przetnie pole na pół, i wam zostawię do wyboru: którą połówkę zechcecie. Zgoda?

— No gdyby to dobrze było — odrzekł Siąb wymijająco.

— Zatem przystajecie na podział? — naglił Sława.

— Cobym nie ~~przystał~~? Jno ~~tak od razu trudno~~. Trza się ~~naprzód~~ zastanowić...

— To się zastanówcie [rychło] i dajcie mi odpowiedź rychłą, bo czas ~~leci~~ nagli.

Ale Siąbiowi się nie spieszyło.

— ~~Kiedy~~ Kiej Sława tak o to chodzi, to widać chce sobie lepiej — ~~[illegible]~~ dumał. ~~Bał się jakowejś podstępki. Trza z odpowiedzią~~ Chcąc się upewnić w tej myśli, do ludzi zwracał się po radę:

— Tak a tak — mówi — sąsiad mnie kaw na podział namawia. Widać ~~[illegible]~~ parcele moje wydane widzą, ~~[illegible]~~ bardziej obszerne, albo kto wie...

Ludzie jak ludzie — przytakiwali Siąbiowi, bo cóż ich to w rzeczy obchodziło. I Siąb się ~~[illegible]~~ co do gęsi utwierdził.

W końcu Sława, nie mogąc się doczekać odpowiedzi, postanowił robić próby na parcelach, jak się. W tym celu wybrał ~~[illegible]~~ dwa najwyższe, prawie morgowe parcele i, pokosiwszy je na równe części, przeprowadził na nich z nasionami, zalecanemi w książkach, doświadczenia. Tosamo zrobił na tyle jak i na pastwisku. Zebrawszy plony ~~[illegible]~~ z tych części, które doświadczeniu poddał, ~~[illegible]~~, zważywszy je i porównawszy z sobą, zobaczył, że pod oziminę ~~[illegible]~~ i owies ~~[illegible]~~ rozsiany, [illegible], co się jeszcze nadaje.

niewszystkę korzyść przynosi
mu czosnek; że superfosfat, dodany do obornika,
skutkuje bardzo pod ziemniaki, daje
a przy dodaniu soli potasowej
jeszcze zbiór wszystki i pleniejszy; że na łąki też i pa-
stwiska najlepszy kainit z tomasyną. Jeśli więc nawozy
pomocnicze począł stosować przed rokiem jednym, drugim —
i doczekał się wnet na cud rezultatów.
Stodołę musiał rozszerzyć, bo słomy
zbierał dwa razy więcej niż poprzednio, ziarna wymłacał
teraz trzy razy więcej niż dawniej, siana [?]
pełne wszystkie szopy. Inwentarz [?] też wy-
glądało teraz w oborze i w stajni. Bydło

V ① Stach przypatrywał się temu z daleka i pokpiwał z tego
wobec ludzi:
— Widzicie, widzicie, co on nam tu [słowa] pokaże. Kraje parcele,
odmierza, odzimnieruje [?] po łące jakoś popiół sprowadza,
rozsiewa — dziwy istne na polach wyprawia.
— Pewnie tych sztucznych nawozów próbuje, o których
ten pan z powiatu zachwalał.
— Będziemy widzieć, co za gotowe many [?] wróć [?],
nie będą. (Ojcowie też rozum mieli,
uprawiali grunt jak Bóg przykazał, wszelkich
sztucznych przyprawek nie uży-
wali — i zbierali. Słowa ojców my i nas wszystkich myśli
przezwyciężać!)

Słowa o tych podrwiwaniach wiedział czy nie wiedział —
nic go z drogi postanowienia nie ruszyło. ①

6.

lepiej odżywiane, nabrały ciała, krowy poczęły dawać dwa razy więcej mleka. We wszystkim znać było przyrost i przybytek.

Słyb, widząc to, zielenieje z zazdrości. A kiedy latem przeszedł się po polu i ~~zobaczył~~ porównał zboże swoje liche ze zbożem Słowy, wyrośniętym do cudu, sam już nie wiedział, co sobie z zawiści począć. Postanowił wreszcie chwycić się sposobów Słowy.

— Co, czy ja to gorszy? — utwierdził się w tem postanowieniu. Słowa ~~myśli~~ myśli, że on jeno mądry, ~~a~~ że nikto tego samego nie potrafi. Ho, ho, nie żadne to szkoły, gimnazyje — za pieniądz każdy wszystkiego dostanie, a nie doprosi nawozu. Trzeba się jeno dowiedzieć, ~~a~~ co on to używa, co mu tak dobrze skutkuje.

Z Słową samym nie chciał o tem gadać. Wywiedział się ~~[illegible]~~ jeno z boku od jakie słowa nawozy sprowadził tego domowników, ~~a~~ potem z Żydem w karczmie się naradził — i już wiedział, czego się ma trzymać. ~~A~~ Odkąd nadeszła wiosna, dowiózł nawozów sztucznych ~~worków i [illegible]~~ worków sporo i ~~[illegible]~~
~~z dumą je rozrzucał po roli).~~ ~~złożył je do szopy~~
— Pokaże ~~[illegible]~~ Słowie, że i on nie gorszy. A może nawet lepiej ~~się~~ mu wyjdą nawozy. Z dumą niby po polu je nosił.
~~Z wielką [illegible]~~

złożył je do szopy. Worki postawione dłużej w wilgoci, superfosfat przegnił, mączka się rozsypała. Ale nic to. Przy rozsiewaniu znowu azotniaku, nie zachowywał ostrożności, ~~[illegible]~~ poparzył sobie ręce, skwarzył oczy.
— ~~[illegible]~~ To wiele tak być musi. Że to pokaże Słowie, że i ~~on nie~~ on nie ~~gorszy~~ pośledniejszy, a może nawet przebierze go jeszcze.

~~Po rozsianiu kainitu na łąkę~~ ~~nie bacząc na to, było by~~ ~~jakiś czas tam nie paść~~ ~~kazał na niej popaść krowy, która wkrótce niedawno przyszła. Krowa się z tego struła. Dopust boski.~~

Teraz z wielką niecierpliwością oczekiwał lata. Co kilka dni zaglądał na pole, ~~gdzie rosnąć miały~~ rychło poczną zboża strzelać w górę. Jakież było jego wówczas to wyższe stropienie, kiedy widział rosnące jak podwórkowe, jakieś zboża łodygi, a swoje uchle, jak było lata poprzedniego. I tak aż do żniw samych. Dziwował się w strapieniu, nie wiedząc już, co sądzić.

A życie dziwu nie było żadnego. Bo(gdy) Sidora, nauczony z książek, glebę naprzód przebadał i wiedział, co na której z nawozów rozsiewać, Stach takimi szczegółami wcale się nie bawił. Rozsiał więc superfosfat czy czerotniak na glebie podmokłej (zbyt wilgotnej itd.), (przytem nie rozsiewał wcześniej na zoranej ziemi azotniaku, lecz równo z ziarnem). Dalej, gdy Sidora sprowadził nawozy pierwsze, o dobrym procencie (przez Składnicę Kółka rolniczego) z syndykatu, to Stach brał je od Żyda-karczmarza, po taniości. Jużci sądy potrzebnej nie mogły mieć. A ponieważ tak zastosowane, nijakiej korzyści. (Tyle na tem zyskał, że drugą krowę (ostatnią) sprzedać, żeby Żydowi na nawozy skredytowane zapłacić.)

Stach, widząc tem skutek marny, zwątpił odrazu w zalety nawozów sztucznych.

8.

– To ino podrywka sidory, co by [illegible] popsuć.

A to, że zboże sidory jak [illegible] się kiwało, wcale już teraz [illegible] nie było dowodem [illegible] [illegible]. I może to – mówił [illegible] z nadzieją [illegible].

– Takiemu chłopu i nie ma wiary, to się udarzył. Ale inkluza już.

I tak już po kostce [illegible] inkluzem – z [illegible] z [illegible].

—

Jan Słowa i Paweł Sląb, rozbudowani osobno sąsiedzi, gospodarzyli na jednej, 24o morgowej zagrodzie. Każdy z nich miał jednako po 12 morgów, tylko w parcelach mijanych (tzn. jedna parcela Sląbie, druga Słowy), położonych w dwóch ~~pochył~~ pochyłych spadach, zachodnim i południowym.

Byli obaj w równych, średnich latach, w jednym mniej więcej czasie ożenieni, jednako mieli dzieci po kilkoro i zdrowia równo obu im starczyło.

Zdawałoby się, że jednako też powinno im się powodzić. ale tak w rzeczy nie było. Słowie wszystko szło jak z płatka, Sląbowi jak po grudzie. U Słowy chleba nie brakło, u Sląba niedostatek nieraz ~~[illegible]~~ pobrzęczał w chałupie ~~[illegible]~~. – ~~Bo~~ Pracował wprawdzie Słowa, ale i Sląb nie próżnował.

~~Dziwili się ludzie dalsi, jak~~ Pytali się ~~ludzie~~ dalsi, Sląbie, litujący się jego biedzie, jaka tego odmiennego powodzenia może być przyczyna?

2.

Sklep ~~tajemniczo się~~ zamyka się...

— Nie wiecie?

I wytrzymawszy ich ciekawość, rzucił szeptem:

— Słowa nie inkluza.*)

Tedy wszystkim [illegible] ~~jedna się~~ otworzą, i odchodzili ~~z pokusami~~ z kiwaniem głów.

Słowa atoli nie inkluzą, jeno... nie tylko, ojciec...

Inkluz słowy był – w odwiecze. Czego

Sklep znowu, jak grób, ~~różnorodnie~~ domowe nie kuszą. Słowa nie rośnie się... [illegible] zobacz. przy (po samych) [illegible] przyjęte ~~ponownie~~ w czytelni, posłuchać pewności, jako się zdarzy, zwłaszcza interesowali go niezmiernie instruktor rolniczy, ~~przy~~ [illegible] z powiatu, ~~o~~ ~~uprawie~~ hodowli, o uprawie ziemi opowiadał. Kupił nawet od niego broszur kilka (o uprawie, o nawozach, i te uważnie w chwilach wolnych sylabizował ~~czytał~~. A nie mogąc sam biegle czytać, Karolowi z dzieciarni któremuś z drużyny, ~~[illegible]~~ które z szkoły chodziły, by mu je czytały. (~~wyk~~ ~~Tak go to uprawie~~ ~~z przemianowania siebie.. [illegible]~~ „...)

---

*) Inkluz – wpływ (Siła tajemna, która ściąga dusze (bogactwo lub powodzenie).

Zaprenumerował sobie przewodnik kółek rolniczych", zamawiał kalendarze gospodarcze i, o jakiej książce dowiedział się jeno, że po rolnictwie i gospodarstwie traktowała, starał się je zaraz sprowadzić. Miał już tego sporo w domu. Niekiedy one w zaraniu, bo je pokolekcjonować i więcej, by sobie wskazywać i dowiadywać różne rzeczy w pamięci, przeglądał.

Stąd się ma jaśniej w głowie i zrozumiał, że już tak pchać jak ojcowie pchali czas idzie, że nowy dzień nie dozwala – że, chcąc żyć, trzeba iść z postępem. Grunt, pole to jeszcze nie. Trzeba się nim przyjąć i z tej i z tej strony, uważyć, czego przy uprawie potrzebuje, aby się mógł plonami wynagradzać. Inaczej – przyjmie na niem dziś, a kończy się mało co. Bieda będzie pogana i one – i biedy zbiera.

– Ano to nam zaszkodzi – powiedział i ciągnął już, ochoczo.

4

okiem na ten grunt ~~[illegible]~~ opuszczony spojrzeć.

Chodząc po połowach ~~[illegible]~~ wspa- [plugawej]
niałej uprawy odmiennej — wrażył nieprzód, że dobrzeby było parcele rozrzucone scalić. Możnaby tamtej na ~~[illegible]~~ jednym kawałku wykorzystać/~~wypo-~~ ~~[illegible]~~ doświadczenie gospodarcze uczynić. Ten zacząłem [illegible] dalszej przeszkody — bo dwóch że było na ~~jed~~ zagonie — pogodzić jeno z sobą trzeba. (Ba! ~~[illegible]~~ to...)

Spotkawszy ~~je~~, odezwał do niej przystąpił:

— Wiesz, ten [illegible] — powiada [illegible] — co ~~[illegible]~~ do... ~~przychodzi, [illegible] po tych parcelach~~ ... ~~[illegible]~~ Wydzierżawmy te parcele wspólnie, te moje. Dwóch nas dwie jest ~~[illegible]~~ jednakowo pola mamy — przeciwi- [illegible] zagrodą na pół: ja ostanę na jednej, wy na drugiej połowie. Bo obaj mamy grunt w ~~parceli~~ kawałkach [illegible]. Zachwiej się na tym gruncie ... Dość się zastanowił. Co będzie

[illegible] w tej [illegible] ... ~~będzie płonąć podczas~~ Będzie płonąć.

~~[illegible]~~ Ono było tak dobrze być - nieco wypoczęte.

— To się zgadza!

— No tak odrazu trudno. Trzeba się naprzód zastanowić.

— To się zastanówcie i dajcie mi... ~~[illegible]~~ odpowiedź, z robotą poczekam.

Ale ~~nie~~ rozstali się nie opornie.

— Nie łatwo tak o to chodzi, że każdy chce sobie lepiej urządzić. I wieś z włości (a pomiędzy [illegible]...). Ale, brat, nie można się doczekać zgody, postanowił wobec próby na parcelach, jak dzisiaj.

W tym celu wybrał z najgorszej, prawie morgowy kawałek, - właściwie lepszej mi tu nie najgorszy - i podzielił go na równe cztery części:

i na jednej rzucił azotniak, superfosfat i ~~sól potasową~~ obornik - na drugiej azotniak i superfosfat - na trzeciej superfosfat i sól potas. i wiedząc wskazówek...

(i pozwól na nich ~~[illegible]~~ wynieść doświadczenia z nawozami sztucznymi).

6.

Głąb przypatrywał się temu z daleka i pokpiwał z tej [illegible] ludzi:

– Wiecie, wiecie, co on nam tu sobie nie pokaże. [illegible], które parcele, odmienne, i [illegible] je po polu – jakiś sposób sprowadza, rozsiewa – będziemy widzieć, co ze odmiennym zboże rodź nam będzie. – Ojcowie też rozum mieli, a przecież jak [illegible] wszystkich starych ... nie używali i zbierali. [illegible] Głowa ojców i nas wszystkich myśli przemyśleć.

Głowa o tych [illegible] podziwianie [illegible] się [illegible] nie go z zapatrywań nie zwraca. Doświadczymy póki [illegible] przez rok jeden, niech zobaczą, że [illegible] na polu ..V.. wystąpią skutki a [illegible] ... V. Na [illegible] V i przestanie...

Te moje pomysły sprawdzić [illegible] – przez rok i jeden, drugi – rezultat.

Sąsiedzi. (Jak ...) w gospodarstwie.

1) Mają jednaką ilość gruntu. Ale I-szy garnie się do oświaty – II-gi, jak dziadkowie robili, tak robi. = ~~Rezultat.~~ (Komasacja – fornale?)

2) I. czyta ~~Przewodnik~~ pisma rolnicze (Przewodnik Kółek i in.), słucha odczytów – poczyna ~~stosować nawozy pomocnicze~~ zastanawia się – bada ziemię – doświadcza – odwadnia – [illegible] zalania – ziem...

II-gi się z tego śmieje, pokpiwa.

3) I-szy poczyna stosować nawozy sztuczne (pomocnicze) – jeden rok, drugi.

= rezultat.

II-gi [illegible] (bydło lepsze i więcej) [illegible] Pytanie przypatruje się, poczyna się zdrowić. (Co to – gorzej?)

Poczyna też nawozów używać. Bo!

4) ale I-szy kupuje ~~sprowadza~~ nawozy sprowadza przez Kółko rolnicze, pewne, o dobrym procencie – –

II-gi po taniości – u żyda.

5) I-szy stosuje rozumnie

II-gi . . .

i stąd = rezultat

6/ Rywalizacya:
I z wdzięcz. z uratow. życia
II by pokazać, że i on też
nieostatni, by go zaczarować.

W końcu: „Tak, mam, chciałem... to
się zdarzy. Ale ostatnia.”
No i tak
(Stworzono z odbiciem na stół
z bardzo)

Nw: stosow. nawozów mineralnych.

1/ Azotniak przechowywany w wilgoci —
worki się porozbijały.
2/ Nieostrożność przy rozsiewaniu.
3/ rozsiew równomierny z siewem zboża (opóźniony)
4/ Na glebie nieodpowiedniej (podmokłej: skutek żaden)
5/ Na ~~pastwisku~~ łące: niezwracanie uwagi na bydło, które się zatruwa.
6/ W ilości nieodpowiedniej
i w czasie nieodpowiednim.

Sąsiedzi:

Jak wreszcie ~~T. ogród~~ począł stosować nawozy (niektóre zazdrośnie ogrodz.): a/ azotniak, b/ kainit, c/ superfosfat....

i jak doszedł do tego, że ogród T. nie, tylko musi mieć inkluzę!! (co mu pomaga).

T. pus: Kółko roln. ~~[illegible]~~

Gminy

Ogródko.

II gi od żyda (tamuje i dłużej kredyt)

L:

Waleria
Dawidson

I. Racyonalnie:

Przechowywać w miejscu suchym. Nie mieszać z innymi. Superfosfatów nie zostawiać dłuższy czas w workach (gdyż te zostają przegryzione). Sól potasowa i Kainit najbardziej ~~nie~~ ze wszystkich nie znoszą wilgoci.

1. Azotniak siać w glebę gruzełkowatą, obfitującą w próchnicę. Nie opłaca się stosowanie azotniaku na glebach lichych, podmokłych. Należy go wysiewać na pewien czas naprzód (minimum 6-8 dni, na ciężkich glebach 10-14 dni). Wysiewać w dzień bezwietrzny. Przy ~~s~~ siewie mieszać azotniak z taką samą ilością piasku lub ziemi suchej (~~na krzyż~~ siać na krzyż dla równomierności). ~~Ki~~ Rozsiewać ręcznie ~~w~~ używać stare ubranie, trzewiki, rękawice i spodnie i rękawy owiązać szczelnie sznurkiem.

. Azotniak dobry pod ziemniaki i wszystkie okopowe. Dalej pod oziminy i jare zboża, zwłaszcza pod owies. Również na łąki i pastwiska. (Na pastwisku ~~pó~~ siać późną jesienią lub wczesną wiosną). Po rozsianiu – przez 3 tygodnie bydła (z obawy zatrucia) nie paść. ~~Tak~~ Takżesamo przy nawożeniu ~~tak~~ pastwisk kainitem.

~~Gdy nie siać~~ Jeśli po deszczu – uważać, by siać na bezwzględnie suche rośliny.

2. Superfosfat (9% kwas fosforowy ~~w wodzie~~). Siać na krzyż. Czas wysiewu obojętny. (Również nie skutkuje w glebie podmokłej. Dodanie superfosfatu (pod oziminy, okopowe) do ~~na~~ obornika b. się opłaca. Zasilanie superfosfatem ziemi pod warzywa (buraki, cebula, ogórki ~~itd~~, truskawki) jest wskazane.

3. Żużle Thomasa. 9% kwas fosforowy (w kwasie cytrynowym) żużli wolniej się rozpuszcza. Działanie

jego rozkłada się na kilka lat. Żużle dobre są na wszystkie gleby - i te, na których superfosfat nie działa (tj. piaski i podmokłe, kwaśne); szczególniej na Podkarpaciu. Żużle najodpowiedniejsze pod oziminy, strączkowe (koniczyna), łąki i pastwiska. Zawsze zabronować rozsiane żużle.

4. Sól potasowa. (% tlenku potasu).

Nadzwyczaj dodatnio na ziemniaki i wogóle okopowe, na pszenicę i jęczmień. (Na łąki i pastwiska ~~jesień~~.

5. Kainit. ~~..~~ (% tlenku potasu).

Na ziemie suche i piaszczyste. Na ziemiach zaś zlewnych i gliniastych lepiej stosować sól potasową. (Kainit na łąki późno jesienią lub wczesną wiosną z zachowaniem ostrożności, jak przy szotomasce. Przed i po rozsianiu należycie zabronować.)

195

żywot)

I. – b. Cichówka. Jego praca od dziecka. Sumienność, prawość – cechy główne. Szanowanie chleba, daru bożego. Do ziemi miał miłość – pracował dla niej. Gdy orał – gdy siał – gdy kosił... ~~Żniwa~~ Żniwa. Kłos upadły podniósł nabożnie. (Wobec sąsiadów – pomoc przy robotach – po sąsiedzku) Słowianin [illegible], miłośnik ziemi.

II. Praca w lesie.

Gdy cięto puszczę – dwaj sąsiedzi zmówili się i wzięli jedno zbocze do ścinki.

~~Ten~~ Jeden pracował, aż...

drugi. ino, ino...

Gdy przyszło dzielić –

(V jaki koniec?) to ten sobie cały zrąb...

a ten cały czas ~~o~~ nadłamywał

drzewa, pozorował dźwiganie

Temu skóra zeszła z ramion, a ten... V

VII. <u>Majster z Gronia.</u>

Począł od strugania noży — potem ciesiołka. Robił bednarstwo — potem wykonał młyny — tartaki... To go nie zadowoliło. Więc Bogu na cześć kapliczki, kaplice... ~~aż~~ przy kościołach — aż dostał wieży na kościele. Tak ją w górę wymiótł...

Jak umierał —

Pogrzeb — dwie-trojki wołów... na cmentarz go zawiozły, a ślozy im z ócek kapały se.

TVI. <u>Drózd nadwodny</u>. <u>IV</u>.

Chałupina i skrawek pola koło rzeki – ciągle pracuje, wyrabia z kamienia pole – kamieniami grodzi – jary robi – umacnia...

Przyszła woda – chatę zabrała..

~~Lt~~ Chwyta, wyławia drzewo, które niesie – z tego buduje nową.

Przyszła druga – pole pod zabrała.

Kamienie zbiera – czyści na nowo.

Przyszedł znowu lód – znów chatę

Tupa porwał.

Stawia nową. ✗

Znów pole pod – odrabia..

I tak walczy z żywiołem aż do zgonu. <u>Drzi</u>

IV. ~~Dwaj~~ Sąsiedzi.

Dwie parcele obok – jeden kamienie na swoim zbiera i na sąsiadowe przerzuca, drugi zbiera swoje i narzucone i wywozi na [illegible] uprawny. Pracuje podwójnie. – Co wyzbiera, to na rok drugi podwójnie ich; i jakby ich ziemia z wnętrza wyrzucała.

aż...

V. Prace zbiorowe!?!

(Górale) 97 1

Jaś w Chochołowie.

Jaś Łukaszczyków z Poronina pod Zakopanem pocałował starego ojca w rękę i poprosił:

– Nie brońcie mi, tatusiu, iść na niedzielę do Chochołowa.

Było to akurat na rok przed wojną, w lutym.

Ojciec się wypatrzył nań:

– A cóż to tam ma być... odpust jaki?

– Ba, wielgi! Święto Chochołowskie.

– ... O takim święcie my tu nie słyszeli

– Boście, tatusiu, nie czytali w naszej gazecie.

Jak to Chochołowianie razem z księdzem zrobili powstanie i mieli iść panom polskim na pomoc; jak przyjechali po nich [illegible] żołnierzy z miasta i namówili Dunajcan, coby ich przecie Chochołowianom skrępili; jak przyszło koło kościoła do bitki i jak się smutnie skończyło.

– Bo tak się musiało skończyć.

– Ba, prawda? Kieby byli Dunajczanie nie zdradzili...

– Co ty o tem możesz wiedzieć?

– Jak [illegible], tatusiu. No i teraz, skoro się znowu coś stroi...

– Co się ma znowu stroić?

– Powiadają – [illegible] – że spiska wojsko ma się ruszyć...

– Oj, bajeczka, bajeczka!

– To postanowili na Podhalu – ciągnął – niektórzy czytelnicy gazety – uczcić pamięć tych powstańców i naradzić się...

– I ty się na te narady wybierasz? – krzyknął ojciec.

– Nie, tobym się ino chciał przypatrzyć. Całe Podhale tam zjedzie.

Pozwolicie mi, – prosił

2.

– No dyć... jakoś tak ciekawy...

– A nas nie zazdrościłbyś? – wtrąciła żartobliwie siostra Tereska z pod okna, gdzie przędła kądziel z matką.

– Czemu nie? Zapraszam Łyska. Do sanek i wio!.. –

Miał trzy lata i sam już furmanił. A kiedy usłyszał [illegible] bicz w dłoni klaskał, pasła o pasła, jak tancerz uderzył: – Tereś! Mamo! Jedziemy!

Gdy niedziela nadeszła, już od przedednia Jaś się zerwał, do świtu konie napaśł. Wystroił się też jak na wesele. Bryzowane, odświętne kierpce, obcisłe, białe, piękne cyfrowane – koszula cienka lniana, spinką pod szyją spięta – serdaczek na to czerwony z wyszytymi kolorami – przez ramię czuszka biała, wstążką pasową związana – kapelusz nowy z kostkami i piórko na nim orle. Gdy się dzień zrobił widny, Jaś stał już gotów ze sankami i koniem na obejściu. Wyszła siostra Tereska, również jak drużka strojna. Za nią matka, w serdaczku z rękawami, w chustce, jak przystało zasobnej gaździnie. Wsiadły w sanki, Jaś przypiął różdżkę barwną do chomąta konia, wziął za lejce – ruszyli. Z tego, owego obejścia, gdy je mijali po drodze, wyjeżdżały na drogę również ustrojone sanki i łączyły się z nimi. W Zakopanem pod kościołem spotkali kilkadziesiąt sań gotowych już do drogi, ustrojonych, w [illegible] do ślubu. Połączyli się – i ruszyli kuligiem.

giem ~~radosnym~~ wszystkim w stronę ~~doliny~~ Kościeliski. ~~Już ony rosną~~ ~~tam ... barwny~~ korowód. ~~Górale wszyscy postrojeni – a co który senki, to inne bodaj ... Kaliny~~ ~~strojny przybrane w bukiety, różdżki, orlęt... Do tego~~ dzień, ~~wydarzy~~ jak umyślnie, na to święto, cudny. Południowe zbocze Tatr błyszczy kalejdoskopem ~~a~~ drzewa odzieża jak w bajce – ~~słonko~~ światło słońca przesiewa się przez ~~różowe~~ obłoki ~~nad Tatrami~~ i osrebrza ~~pół~~ latające śnieg polatujący. ~~A tu~~ Sto sanek z brzękiem dzwonków, przez te brzęki mknie...

Tuż przed Witowem przywitała kulig banderja strojna górali. W paradzie jechano dalej. Na wstępie do Chochołowa bramy przybrane zielenią: „Witajcie!” – A potem sam Chochołów... Z domów wszystkie ... dachach chorągiewki – ~~z każdego osiedla, domu~~ a wrót otwartych każdego ~~obejścia~~ osiedla ~~(obejścia)~~ gazda i gaździna, odświętnie ubrani, ~~stoją~~ z ukłonem ~~na obejściu~~ nadjeżdżających ~~...~~ reprezentują.

Stanął już z koniem na jednem obejściu. Sam powóz do środka wsi. Już tam było ludno jak w odpuście. A tu gościńcem od N. Targu ~~i ...~~ nieprzerwanie ... razy sam wali. (Również z drugiego traktu z Odrowąża...) ~~I z Szczawnicy ...~~

Prawdziwie w Chochołowie dziś święto. ~~...~~ Wszyscy też Chochołowianie ~~(przed kościołem ... o... , przybrane trybuny.)~~

O jedenastej dzwony się ozwały. Ruszono do kościoła. Lecz kościół dużo mieścić tylko mógł ... ludzi – reszta ~~zalegała plac przed kościołem~~ została na drodze.

2. Po sumie wszystek naród zaległ plac wielki przed kościołem, gdzie wzniesiona z desek wysoka, ubrana w barwy trybuna. Jak okiem rzucić, głowy z gęsty sznurami białe i czarne i chustki [illegible] całe Podhale (tu ściągło). Są z pod Tatr wszyscy, z pod (Babiej Góry), z pod Sorców, nawet z daleka od Czorsztyna, z tylko – mówią – sąsiednich Dunajczan brak. Wstydzili się przyjść na tę rocznicę: że to ona Chochołowianom chwała, a im ganiba.

Cóż to się tam wśród tłumu pod trybuną wije? Przedziera się Jaś bliżej, by zobaczyć. „Brodą, ludzy! Żuawy junaków, z piórami orlimi w górę, z karabinami na ramionach wzruszonym [illegible] ... w góralskie sercu jeszcze!... Pierwsza drużyna Podhala! Czy to nie ołem śpiewam wszystko ...”

Na trybunie stanął wójt z Chochołowa. Serdecznie podziękował wszystkim za przybycie, że ten zjazd tak się spotkały. Potem były przemowy – jedna, druga ... Nie wszystko rozumiał Jaś, ale czuł, że serce mu rośnie i coś go rozpiera. Wreszcie ukazał się na trybunie góral stary – drżącym przemówił głosem:

„Stoję tu ze braci swoich, z rodu Dunajczanów. Wiemy ich lich między wami, uważali że nie mają prawa do tego święta. A ja to prawo mam, kupiłem ja krwią swoją za Polskę roku w 63 r. i niewolą moskiewską. Tyle moje na obronę braci Dunajczan: iże nigdy winni, jeno ciemni pod Dunajcem ... I przeszły czasy [illegible] ... nam winy ich cudze. [illegible] Niech on będzie [illegible] Niech się stanie między nami wieczne pojednanie.”

I dźwiga wyciągnął starzec do wójta z Chochołowa

Uściskali się mocno i ucałowali.

~~Naród wsz~~ Wszystek naród poruszony płakał.

~~a słonko~~ Padli na głowy odkryte śnieg polatujący.

słonko ~~wszystko~~ [spod tęczy] zajaśniało i Panienka uśmiechnęła [w górze radośnie] się w niebie.

Na zawsze ~~serc~~ w serce zapadła jasność ta święta w chochołowej chwili.

Porazińska-Rossowski
Pierwsze Czytania, III, str. 108 n.

Dyzma w Betlejemie.

Dyzma, odkąd zapamiętał, to jest: od dziecka-sieroty, pasterzem był cudzego dobytku. Ostatnio w latach starszych na juhasa x) się najmował i pasał owce na halach. Po rodzicach swych nic w spadku nie dostał, jako że był w rozumie ułomny. Przytulisko miał jednak u siostry zamężnej, która grunt odziedziczyła. Póki siostra żyła, było Dyzmie znośnie, ale gdy ją Bóg zabrał, a szwagier ożenił się wtórnie, o Dyzmę nikt się zatroszczył. ~~Do~~ Dobrze jeszcze, że go pod dach na zimę przyjmowali.

x) juhas – pasterz owiec.

~~Przytulisko miał jedynie u siostry, która sama ledwie [illegible]. Póki żyła...~~

Dyzma w ~~Betlejemie~~ (~~Dyzma w Stajence~~)

Dyzma, odkąd zapamiętał, pastuchem był cudzego dobytku. Naprzód dzieckiem, kiedy go matka odumarła, pasał gęsi naokół sąsiedom, później służył u ludzi za pastucha bydła, wkońcu, gdy dorósł, na juhasa się najmował i pasał owce (przez lato) na halach.

Po rodzicach swych nic w spadku nie dostał, jako że był w rozum nie ułomny. Grunt dziedziczyła siostra, sporo od niego starsza. Miał jednak Dyzma przytulisko w domu – i czas zimowy od jesieni, kiedy owce zegnano z hal, do zielonych świątek przesiadywał u boku siostry. Póki siostra żyła, mieszkał w komórce pobok sieni, chował się osobno. Zimowanie to Dyzmie było dość znośne; obszyła go, oprała, często podała mu, co mogła, do zjedzenia, ale gdy ją Bóg zabrał, a szwagier ożenił się wtórnie i przyszła obca gospodyni, ~~Dyzma został się [illegible]~~ o Dyzmę nikt już nie dbał; dobrze, że go jeszcze pod dachem na zimę przyjmowali.

I zestarzał się Dyzma, pasając ludzki dobytek, a niczego się przez tyle roków nie dosłużył. Miał jeno pieska, co mu za całe stało mienie. Wołał na niego: Wiernuś. Była to mała, kudłata, bardzo zmyślna psina. Wierny był, to już niema co powiedzieć. Chodził za Dyzmą wszędy, na krok go nie odstępował, nosił za nim kapciuch, serdaczynę – służył mu wiernie, jako on ludziom. Widząc tę zmyślność Wiernusia, ludzie różni, i księża i panowie, którzy latem na wycieczce na hale dochodzili, napierali się, by im go Dyzma odstąpił. Ale Dyzma nie chciał sprzedawać przyjaciela. Dopiero głód go przymusił. Było to na przednówku, po zimie długiej i postnej. Obaj z Wiernusiem nie mieli co jeść. Tedy Dyzma wyczesał psinę, [illegible], [illegible] mu do ucha i powiódł go

(do organisty. Ledwie wrócił, kupiwszy chleba, do domu, już tu. Skoro chleb zjedli, za dni parę, odwiódł go drugiej wsi i tam go krowiarzem w karczmie sprzedał. Myśli i tak go już ostatnie, a gdy do domu przyszedł, wieczorem zastał w komórce, wcześniej od niej powrócił. Po trzeci raz już go nie przedawał. Bo też i lato nadeszło, trza się było w hale.)

Z latami Dyzma na piersi zapadać począł, nosić pewno mu trzeba, i za owcami chodzić prędko nie mógł, ale przed ludźmi nie narzekał, tylko uskarżył się jeno, który mu też pomagał nawracać owce.

Zimy w komórce przy szwagrze przepędził. Czy tam chorował czy nie, nikt się o to nie spytał. Córka też bardzo przykrzył mu się żywot.

Jeden miał Dyzma tydzień w roku jasny... Święta Bożego Narodzenia. Gdy się zbliżały, już się naprzód cieszył — gorączkowo jakie z upodobaniem je witał. Były to przecież jego święta, pasterskie. Nic on nie umiał, do szkoły żadnej nie chodził, nauk, prawideł katechizmowych ni modlitw nie znał — umiał jeno z pamięci kolendy. Jakoś łatwo z powietrza ich się nauczył. Bo też tam prawie wszystko w nich, co znał i rozumiał, co mu było bliskie i znajome.

„Pasterze biegli, gdy głos usłyszeli"...

To najpewno ci pasterze, co pasą przed nim na halach. O nich kolęda ... w kolebach dach stoi. Lata tę historyę przesłyszał, jak pojawił — jak się snu przebudzili, że tu się ogień na niebie ... wielka woli — pytają: co się to peli? A ci gwiazda wielka stanęła nad nimi i zawiodła ich prosto do stajenki. Gdzie to ta stajenka być może!

„W Betlejem przy drodze jest ... szopa ..."

O Betlejemie słyszał, że miasto być gdzieś daleko, w żydowskim kraju. Ale owa „szopa" musiała być tu gdzieś blisko, przy końcu wsi... skoro pasterze do niej przybieżeli! w tę samą noc.

„Narodził się w stajni Jezus ubogi..."

O Bogu Dyzma niewiele miał pojęcia, wiedział jeno, że to wszechmocny Pan, do którego on, biedny owczarz, bał się i ma zbliżać, w kościele nie śmiał oczków oderwać(?), stawał pod wszystkimi przy progu. Ale ten „Jezus ubogi", co się narodził w stajence, przyswoiło ubogiego Dyzmę, iże z całą ufnością w upośledzeniu tem swojem by się mu oddał. A jeszcze gdy wyobraził go sobie jako leżącą na sianku Dziecinę, to już tajał cały w sercu, i też słodkiego rozczulenia nie mógł powstrzymać.

Kolendy przenosiły Dyzmę w jakiś świat lepszy i prostszy — podczas całych świąt chodził jak w błogim śnie — wydawali się mu ludzie więcej dobrzy, bratni wszystkiemu i przyjaźni. I cuda, w innym czasie od ziemi dalekie, zdawały się mu w tym czasie możliwe.

I raz w tym nastrojeniu przyszło mu do głowy, że się może znowu Betlejem i owa stajenka z Dzieciną przybliży i ukaże się może oczom biednym pastuszkom ukaże. Skoro temuż z kolend ją widzieli, czemużby oni dzisiaj nie mogli jej widzieć? Aż mu od tego zamarzenia serce radością trwożną podskoczyło. Tedyby i on, Dyzma, dostąpił tego szczęścia, żeby się mógł pokłonić Jezusowi-Dziecinie w stajence. Juścić nie z próżnemi rękami by poszedł. Jak to ta kolenda... co to ze sobą przynieśli...

„Jędrek kopę sieczki, Łukaszek barana,
Dyzma oszczypków[x] parę — Dzieciątku na ofiarę".

— Wyraźnie: Dyzma... Gdyby i on oszczypki... Czyżby to już naprzód mieli o tem śpiewać? — aż się wstrząsnął cały. Lecz go przecie [illegible] uwierzył, że to się stać może. Jak wychodzi, trudno zgadnąć, ale się stanie.

Myśl ta już go nie opuściła. Czasem [illegible], czasem

x) oszczypki — serki owcze.

4.

się jaśniej rozświecała ... ch w nim trwała. Przyduszały je chłody i głody, jakie podczas zimy dręczyły w komorze u szwagra niewyższej znowu — na lato, przy (pasieniu) wywalał się znowu — a już na odwrocie, gdy święta się przybliżały, przemieniało się w gorączkę oczekiwania.

Za pasienie przez lato otrzymywał on w zapłacie oszczypki. Otóż wybrał z nich najładniejszy, obryzowane najpiękniejsze i kości położył je na wysokiej półce pod trajerem, aby się dobrze do tej chwili nieznanej zachowały.

Przed Wilją stroił się najpiękniej najlepiej. Włosy przystrzygał, onuce prał, płaszcz stary łatał — by się jak najpiękniej przystroić w Święty Wieczór. W noc przed wszystkie nie spał wcale. To do okna, to na niebo co chwila pozierał: świtało, wszystko czekał. Gdy noc minęła, powiedział sobie w duchu: jeszcze nie czas... Na drugi rok [illegible] się stanie. A [illegible] — gdy światło gwiazdy w okna uderzyło, gdy muzyka się ozwała i słowa kolędy: „Nie wie, kto z was może wiedzieć, co to było za dziw?" — zrywał się z wyrka swego i dygotał, [illegible] już poznać, że to Kokandziny.

A im dalej w lata zachodził i starzał, tem gorętszej nadziei tej żył.

Aż przyszło owe Święto Narodzenia...

Dyzma leżał na wyrku w stajni. Tam go, jako chorego, na jego wnet umrzeć, wyniesiono. Zawsze cieplej mu tu było przy oddechach bydlęcych, bo zimnica go trzęsła.

Dyzma leżał w gorączce, ale pamiętał (pamiętał), że to dziś Wilja. Kazał też sobie, gdy gospodyni była w stajni, oszczypków przynieść z komórki swojej, i miał je w pięściach na wyrku: resztę za to oddał gospodarzom. Wierność leżał zwinięty (przy)nosząc jego.

Nadszedł wigilijny wieczór. Wieczerzę jedzono w domu, i zapomniano o Dyzmie w stajni, który by się kłopotał.

A on, ciężko oddychając, ~~[illegible]~~ [na wyrku swoim] radośnie w sercu nosił myśli. Czuł, że dziś [się] ów cud, długo czekany, ~~[illegible]~~ spełni. Wyzierał go ~~(całą mojnością, zostanowił)~~ całym natężeniem duszy. Oparł gorączki ~~[illegible]~~ silnej wraz z mrokiem nastającym ~~[illegible]~~ zasnął ~~po~~ zwolna jego myśli, aż miał począć półsennie. Trwał w niemym chwilę dłuższą, aż północ się zbliżyła.

Naraz — ocknął się Dyzma. Cóż się to dzieje!.. Jasność niezwykła uderzyła w jego oczy. Słyszy muzykę niebiańską... Pojrzy na wnętrze stajni — a ta stajenka odmieniła się do cudu. Wszystko się rozsrebrzyło naraz, zazłociło — pajęczyny wszędzie ~~stały się~~ z powały stały się ~~[illegible]~~ obłokami, z poza których migają się w świetle główki aniołów. Widzi... ze drzwi otwartych, ~~[illegible]~~ [przez próg] ~~[illegible]~~ sypią się owce — jedna, za drugą — pomału, które [te, które] ~~[illegible]~~ set — cały ich kierdel, ~~[illegible]~~ o wełnie w blasku srebrnej, wpatrzone do wnętrza [stajni]... pokłękały. Aż ci oczy go wiodą ku żłobku — ku miejscu ~~[illegible]~~, skąd światło bije — i widzi na złotym sianku Jezuska, Jezus Dziecinę...

Zbiera się co prędzej z wyrka, bierze w trzęsące dłonie dwa ~~[illegible]~~ serki, ~~aż~~ [illegible] na ziemię i drżąc na całym ciele, ~~[illegible]~~ [przez gęstwinę się klnących] ~~[illegible]~~ [Klęczący] ~~[illegible]~~ owiec ~~[illegible]~~ [przeciskając], zbliża się do żłobu — żłobka... Tu pada na kolana i oscypki dwa u stóp ~~[illegible]~~ Dzieciny kładzie.
— Jezusku, Jezusieńku! — Tyle tylko zdoła powiedzieć.
A śmie ~~[illegible]~~ podnieść wzrok — i widzi — Dziecię [nie] doń się uśmiecha. Tedy [Dyzma] ~~[illegible]~~ mdleje w błogości ~~[illegible]~~ w sercu nieopisanej pomieści. Traci się w ~~[illegible]~~ [niebios] przestworzach.

— — — — — — — — — — — — — —

Skoro przyszedł ktoś rano do stajni, zastał Dyzmę na wyrku martwego. ~~[illegible]~~ [Radość] miał w twarzy, jakiej nikt u niego w życiu nie widział. Usnął w Betlejem pasterz boży. — Kiermuś go opłakiwał.

Na zimę

Słabe Bz.

WŁADYSŁAW ORKAN.

DYZMA W BETLEJEMIE

Dyzma, odkąd zapamiętał, to ejst od dziecka-sieroty, pasterzem był cudzego dobytku. Ostatnio, w latach starszych, na juhasa się najmował i pasał owce na halach. Po rodzicach swych nic w spadku nie dostał, jako że był w rozumie ułomny. Przytulisko miał jednak u zamężnej siostry, która grunt oddziedziczyła. Póki siostra żyła, było Dyzmie znośniej; ale gdy ją Bóg zabrał, a szwagier ożenił się wtórnie, o Dyzmę nikt się nie zatroszczył; dobrze jeszcze, że go pod dach na zimę przyjmowali.

I zestarzał się Dyzma, pasając ludzki dobytek, a niczego się przez tyle lat nie dosłużył. Miał tylko pieska, co mu stał za całe mienie. Wołał na niego: Wierus. Była to mała, kudłata, bardzo zmyślna psina. Wiernybył, to już nie ma co powiedzieć. Chodził za Dyzmą wszędy, na krork go nie odstępował, nosił za nim kapciuch, serdaczynę - służył wiernie, jak Dyzma ludziom.

I latami Dyzma na piersi zapadał, nogi poczęły mu ciężyć i za owcami prędko chodzić nie mógł. Ale przed ludzmi nie narzekał. Wiernusiowi się jeno uskarżał, który mu też pomagał nawracać owce.

Zimy w komórce przy szwagrze przepędzał. Czy tam chorował, czy nie, nikt się o to nie spytał. Coraz też ~~przykrzej~~ bardziej przykrzył mu się żywot.

Jeden miał Dyzma tydzień w roku jasny: święta Bożego Narodzenia. Gdy się zbliżały, już się naprzód cieszył. Były to przecież święta jego, pasterza. Nic on nieumiał, do szkoły żadnej nie chodził, nauk, przykładów katechizmowych, ni modlitw nie znał - umiał jeno z pamięci kolędy. Jakoś łatwo, z powietrza ich się nauczył. Bo też tam prawie wszystko w nich, co znał i rozumiał, co mu było bliskie i znajome.

" Pasterze bieżeli,

gdy głos usłyszeli...."

To napewno ci pasterze, co paśli przed nim na halach. O nich w kolędach stoi. Cała historja prawdziwa: jak w kolebach swych posnęli a tu się ogień na niebie pojawił; jak się ze snu porwali, pytają: "Co się to dzieje?", aż ci gwiazda wielka stanęła przed nimi i zawiodła ich prosto do stajenki. Gdzież to ta stajenka być mogła?

"W Betlejem przy drodze
jest zła szopa srodze..."

O Betlejemie słyszał, że miało być gdzeiś daleko, w żydowskim kraju. Ale owa "zła szopa" musiała tu być gdzieś blisko, przy końcu wsi skoro "pasterze do niej przybieżeli" w tę samą noc.

"Narodził się w stajni
Jezus ubogi..."

O Bogu Dyzma wiedział tylko tyle, że to wszechmocny Pan, do którego on, biedny owczarz, bał się zbliżać; w kościele nie śmiał iść ku ołtarzowi, stawał poza wszystkimi innymi, przy samym progu. Ale ten "Jezus ubogi", co się narodził w stajence, ośmielał nieco ubogiego Dyzmę. A jeszcze, gdy wyobraził go sobie, jako leżącą na sianku dziecinę, to już łez słodkiego rozczulenia nie mógł powstrzymać.

Kolędy przenosiły Dyzmę w jakiś świat lepszy i prostszy. Po czas całych świąt chodził jak w błogim śnie. Widzieli mu się wszyscy ludzie dobrzy, bratni wszystkim i przyjaźni. I cuda, w innych czasie od ziemi dalekie, zdawały mu się w tym czasie możliwe.

iraz w tem nastrojeniu przyszło mu do głowy, że się może znowu Betlejem i owa stajenka z Dzieciną przybliży i że się może na oczy biednym pasterzom okaże. Skoro tamci z kolęd ją widzieli, czemuż i ci, dzisiejsi, nie mogliby jej widzieć? Aż mu od tego zamarzenia serce radością trwożną podskoczyło. Tedyby i on, Dyzma, dostąpił tego szczęścia, żeby się mógł pokłonić Jezusowi-Dziecinie w stajence? Juścić nie z próżnemi rękami by poszedł. Jak to ta kolęda... co to ze sobą przynieśli:

"Jędrek kopę siana,
Łukaszczyk barana,
Dyzma oszczypków parę-
Dziecinie na ofiarę...."

Wyraźnie Dyzma... Tożby i on oszczypki.... Czy już naprzód mieliby o tem śpiewać? Aż się wstrząsł cały. Uwierzył, że to się rychło, trudno zgadnąć, ale się stanie.

Myśl ta już go nie opuściła. Czasem słabła, czasem się jaśniej zaświecała, ale w nim trwała. Przyduszały ją chłody i głody, jakie podczas zimy długiej, w komórce u szwagra mieszkający znosił; na halach, przy owcach, wyzwalała się znowu - a już na adwencie, gdy się święta zbliżały, przemieniała się w gorączkę oczekiwania.

Za paszenie przez lato otrzymywał on w zapłacie oszczypki. Otóż wybierał z nich najładniej urobione, najpiękniejsze, kładł je na wysokiej półce, aby się dobrze do tej chwili ważnej zachowały.

przed wilją stroił się jak mógł najlepiej. Włosy przystrzygał onuce prał, płaszcz stary łatał, by się jak najprzystojniej w stajence śnionej okazać. W noc pierwszą święta nie spał wcale. To do okna, to na niebo co chwila pozierał: światła, wezwania czekał. Gdy noc minęła, powiadał sobie w duchu: "Jeszcze nie czas.... Na drugi rok się stanie."

A nim dalej lata zachodził i słabnął, tem goręcej nadzieję tę żywił.

Aż przyszło owo święto Narodzenia.

Dyzma leżał na wyrku w stajni. Tam go, jako chorego, mającego wnet umrzeć, wyniesiono. Zresztą cieplej mu tu było przy oddechach bydląt, bo zimnica go trzęsła. Leżał w gorączce, ale pamiętał przecie, że to dziś wilja. Kazał też sobie, gdy gospodyni była w stajni doić, oszczypków parę przynieść z komórki swej i miał je w pieczy na wyrku - resztę zato zlecił gospodarzom. Wiernuś leżał zwinięty przy nogach jego.

Nadszedł ~~dzień~~ wigilijny wieczór. W domu jedzono wieczerzę i łamano się opłatkiem - o Dyzmę w stajni któżby się kłopotał? A on, ciężko na wyrku swoim oddychając, radosne w duszy miał myśli. Czuł, że się dziś ów cud, długo czekany, spełni. Wyzierał go całą duszą. Z mrokiem nastałym mżyć począł pół sennie. Trwał w mżeniu chwile długie, aż północ się zbliżyła.

Naraz ocknął się Dyzma. Cóż się to dzieje? Jasność niezwykła uderzyła w jego oczy. Słyszy muzykę niebiańską..... Pojrzy we wnętrze stajni - a tu stajnia odmieniła się do cudu. Wszystko się zasrebrzyło naraz, zazłociło - pajęczyny wiszące u powały stały się obłokami, z poza których migają w świetle główki aniołków. Widzi.... ze drzwi o

otwartych przez próg sypią się owce - jedna za drugą.... poznaje te, które pasał - cały kierdel, o wełnie w blasku srebrzonej, wpływa do wnętrza.... Aż ci oczy go wiodą do żłobu - ku miejscu skąd światło bije - i widzi na złotem sianku Jezuska, jasną Dziecinę.

Zrywa się co prędzej z wyrka, bierze w trzęsące dłonie dwa serki, złazi na ziemię i drżąc na całem ciele, a przeciskając się przez gęstwię owiec, zbliża się do żłobu-słonka... Tu pada na kolana i serki dwa u stóp Dzieciny kładzie.

-Jezusku! Jezusieńku! tyle jeno wydoła powiedzieć.
Śmie podnieść wzrok - i widzi: Dziecina się doń uśmiecha.
tedy już Dyzma nie może błogości w serce napłynionej przenieść. Traci się w niebie.

Skoro przyszedł ktoś rano do stajni, zastał Dyzmę na wyrku martwego. Radość miał w twarzy, jakiej nikt u niego w życiu nie widział.

Usnął w Betlejem pasterz Boży. Wiernuś go opłakiwał.

otworzy[illegible] nie owce - jakże ma [illegible].... przemknęło to,

[illegible] - [illegible], o którym w blasku [illegible], wpływ do

potem .... [illegible] ku miejscu skąd światło

bije - [illegible] jasna [illegible].

[illegible] się [illegible] z wyrwy, [illegible] w trzaskach [illegible]

[illegible] nocy, [illegible] na ziemię i [illegible] całym ciałem, [illegible]

się przez [illegible] .... Tu przed [illegible]

[illegible] i [illegible] dnia z [illegible].

- [illegible], Jerozolimo! tyle jeno [illegible] powiedzieć.

[illegible] - i [illegible]: [illegible] się [illegible].

tedy już [illegible] w [illegible]. Trzci

się w [illegible].

Skoro [illegible] rano do stajni, zastał Tyrsę na

[illegible]. [illegible] nikt [illegible] w życiu

nie [illegible].

[illegible]

Jasiek w fabryce sukna.

Stary Jamróz ~~[illegible]~~ z Podolina miał w gospodarstwie swem dwadzieścia owiec. Pasał je najmłodszy syn Jasiek, piętnastoletni. Kiedyś pewnego ~~dnia~~ ranka ~~wyganiając owce na paszę, wypuszczał z owczarni, i rozsiadły~~ wypuścił z owczarni, i ~~[illegible] [illegible] nadchodzące~~ ustrzęsające długimi kędziorami wełny zajmował na paszę, ojciec, stojący przed izbą, pojrzawszy ~~[illegible]~~ po nich, ~~a~~ uważył:

– Trzeba dziś owce wykąpać, ~~[illegible]~~ czas je ostrzydz.

Popędź je ~~nad potok~~ ku wodzie. Ja tam przyjdę.

~~Za godzinę nadszedł Jamróż ku owcom nad potok, gdzie Jasiek był już z owcami~~ Niebawem ~~przyszedł~~ nadszedł ~~[illegible] ojciec~~ Jamróż ku pasącym ~~[illegible]~~ nad potokiem. Jasiek ~~chwytał~~ łapał owce po jednej i ~~przyprowadził~~ prowadził je do wody, a stary ojciec mył dłońmi ich wełnę ~~[illegible]~~ i wyżymał ją z brudu. ~~Owce~~ Wypuszczone po kąpieli, otrząsały się ~~zebrane~~ z wilgoci – wnet też osuszyło je ~~[illegible] upał~~ gorące słonko. Tedy ~~ojciec wziął [illegible]~~ znów Jasiek chwytał owce kolejno, ~~i~~ prowadził je ku ojcu, ~~który je trzymał~~, który ~~je pętał~~ pętał im nogi i strzygł ~~[illegible]~~ dużemi nożycami. Za chwilę piękna wełny została kupa na ziemi, a owce ostrzyżone, niepodobne do ~~siebie~~ poprzednich, odbiegły lekko do kierdelu. Tak przeszły kolejno wszystkie. Spore brzemię wełny zabrał ~~[illegible]~~ Jamróż ojciec do domu. ~~[illegible]~~ Zimą będą ją prząść ~~[illegible]~~, potem dadzą do tkacza, do folusza.*)

2.

– skąd wyjdzie sukno gotowe, białe na portki, czy-
ne na gunie.

Minęło lato i jesień niedawno. Aliści ogłosił
powiat agent z Bielskiej, że ktoby zechciał
wełnę owczą zawieźć do fabryki, to za tyle
a tyle funtów wełny otrzyma tyle a tyle
metrów cienkiego gotowego sukna. Zastanowił się ten i ów
z gazdów, który owce chowali: „Może
się to i opłaci.”

Jamroż też nad tem podumał. Zważył wełnę – wy-
padało z niej sześć metrów sukna. Zwinął ją w bal, owiązał,
potem zawołał Jaśka i rzecze:
– Pojedziesz z wełną do Bielska. Oddasz we fabryce
i przywieziesz sukno, co ci dadzą.
Jasiek nigdzie dalej poza powiat
nie był – to też nowość go cieszyła, zebrał się ocho-
tnie.

Łatwo mu w drodze poszło, bo był chłopiec bystry,
i do fabryki sukna w Bielsku się dopytał. Oddał
wełnę w kantorze i po zważeniu
jej dostał kwit na sukno z kwitem. Cie-
kawy był, przechodząc do składu, zajrzał do wnętrza
fabryki, skąd szumy dolatały.
Zbliżył się, uchylił drzwi fabrycznej
hali – aż i usta otwarł ze zdziwienia. Ujrzał rzędy
jakby poruszającymi się ... maszyn, które przewijały

się, migały, kręciły, układały się w tęczowe ~~smugi~~ pionowe i w poprzek których ~~jak wszystkie zwinne~~ latało coś niby to wszystkie zwinne, ledwo dla oczów olśnionych uchwytne. Poza tą ścianą ruchliwą postrzegł Jasiek jakieś maszyny ~~dziwaczne~~ szumiące i ludzi kręcących się przy nich. „Coby to niech był z?” — dumał.

Tak stojącego w ~~dziwnym zadziwie~~ nadszedł zarządca fabryki. Widząc zdumienie ~~chłopca~~ góralczyka, uśmiechnął się.

~~— Skądeś tu? — spytał.~~

— Cóż ty tu robisz? — spytał.

— Przywiozłem wełnę do fabryki.

— I dziwujesz się, widzę.

— Dziwuję.

~~Podob~~ Spodobała się zarządcy rezolutność chłopca.

— Nie wiesz, jak się sukno robi?

— Wiem, jak u nas na wsi. Ale jak tu w fabryce, to ~~nie wiem~~, tegobym widział.

— A chciałbyś zobaczyć?

Jasiek ~~zamiast~~ w odpowiedzi podniósł nań oczy proszące.

— No to chodź ze mną. Muszę się przypatrzyć okrajarce — rzekł zarządca. Miał właśnie w fabryce godziny kontrolne.

Zaszli naprzód do składu, gdzie wyładowywano przywiezione z kolei ciężkie bele wełny. Kilkunastu robotników tu pracowało. Jedni rozpakowywali ~~wełnę~~ wełny, drudzy układali ~~wełnę w~~ ją warstwami w równe, długie stosy. — A jaka to wełna była! Ani przyrównać do tej, jaką owce ojcowe nosiły na grzbiecie. Biała jak śnieg,

4.

czyściutka i miękka. Nic w niej tłustości, nic brudu.

— Widzicie, to już wełna prana — rzekł ~~[illegible]~~ zarządca — przytem z gatunku owiec, które mają wełnę ~~delikatną~~ o wiele delikatniejszą, niż nasze owce góralskie.

Przeszli następnie do farbiarni. Tu ~~[illegible]~~ jedni robotnicy napuszczali wełnę, bitą olejem, drudzy farbowali ją w ~~kotłach [illegible]~~ na różne kolory. (~~[illegible]~~ ~~Osobno farbowano gotowe sukno.~~) Jasiek patrzył ~~[illegible]~~ ciekawie i zbaczał sobie, jak się to dzieje naraz, skąd się bierze kolorowe sukno, kiedy wełna jest biała i czarna. Teraz już wie.

Potem zwiedzili przędzalnię. Tu kłęby wełny przepuszczane przez maszynę zmieniały się na pasma zwinięte, które przejmowała znów maszyna druga o szeregach wrzecion; te skręcały nici, wyciągane z pasm i nawijały je na migiem ~~[illegible]~~ szpulki. Szło to sprawnie, jak cudem. A tylko dwóch robotników kierowało maszynami.

Przeszli teraz do tkalni, ~~[illegible]~~ której to Jasiek ~~[illegible]~~ tak się na początku zadziwił ~~[illegible]~~. Mógł się teraz tym cudom niezwykłym ~~[illegible]~~, postępując za zarządcą, przypatrzeć zbliska. ~~[illegible]~~ Widział tedy, jak nitki kolorowe, snując ~~się~~ płynące po rozpiętych krosnach, nawlekały się w równiutkie ~~[illegible]~~ pomiędzy ~~pionowe~~ druty pionowe, a te nakoniec zwinne myszki, w poprzek latające, to czółenka z nawiniętemi szpulkami — zaczem trzepak na krosnach — ciach! ciach! — przesuwał poprzeczną nitkę, i w oczach narastał pas ~~[illegible]~~ barwnej materyi. (~~Wszystko to maszyny sprawiały.~~) W mig powstawały metry sukna.

Mniemał Jasiek, że to już koniec tej fabryki. Ba! Pan zarządca pociągnął go dalej do maglowni, gdzie maszyny maglownicy sukno drewnianymi wałkami, a potem do pralni, gdzie je prały w zowce innej wodzie, a do czesalni, gdzie je czesały kolczastemi zgrzebłami — wreszcie do prasy, gdzie kładziono sukno pomiędzy wielkie arkusze tektury i przyciskano je ciężarem. Stąd dopiero mogło wyjść gotowe.

— Tak to widzisz, chłopcze, fabryka sukna wygląda — rzekł przy końcu zarządca.

Jasiek podziękował pięknie panu dobremu za uprzejmość, odebrał w magazynie swoje nałożone sukno i zabrał się do domu. Widział w fabryce rzeczy obrazami pod pachą [illegible]: Jedyną, śliczną, swoją sukmanę, [illegible] bo też zobaczył, ile kosztuje. Co w fabryce widział, opowie w chałupie.

—

Porazińska - Rossowski

Pierwsze Czytania III 120 w.

111 1.

Jędruś na weselu.

W mięsopuście tej zimy dużo było wesel w Poroninie. O tem też jeno, z kim się kto żeni lub za kogo wydaje, była po osiedlach gwara. Udzieliło się to i nieletnim. – Jędruś Chowańców z końca wsi, który poszedł do kółka po naftę, wpadł do izby z podnieceniem, mówiąc:

– Wójtowa Hanka od Stachów wychodzi za Sałaciaka.

– Też nowina! – zaśmiała się siostra. – Dawno o tem z zapowiedzi wiemy.

– Ale o tem nie wiecie – oznajmił z przechwałką – że ślub ma być pojutrze i że mnie Hanka na drużbę prosiła...

– Cie, drużba, a tu jeszcze koło gęsi służba – zakpiła z niego siostra.

– Tobie zazdrość, że cię nie prosili – odciął się Jędruś, dotknięty w honorze. Miał już przecie czternasty rok i sam owce przez lato na hali pasał.

Żartobliwe słowa Hanki: „Przyjdziesz mi, Jędruś, na drużbę!" wziął syn komorny Chowańca zupełnie poważnie, i dopiero przycinek złośliwy, starszej od niego Karolci nasunął mu przypuszczenie, że to mogło być „ze śpasu"! Mocno go ta myśl bolała. Wprawdzie po cichu już odzienie stroił, ale nie wiedział sam dobrze, czy na wesele ma się zbierać czy nie, no i czy mu też rodzice pozwolą.

Wybawiła go z tej niepewności sama wójtowa Hanka. Przyszła bowiem na drugi dzień prosić na ślub rodziców i siostrę, i za Jędrusiem wstawiła się, by mu nie bronili.

– Przecie to mój mały drużba – pogłaskała go dłonią po licu.

– Je mały? – stanął przy niej. Był jeszcze o pół głowy wyższy.

– Ho! ho! chłop aż pod powałę! – śmiała się wyjątkowo Hanka. – Ino mi nie zrób zawodu i przyjdź na wesele.

– Dyć on już na to wesele od tygodnia się stroi – poparła z uśmiechem matka. Ojciec [illegible]. Jędruś się też nie sprzeciwił.

Tedy już Jędruś wybierać się jął, odziać na drużby szykować. Kiedy rano (tedy) do ślubu się ubrał: kierpiołki bryzowane obuł, portki obciste, białe, pięknie wyszywane i koszulę cienką, w gwiazdki na przodzie haftowaną wdział, czerwony serdaczek włożył, czuszkę nową, białą jak śnieg, przewiesił przez ramię i wstążką ją szeroką związał, do tego kapelusik z kostkami z bukietem – matce aż oczy zaśmiały się ku jedynakowi.

– Dyć-eś już tela strojny, co cud!

– Coby się zaś ktosik nie zmylił – pokpiwała siostra – i nie wziął cię przypadkiem za pana młodego.

– A ciebie za pannę młodą – odciął bez urazy Jędruś.

Bo też i siostra Karolcia wystroiła się do cudu: w buciki żółte, wysokie, w spódniczkę suto z kwiatami, w gorset świecący szychem zubrany, w koszulkę w drobne ząbki haftowaną, i w korale materyne; chustę [illegible] z frędzlami zarzuciła na ramiona; do związanych na głowie warkoczy wpięła różę z bukietem.

Nadjechali dwaj drużbowie na koniach. Konie przybrane w pęk zwieszających aż do ziemi wstążek, i oni strojni w bukiety i wstążki przy czerwonych czubkach. Pokłonili się rodzicom, przepili winem do nich, potem ich do kościoła prosząc, do dalszych [illegible] pośpieszyli.

Jędruś tymczasem zaprzęgnął konie do sanek i różdżki białe, wysokie ~~(roboty Karolci)~~ jak wiechy umocował na wierzchu chomontów; pas dzwonków po boku przypiął. Wyszli wnet ojciec z matką, świątecznie ubrani – on w czusze sza- dowej czarnej, ona w serdeczku z cękawami i w chuście ciemnej ~~[illegible]~~. Wsiedli w sanki, Karolcia naprzeciw. Jędruś powoził.

Zajechali przed osiedle Stochów. Tu już stał szereg sań, a ~~[illegible]~~ nowe ~~dojeżdżały z [illegible]~~ gośćmi dojeżdżały, tak że radzić było sporo się w szereg wyciągnęły na bieżym gościńcu. Konie poubierane, różdżkami ponad głowy wysoko [illegible] – sanki co które to wydziwniej i ładniej naiśbione – a w każdych z nich bukiet strojnych ~~[illegible]~~ gości o zróżowionych i roześmianych twarzach. Wesela dodawało jasne słonko, nad wierchy Tatr wytoczone, i śnieg błyszczący dokoła.

Wyszła z osiedla panna młoda w wieńku mirtowym na głowie, wsiadła z druchnami do sanek ~~[illegible]~~, zaprzężonych w białe konie, ~~pan młody zaś z drużbami~~ do ~~sanek~~ drugich wsiadł znów pan młody z drużbami – konni drużbowie ~~[illegible]~~ ruszyli na czoło – (muzykanci zagrali ozwodnego i cały orszak weselny ruszył do kościoła.

W powrocie już pan młody jechał z panną młodą, za nimi druchny i drużbowie, muzykanci i goście. Pierwsze sanki zatrzymały się przed domem, za nimi dalsze. Wysiedli państwo młodzi i drużbowie, chcą wejść – a tu tymczasem (płot ~~[illegible]~~ wyrosły zagrodzą wejście. Przy ~~[illegible]~~ płocie stoi dziad siwy, brodaty (jak się później okazało: brat panny młodej, przebrany) i pocznie się z panem młodym przemawiać… ~~[illegible]~~

— Kto staje u wrót zagrody?
— Panna młoda i pan młody.

- Lecz widać tu ludzi wiele
- Bo z całym przyszli weselem.
- A może dom pomylili?
- Nie, tu są, gdzie ich zaprosili.
- Za ciasne izby i sienie.
- To się ściany rozprzestrzenią.

I tak się ze sobą dalej przemawiali. Przed nie przyśpiew-ka to drużbowie przypadli; drużbowie ~~[illegible]~~ krzyczeli przed wrotami:
- Damy drzwi, srebro, złoto,
Ino otwierajcie wrota!

Nic to nie ~~[illegible]~~ pomagało. Podeszli ~~tedy~~ gazdowie, mó-wiąc:
- Idzie oto grajek boży,
On nam tu wrota otworzy...

~~W tym momencie~~ Jakoś ukazał się z za węgła chaty kobziarz stary, ~~i zbliżył się do płotu. Kiedy podszedł~~ grający na kobzie starą śpiewną nutę. Jakby pod zaklęciem tajemniczym ~~[illegible]~~ płot się uchylił – i kobziarz wkroczył w obejście, a za nim weselni.

W progu ojcowie witali wchodzących, zapraszając z ukłonem do środka. W mniejszej izbie, świetlicy, zasiedli koło stołów gazdowie starzy, i kobziarz ~~zasiadł z nimi~~ między nimi.

W drugiej izbie, za sienią, skrzypce ~~obok~~ i basy już się odezwały. Młodzi się tam zgromadzili; pełno było we drzwiach, pod ścianami, kilka par już tańczyło. – Znalazł się tu i Jędruś. Muzyka go coraz podnosiła. Czuł, że coś musi ~~pokazać~~ na wstępie pokazać, coby go bez sprzeciwu do stanu drużbów wprowadziło. W pewnym momencie, kiedy ~~[illegible]~~ zauważył, że wysoki Józek, drużba ze swoich, kończy z druchną tańczyć, ~~[illegible]~~ zrzucił z ra-mienia cuchę, podbiegł doń i z kapeluszem się nisko przed nim skłonił. A skoro ten mu z uśmiechem ustąpił, –

~~stanął się jednak pod muzyką~~ skłonił się jednej druhnie,
stanął pod muzyką, ~~za~~ wrzucił ~~pien~~ złotówkę do skrzypce
i ~~wypi~~ zaśpiewał pod nogi

\+ „Powiedzą, że ja młody,
a ja dwaście okręcę...”

I obrócony ku druhnom, poszedł koło niej cyfrowaci sto-pami. Znagła przystanął – obrócił się jak wicher z druhną przy ręce – i znów z miejsca przeszedł w cyfrowany. Gło-wę nosił się wysoko, jak świeca wyprostowany, a nogi same chodziły mu, drgały, jakby kości w nich nie miał. Czasem, nie schylając się, uderzył dłonią o piętę, jak tancerz zawołany.

Z ciekawością się mu przyglądano. ~~Rozległy się~~
Słyszeć się dały ~~z przodu~~ wokoło szczere szepty:
– Patrzcie-no, Chowaniec młody... jak tańczy!

Jak dym, biły mu z głowy te pochwały. Na zakończenie kantował się w powolnym okręcie, tupnął mocno o podłogę, skłonił się druhnie i odszedł. – Idąc do sieni, dumnie spojrzał na stojącą w drzwiach siostrę Karolcię. Cud, że się tam wyrządził do honornego stanu dwaście okręcił.

Świadectwo stanu zamożności

Stwierdza się niniejszem ze strony Zwierzchności gminy Poręba Wielka (powiat limanowski), iż zamieszkały w gminie tej i przynależny do niej p. Władysław Orkan-Smreczyński posiada

Jędruś na weselu.

W mięsopuście tej zimy dużo było wesel w Poroninie. O tem też tylko, z kim się kto żeni, lub za kogo wydaje, była po osiedlach gwara. Udzielało się to i niebełnim. Jędruś Chowańców z końca wsi, który poszedł do Kółka # po naftę, wpadł do izby, z podnieceniem mówiąc:

– Ujkowa # Hanka od Stochów wychodzi za Galiczaka.

-Też nowina! zaśmiała się siostra.- Dawno o tem z zapomni:
:dzi wiemy.

-Ale o tem nie wiecie - oznajmił z przechwałką - że ślub
ma być pojutrze i że mnie Hanka na drużbę pytała.#

-Cie#, drużba, a tu jeszcze koło gęsi stróża - zakpiła z niego
siostra.

-Tobie zazdrość, że ciebie nie pytali - odciął się Jędruś, dotknięty
w honorze.

Miał już przecie czternasty rok i sam owce przez lato na hali
pasał.

Słowa Hanki: - „Przyjdziesz mi, Jędruś, na drużbę?" - wziął syn
honorny# Chowańca zupełnie poważnie i dopiero przycinek złoś:
:liwy starszej od niego Karolki nawiódł mu przypuszczenie, że to
mogło być dla żartu. Mocno go ta myśl bolała. Wprawdzie po:
:cichu już odzienie stroił, ale nie wiedział sam dobrze, czy na
wesele ma się zbierać, czy nie, no i czy mu rodzice pozwolą.

Wybawiła go z tej niepewności sama młoda Hanka. Przyszła
bowiem na drugi dzień prosić na ślub rodziców i siostrę i za
Jędrusiem się wstawiła się, by mu nie bronili.

-Przecie to mój mały drużba - rzekła i pogłaskała go dłonią po
licu.

-Ja mały?!

Stanął przy niej. Był ície# o pół głowy wyższy.

-Ho! ho! Chłop aż pod powałę! - śmiała się Hanka. - Ino

ni nie zrób zawodu i przyjdź na wesele.

- Dyć* on na to wesele już się stroi - poparła z uśmiechem matka. Ojciec się też nie sprzeciwiał.

Tedy już Jędruś bez obawy jął się na drużbę szykować. Kiedy rano w dzień ślubu się ubrał, kierpiołki* byzowane [7] obuł, spodnie obcisłe, białe, pięknie wyszywane i koszulę cienką, w gwiazd-:ki na przodzie haftowaną wdział, czerwony serdaczek włożył, guńkę nową, białą jak śnieg, przewiesił przez ramię i wstążką ją szeroką związał, do tego kapelusik z kostkami, z bukietem - matce aż oczy zaśmiały się ku jedynakowi.

- Dyć-eś już telo* strojny, co cud!

- Coby się zaś ksiądz nie zmylił - pokpiwała siostra - i nie wziął ciebie przypadkiem na pana młodego.

- A ciebie za pannę młodą - odciął bez urazy Jędruś. Bo też i siostra Karolcia wystroiła się w buciki żółte, wysokie, w spódnicę sutą, kwiecistą, w gorset świecącym szychem ~~przy-szywany~~ ubierany, w koszulkę w drobne ząbki haftowaną i w korale matczyne. Chustę barwną z frendzlami narzuci-:ła na ramiona; do zwiniętych na głowie warkoczy wpięła ró-:żę z bukietu.

Nadjechali dwaj drużbowie na koniach. Konie przybrane w pęk zwisających, aż do ziemi wstążek, i oni strojni w buki-

: ty
: fil
: bz
wys
dru
: tal
: ku
naf
wor
: Tym
: ka
: mi
gosi
jes
dok
gło
kor
kor

:ty i wstążki przy czarnych uchach. Pokłonili się rodzicom prze:
:pili winem do nich, pięknie ich do kościoła prosząc, i do dal-
:szych osiedli pomknęli.

Jędruś tymczasem zaprzągł konie do sanek i różdżki białe,
wysokie, jak wiechy, umocował na wierzchołku chomątów; pas
dzwonków po boku przypiął. Wyszli wnet ojciec z matką, świą-
:tecznie ubrani - on w cusze gazdowskiej czarnej, ona w serdacz:
:ku z rękawami i w chuście ciemnej. Wsiedli w sanki, Karolcie
naprzeciw. Jędruś powoził.

Zajechali przed osiedle Stochów. Tu już stał szereg sani, a więcej
nowe z gośćmi dojeżdżały, łącząc się w sznur wyciągnięty na bie:
:łym gościńcu. Aż radość było spojrzeć. Konie podobierane, różdż:
:kami ponad głowy wysoko trzęsące, - sanki, co które to wydziw:
:niej i ładniej rzeźbione, - a w każdych z nich pełno strojnych
gości o zaróżowionych i roześmianych licach. Wesela dodawało
jeszcze słonko, nad wierchy Tatr wytoczone, i śnieg błyszczący
dokoła.

Wyszła z osiedla panna młoda w wianku mirtowym na
głowie, wsiadła z druhnami do sanek, w białe zaprzężonych
konie, - do drugich wsiadł zaś pan młody z drużbami, -
konni drużbowie pomknęli na czoło, - rozdźwięczały dzwonki -

muzykanci zagrali ogniście - i cały orszak weselny ruszył do kościoła.

W powrocie pan młody jechał już z panną młodą - za nimi druhny i drużbowie, muzykanci i goście.

Pierwsze sanki zatrzymały się przed domem, za nimi dalsze. Wysiedli państwo młodzi i drużbowie - chcą wejść - a tu tym=
:czasem płot, jakby cudem wyrosły, zagradza wejście.
Przy płocie stoi dziad siwy, brodaty (jak się później okazało: brat panny młodej, przebrany) i poczyna się z panem młodym przemawiać:

- Kto staje u wrót zagrody?
- Pani młoda i pan młody.
- Lecz widać tu ludzi wiele...
- Bo z całem przyszli weselem.
- A może dom pomylili?
- Tu są, gdzie ich zaprosili.
- Ze ciasne izby ze sienią...
- To się ściany rozprzestrzenią.

I tak się ze sobą dalej przemawiali. Dziad nie ustępował. Na to drużbowie przypadli, dzwoniąc pieniędzmi w kieszeniach:

- Damy dużo srebła, złota,
Ino otwierajcie wrota![1]

sn

pi

:u

do

ja

ut

:n

że

sta

żo

tan

się

ust

wz

Nic to nie pomagało. Podeszli gazdowie, mówiąc:

„Idzie oto grajek Boży,

On nam tu wrota otworzy....”

Jakoż ukazał się z za węgła domu kobziarz stary, grający na swej kobzie staroświecką nutę. Jakby pod zaklęciem tej muzyki, płot się uchylił – i kobziarz wkroczył w obejście, a za nim wesel:nicy.

W progu ojcowie witali wchodzących, zapraszając z ukłonem do środka. W mniejszej izbie, świetlicy, zasiadły koło stołów gazdynie, zasiedli gazdowie starzy i kobziarz między nimi.

W drugiej izbie, na sieni, skrzypce i basy już się odezwały; młodzież się tam zgruchnęła, pełno było we drzwiach, pod ścia:nami, kilka par już tańczyło.

Znalazł się tu i Jędruś. Muzyka go ~~już~~ aż ponosiła. Czuł, że coś musi na wstępie pokazać, coby go bez sprzeciwów do stanu drużbów wkupiło. W pewnym momencie, kiedy zauważył, że wybór Józek, drużba naschwał, kończy z druchną swą taniec, zrzucił z ramienia cuszkę, podbiegł doń i kapeluszem się nisko przed nim skłonił. A skoro ten mu z uśmiechem ustąpił, skłonił się Jędruś druchnie, stanął przed muzyką, wrzucił złotówkę do skrzypiec i zaśpiewał:

„Powiadają, że ja mały!
A ja drużba okazały...."

I zwrócony ku druchnie, począł koło niej cyfrować stopami. Znagła przytupnął - obrócił się jak wicher z druchną parę razy - i znów z miejsca przeszedł w „cyfrowany". Głowę nosił się wy=
=soko, jak świeca wyprostowany, a nogi same chodziły mu, drgały, jakby kości w nich nie miał. Czasem, nie schylając się uderzał dłonią o piętę, jak tancerz zawołany.

Z ciekawością mu się przypierano. Słyszeć się dały wokoło ścian szepty:

--Patrzcie..... Chowaniec młody.... jak tańczy!

Jak dym biły mu w głowę te pochwały.

Na zakończenie w powietrzu się okręcił, tupnął mocno o pod=
=łogę, skłonił się druchnie i odszedł. Idąc do sieni, dumnie spojrzał na stojącą w drzwiach siostrę Karolcię. Czuł, że się tem wystąpieniem do honorowego stanu drużbów wkupił.

/

Porazińska Rossowski
Pierwsze czytania III
1927

Las na Lubaniu.

Szumi na Lubaniu Las... Wysoko strzelają w górę śmigłemi wierzycami smreki, a jeszcze wyżej wznoszą się dumnemi koronami jodły. O czem szumem swym opowiadają? — że wieki nad niemi przeminęły, że mocne wichry zachodu ni burze ich groźne nie złamały — że tu wyrosły, tu będą, na zawsze z duszą Lubania związane, jemu opowieści drzewne o wiekach zmarłych szumiące. Ani przyśnić im się może, iż znajdą się wnet daleko poza ojczystym Lubaniem, w krajach nieznanych, obcych, za morzami.

Przyszli dnia jednego kupcy — opatrzyli je uważnie z bliska, pomierzyli ich grubość — odeszli. Za parę dni zjawili się najemnicy-chłopi — jedni ze siekierami, drudzy z piłą — przeżegnali się, popluli w dłonie i jęli skraja ciąć. Boleśnie zajęknął Las. X Nie minął kwartał, jak zabieliła ubocz góry od leżących pokotem, odartych z kory drzew.

Zaczem nadeszło spychanie... Rozlegało się z góry ostrzegawcze: „Waruj!" — i ruszone gładkie, mknęły końcami w dół po stromej uboczy aż ku świętej [?] Dunajca, ku wodzie. Za parę dni piętrzyły się już mnóstwem przy wodzie stosy zapachnistego z pod szczytu Lubania drzewa.

XX.

2.

Tędy zajeżdżać poczęli ku stosom chłopi z furami. Ładowano kolejno na koła grube bale jodłowe, sztuki – fura za furą, dzień po dniu – do najbliższego tartaku. Tu je znów na stos na placu zwalano. Pomocnicy drwami wtaczali je po pomoście na wóz tartaku – do zawarcia gatrów, w nim przesuwał rzędowy ramę z piłami, które wiercały się w prawo – kwadransa nie upłynęło, jak bal był porznięty na deski. W mig pomocnicy wynosili je na plac, gdzie w kozły dla lepszego przeschnięcia składali. Tak mijał się bal za balem, a kozły desek rosły. Skoro nabrały suchości, kładziono je na fury i odwożono na stację; tam ładowano je wysoko na wagony i wysyłano w świat, do miejsca przeznaczenia. Tak się mijały jodły z pod Lubania.

Szczęśliwszy los spotkał smreki, przeznaczone do kopalń kolejowych. Te mierzyły jednak do stacji wodą. Kręc zbijano je mocno [illegible] w pomost, na nim kładziono drugą warstwę w poprzek, a na tej znów trzecią, czwartą – aż urósł gruby stos, klamrami w ściany ujęty. Na nim, jakby na tratwie,

sadowili się z długimi w ręku żerdziami chłopi-przewoźnicy. Gdy takich stosów zestawiono kilka, kilkanaście, tedy, na dane hasło, wparli przewoźnicy żerdzie w grunt przybrzeżny i zepchnęli stosy drzewa na środek Dunajca. Ruszyły na bystrych falach, jedne za drugimi. Nie śniło się [illegible], że tak wspaniale pojadą. Szum fal przelewnych przypomina im ich gwar leśny, gdy w gałęziach rozpościerających kwiaty. Wydaje im się, że są jeszcze lasem, że szumią wraz z falami. Dunajec pieni się, błyszczy, połyskuje do słońca – a one mkną na falach dumnie, mijając [illegible] drzewa stojące na brzegu, i jadą sobie w świat nieznany, może aż za lądy, morza, w błękit powietrza, otwierający się pod falami niebios, . Jakież radosne jeszcze podziwianie... „Hohej!"

x Wnet minęły się groźne ruiny Czorsztyna i na brzegu drugim zamek niedzicki; Niezadługo wpłynęły rzeką w koryto strome ściany Pienin. Dunajec wije się w skrętach między niemi jak wstęga wśród olbrzymów – Przewoźnicy, jadący na stosach, musieli tedy pilną

Dawać baczność, by się tratwy o ściany nie rozbiły na
zakrętach — natężali gotowe
żerdzie przeciw skałom, i odbijali stosy drzewne na środek fal; ciężką mieli z tem pracę. Odetchnęli dopiero, gdy Dunajec wydobył się z Pienin
i wolną już rzeką płynął ku Szczawnicy. Stosy tratwy
mknęły z falami pośrodku, z pokutującymi na
nich sternikami, jakby zdobywcza
flotylla. Przeszły przez odrodny cień Pienin,
i wszystkie wyszły na rozlewisko. Wnet ostały
za nimi Szczawnica, Krościenko, Łącko — otwarła się
dolina sądecka. Zwiększona Popradem rzeka lekko
zniosła stosy drzewne na grzbietach fal. Wnet
wpłynęły — na wody Wisły szerokie i pomknęły szybko przez ziemie niższe aż ku Gdańsku; los jednak inny im był znaczony.
Pod Sączem przewoźnicy przybili do brzegu. Stosy osiadły na piasku. Tedy zjawili się robotnicy,
poczęli rozbijać związanie, odtaczać je po jednemu na brzeg, skąd fury gotowe przewoziły je
na dworzec. Tu znów ładowano je w spiętrzone
na stosy, ten już na wagony. *
Zamiast na północ i wodą, pojechały na zachód
koleją. W dwa tygodnie przybyły nad morze. Tu je
przeładowano na okręty — i pojechały dalej, do Anglii.

Deski ~~podłogi~~ z jodeł Lubania służą za pomosty – ~~a~~ słupy smrekowe podpierają w kopalniach angielskich węglowe szyby. (~~[illegible] w służbę pracy~~) Gdy ~~[illegible]~~ szum przeszły wichru je doleci, przypominają sobie, skostniałe, jak szumiały kiedyś ~~na Lubaniu~~ lasem na Lubaniu. ~~Przemijają~~ Dziś tam widnieje z dala pustać wrębu.

+

Z ruchu regionalnego *)

O przeszłości Podhala.

Jedynym może historycznym ludem na ziemiach polskich, który ma swoją, odrębną, własną tradycyę, niezależnie od historyi szlacheckiej, jest lud Podhala.

Tu, w tej ukrainie górskiej, w dziedzinach jej nieludnych, w lasach i turniach Tatr znalazła przytułek, wygnana z innych ziem Polski, chłopska swoboda. Znalazła tu rasę ludzką jakby stworzoną dla siebie, znalazła obrońców swych aż do śmierci, rycerzy swoich.

Wszystkie też walki w przeszłości Podhala, jakich pamięć nam podana, prowadzone

10 [illegible] Pierwsze czytanie III, 4 1931 I.

Na obczyźnie 1.

nowela

125

Wojciech Króżel, z pow. tarnowskiego, który z podziału po ojcu otrzymał tylko [nie mogąc się z tem... z rodziną wyżyć] półtora morga ziemi, wyjechał na zarobek do Ameryki, w nadziei, że za ~~pie~~ dolary zarobione dokupi sobie pola ~~aby mó~~ i będzie gospodarzem.

Dostał robotę w Chicago, w kopalni węgla. ~~Za jakiś ro~~ Za jakiś rok, gdy się już ustalił, przysłał żonie Margośce kartę na przejazd okrętem, polecił jej wydzierżawić pole i przyjechać z dziećmi do Chicago: że tu ~~mogłaby~~ [będzie] zarobek i dla niej. Jakoż Margośka zebrała dzieci, 10 letniego ~~J~~ Jasia i 7 letnią Józię, i pojechała do Ameryki. Wynajęli ~~stancyę~~ [mieszkanie] pokój ~~i kuch~~ z kuchenką, [(już za miastem)] na przedmieściu w dzielnicy robotniczej, gdzie ~~pol~~ górnicy ~~i Pol~~ polscy się skupiali. — Wojciech dojeżdżał ~~kolejk~~ koleją do kopalni ~~za miast~~ o 2 mile za miasto i wracał ~~wieczorem~~ [na obiad]. Margośka też zarabiała ~~biorąc prani bieliznę do prania trzymając~~ mając stołowników i biorąc bieliznę do prania. — Jaś i Józia, pomieszkali

2.

matce, ale wręcz otworzyli szeroko oczy i buzie, oszołomieni (~~nowym światem~~) wielkim miastem i ruchem tegoż.

(Pierwszy rok zeszedł im...) ~~Rok minął rok~~ Minęły ~~ręce~~ [półtora roku] od ich przyjazdu. ~~Zima przeszła~~ Już się z nowym światem nieco oswoili. ~~Zima przeszła im na szarpaninie~~ Józio biegał do sklepiku po włoszczyznę, do mleczarni, to do piekarni — poznał już życie ulicznej dzielnicy, w której mieszkali. Zimą ~~lekko przeziębiony~~ [intensywniej jeszcze] (swojej) [wsi] było im/mu żal ~~i latem~~,

(Lecz) skoro wiosna przyszła, wyjeżdżali w dal [kiedy z za] Dudusia ducha miasta myśli do swojej wsi wracały.

Wojciech z wyjątkiem, [po] wróciwszy z roboty do domu, rozmawiał [po obiedzie] z ~~żoną~~ żoną, pokłócił się [z wyjątkiem] z córką. Z uśmiechem/wszystkim o treści humor. Wracał zmęczony, mył się, jadł obiad w milczeniu a po obiedzie kurzył fajkę i ~~medytował~~. (i zasypiał w siedzeniu).

Jednego dnia wrócił weselszy.

— Sąsiad mój oświadczył — rzekł — Trzeba będzie parę dni odpocząć.

Przyszli stołownicy, trzech z najlepszych robotników ~~[illegible]~~ z tego [illegible], siedli [z wyjątkiem gospodarza] przy stole, w milczeniu, jedli podany obiad. Skoro skończyli, Margośka ~~[illegible]~~ naczynia pozmywała, zakurzyli fajki i siedzieli ~~[illegible]~~ [illegible] ~~[illegible]~~ [illegible],

jakby im coś wyjątkowo dolegało.

– Pisały mi (ze wsi) z domu – ozwał się jeden – że już ~~pół~~ pół wsi zorali. Owsy teraz dosiewają. Żadny mróz, (Donosy) pisały, pogoda, co pachnie świat...

Wojciech (siedzący z przymkniętymi na pół oczyma) ~~[illegible]~~ zobaczył jak żywą własną wieś... widzi: sąsiad Strzelek wyjechał z pługiem ~~na~~ idzie zwolna za pługiem, trzymając w ręku bat. Zaorał już stajanie spore. Jeszcze mu zagon zostaje ku ... (skończy go). Młynarz ... już ~~[illegible]~~. Poprzeszywał kawałki koło wody. Teraz go widać z końmi i z pomocnikiem ~~[illegible]~~ na zboczu w owsiskach. W dolnej wsi zjeżdżają z pól, słychać pokrzyki poganiaczów. Na Stachowej chacie bocian już gniazdo umościł. Stoi jak na ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ jednej nodze, klekoce... Od kościoła, z końca wsi, ~~od~~ ~~[illegible]~~ ozwały się dzwony na ~~Anioł~~ Pański... Ludzie na zagonach odkrywają (-li) głowy...

Skorupa ~~[illegible]~~ ~~Przetarł oczy zatrzaśnięte, przeszedł po izbie~~ I on ~~kapelusz zdjął~~, stojący tam na zagonie, kapelusz zdjął. Powtarza w myśli Anioł Pański".

Takiemu coś radzi, o miłych sprawach oddalonych, zeszło się żonie jego i dzieciom. Marysia ... się ze wszystkimi ~~przyszedł. Pisząc tekst? i opowiedział~~

4

~~sobie ciekawości wszystkie~~ na zagonach.
~~Szli~~ Sadzą się do rządków ziemniaki.
W ~~przerwie~~ ~~obiadu~~ przerwach wytchnienia,
gdy się prostują z nad ~~rzędów~~ zagonów, opowiadają sobie ciekawości wsi. – Jeś znów
z ~~chłopcami~~ rówieśnikami ugania koło obejścia...
Zatrzymują się koło wierzby, która już liście puściła... „Podsadźcie mnie" – prosi Józek najstarszy. Podsadzają go ~~wyżej~~ na ramionach, on dostaje ~~się~~ do gałązki gruby pęd wierzby i mówi. „Będzie ~~fajna~~ fujarka" – mówi, „a kurek naszego pomoże". Dumnie Jeś: „Jak znów wrócimy, to je sobie takiej fujarek"...
Józek mówi ~~odmowotnie~~ mało z jeszcze mi nie roboty. ~~Sz~~ Zagania je ~~ku~~ chałupie (~~wodzie~~ rzece) – ale gdy ~~zamiast~~ przybliży, to gąsior ~~Kaczmarków~~ ~~na nich~~ Kaczmarzej rzuca się wyciąga i syczy.
(Wojciech patrzy z uśmiechem, pojmuje wszystko)
– Cóż się tak pośpieszacie godziny? Co wam brakuje? – pyta.
Zbliżył się Józek do ojca, z przymileniem objął go za szyję.
– Tatusiu! Kiedy wrócimy?...
~~Wbija~~ i ... pytanie w oczach i w ustach...

— ~~Ai~~ zarobimy tyle dolarów, coby
grunt kupić — odrzekł.
— Cóż? wracać się już? — (odrzekł [illegible])
— Cóż — tam u nas bieda tak.. —
Nic umiał dopowiedzieć. Ale ojciec
rozumiał, że (jak wyszły.)
— Musimy, synu, tyle dolarów zarobić,
coby grunt kupić. — odrzucił/zwiesił oczy.
— A drugo to będzie?
— Nie krótko.
— Wszak, proszę was — niejeden
ze stodolników — że wszystko cały tak
w kraju pracował, jak tu, toby się
na kamieniu chleba dorobił.
— Słusznie mówicie, ale cóż..
— Tak się to widzi: na obczyźnie łatwo,
a tu trza narobić się, aż się kości z zarobku
w [illegible] [illegible], chcesz coś (prócz
~~wydatku na życie~~) uskładać..
— Na drugi wszelki już wrócimy! — chciał ~~się~~.
~~[illegible]~~ jest.
— Wrócimy, tato! — wyprostował się i Józek. —
Bo kto tym biedny gości [illegible]
~~Matka~~ nic nie mówiła, ale ojciec
(uważał, co myśli..
— Ho! Dzieci! — rozrzewnił się, sam
tęsknotą przejęty (ogarnięty) — Dość

6a)

Kiedym ciało mógł, tobym Was wziął
na (te) ręce i powiódł do Kraju (z powrotem).
Jakby to można, ~~krajami ob~~ z Wami
krajami obchodził... ale darmo.
(I ~~jeden~~, co między Wy w oczach nie
postały, wstrzymaj się...). I co dzień
pierwszy raz widzę się zdarzyło
~~nie mogę nie wodzić, wstrzymaj się~~
~~Ojczyzny ojca~~ pary ~~łza~~ krople z oczu (nie ojca)
~~gdzieś dalej opadło~~ (z oczu swoje) ślizgają się przy-
chylone opadłe.

Na obczyźnie.

Wojciech Święch, rolnik z powiatu brzeskiego, który z podziału po ojcu otrzymał tylko półtora morga ziemi, nie mogąc na tym małym skrawku z rodziną wyżyć, wyjechał na zarobek do Ameryki, w nadziei, że za dolary zarobione ~~dokupi sobie pola~~ kupi grunt odpowiedni i będzie gospodarzem, ~~jak~~, jak się patrzy.

Dostał robotę w Chicago, w kopalni węgla. Za jakiś rok, gdy się już ustalił, przysłał żonie Małgosi kartę na przejazd okrętem, polecił jej wydzierżawić pole i przyjechać z dziećmi do Chicago: że tu będzie zarobek i dla niej. Jakoż Małgośka zabrała dzieci, ~~dziesięcio~~ 10letniego Jasia i 7letnią Józię, i pojechała do męża. – Wynajęli pokój z kuchenką ~~na przedmieściu~~, w dzielnicy robotniczej, gdzie emigranci polscy się skupiali. Wojciech dojeżdżał koleją do kopalni, położonej ~~dwie~~ mile za miastem, ~~i wracał wieczór na~~ wieczorem powracał na obiad. Małgośka też zarabiała, mając stołowników ~~paru~~ kilku i przyjmując bieliznę do prania. Jaś i Józia chcieli dopomagać ~~pomagali~~ matce w jej gospodarstwie kuchennem, ale więcej otwierali oczy i buzie szeroko, oszołomieni wielkim miastem i niewidzianym ruchem. –

Minął rok od ich przyjazdu. Już się z tym „nowym światem" nieco oswoili. Jaś biegał do sklepiku ~~po wiktuały~~, do rzeźnika, to do piekarza – poznał już

2

życie uliczne dzielnicy, w której mieszkali. Zimą im znośnie przeszła. Lecz skoro wiosna nastała – jakaś chorość niewid~~na~~oma poszła im ~~dokuczać~~ dolegać. Niby chodzili, robili to samo, a ~~nijakiej rady dać sobie nie mogli~~ jakby ich coś tajemnie gnębiło – nijakiej rady dać sobie nie mogli. Smutnieli w sobie z dnia na dzień.

Wojciech zazwyczaj dawniej, powróciwszy z roboty do domu, rozmawiał ~~po obiedzie~~ przy obiedzie z ożywieniem z żoną, ~~przekomarzał się~~ lubił brać córkę na kolana i przekomarzać się z nią różnie. Z nastaniem wiosny stracił humor. Wracał zmęczony, mył się, jadł obiad w milczeniu, a po obiedzie kurzył fajkę i ~~wpa~~ zapadał w zadumę.

Jednego dnia wrócił wcześniej.

– Siły mię opuszczają – rzekł. – Trza będzie parę dni odpocząć.

~~Przyszli~~ Nadeszli stołownicy, trzech znajomych ~~[illegible]~~ robotników z tegoż powiatu, siedli przy ~~stole~~ stole, zazwyczaj gwarni, bez słowa – jedli podany obiad. A gdy skończyli, gośka ~~talerze po~~ naczynia ~~poprzątała~~ sprzątnęła, – pozakurzyli fajki i siedzieli dalej w zasępieniu, jakby im coś wszystkim jednako dolegało.

– Piszą mi z domu – ozwał się nakoniec jeden – że już pół wiosny zaorali. Owsy teraz dosiewają. Ładny czas mój donoszą, – pogoda, ~~[illegible]~~ aż pachnie świat...

Wojciech, siedzący z przymkniętemi napoły oczyma, zobaczył, jakby żywą, wieś swoją w dali... Sąsiad Strączek kroczy zwolna za pługiem, trzymając w ręku bat. Zaorał już staja nie spore – jeszcze mu kęsom zostaje – do wieczora zaorze... Mynarz

Kubin już porozsiewał kawałki koło wody. Teraz go wi-dać z końmi na zboczu w owsiskach... W dolnej wsi zjeżdżają z pól, słychać pokrzyki pogońców... Na Stachowej chacie bociek już gniazdo umościł — stoi na jednem szczudle, klekoce... Od kościoła, z końca wsi, ozwały się dzwony na „Anioł Pański"! Ludzie na zagonach poodkrywali głowy. I on, stojący tam na zagonie, kapelusz ~~się~~ zdjął — powtarza w myśli: „Anioł Pański zwiastował..."

Jednocześnie wieś rodzinna, o mil tysiące oddalona, ~~za~~ ~~świta~~ przypomniała się w tej chwili żonie jego i dzieciom. — Małgośka widzi ~~się~~ siebie ze sąsiadkami na ~~zagonie~~ roli. Sadzą do rzędków ziemniaki... W przerwach wytchnienia, gdy się prostują znad ziemi, opowiadają sobie ciekawości wsi. — Jaś znów z rówieśnikami ugania koło obejścia. Zatrzymali się ~~koło~~ pod wierzbą, która już liście puściła... „Podsadźcie mnie" — powiada Józek ~~sąsiad~~ ~~Poło~~ Majcherków... Podsadzają go wraz na ramiona — on dostaje rózgę grubą pod wierzbą i ucina ją nożem. „Będzie fujarka" — mówi — „akurat miezga puszcza!" Duma Jaś: „Jak ino wrócimy, to je sobie taką fujareczkę..." — Józia zaś miała z gęsiami na robotę. Zagania je dłużej brzegiem ku rzece — ale ~~gdy~~ jak się zanadto przybliży, to gąsior do niej szyję wy-ciąga i syczy...

Wojciech przetarł oczy dłonią, jak ze snu ciężkiego, spojrzał na żonę, na dzieci...

— Cóżeście tak głowy pospuszczali? — zagadnął, aby coś rzec.

4.

Zbliżył się Józek do ojca, z przymileniem objął go za szyję.

— Tatusiu! Kiedy wrócimy?..

Widzi tożsame pytanie w oczach żony i córki.

— Cóż? cnie ci się już? — niby próbuje ~~[struck]~~ żartować [illegible]

— Cnie... Tam u nas teraz tak...

Nie umiał ~~o~~ dopowiedzieć. Ale ojciec zrozumiał, ~~[struck]~~ jak wszyscy.

— Musimy, synu, tyle dolarów zarobić, coby grunt kupić — odrzekł nakoniec z ciężkim sercem.

— A długo to jeszcze będzie?

— Nie krótko..

— Wiecie, powiem wam — wtrącił na to jeden ze stołowników — że kiedyby człek tak w kraju swoim ~~[struck]~~ pracował, jak tu, toby się na kamieniu chleba dorobił.

— Słusznie mówicie, ale cóż..

— Tak się to widzi, że na obczyźnie [illegible] a tu trza morzyć się, ci się kocić w ułomku miejsca, chcąc coś z zarobku ~~[struck]~~ odłożyć.

— Na drugą wiosnę już wrócimy! — chciał się upewnić Jaś.

— Wróćmy tato! — ~~[struck]~~ nalegały i żona — Bo kto tam będzie gęsi pasł?...

— Hó! dzieci! — rozrzewnił się, sam tęsknotą okrutną przejęty — Dyć kiedybym ino mógł, tobym was wziął ~~to~~ na te ręce i poniósł ~~do kraju~~ do kraju. Żeby te morze z wami brzegami obchodził... ale darmo.

I co dzieciom pierwszy raz wydać się zdarzyło: parę kropli z oczu ojca na czoła ich przychylone spadło.

— Nierz~~[struck]~~ Władysław Orkan Koch

8 lat

Pfauówna – Rossowski
Pierwsze Czytania II

130

Niezgoda młynów.

We wsi dużej, rozległej, stały dwa młyny: jeden ~~wodny, przy rzeczce~~ wodny w kotlinie, ~~wodny~~, przy rzece ~~, przy [illegible]~~, drugi na płaskowyżu, wietrowy. – Swarzyły się wciąż ~~z sobą~~ ze sobą i przegadywały. Dniem czy nocą, wieś pełna była ich swarliwego hurkotu.

– Cóż ty wietrzniku? – przymawiał młyn wodny. – Jeno wymachujesz w powietrzu temi długiemi rękami i udajesz bożą pracę, a korzyści z ciebie mało. Co zgruchoczesz jeno trocinami dar boży – szkoda ziarna, co się do ciebie dostanie. ~~Który ci dno rozdmuchujesz po powietrzu, że nie widać~~.

– A ty co ~~hurkoczesz~~ klekoczesz stary? – mówił rozeźlony wiatrak. – ~~Ja mielę~~ Jeno harcujesz na kamieniach, ~~kol~~ wodę ze strumienia przelewasz, hałasu więcej sprawiasz jak pożytku. Ja mielę pszenicę, żyto – jak kto chce mieć chleb ~~[illegible]~~ bielutki, do ~~mnie~~ ziarno ~~[illegible]~~ niesie – a ty co? owies gnieciesz, i to, co się ode mnie dostanie.

2.

Gdy cisza była zupełna w powietrzu, ani za słabego, i wiatrak nie mógł się obracać, tedy młyn wodny, mając wody dosyć, i mieląc (aż się rozlegało po wsi) krzyczał w stronę wiatraka z tryumfem:

— He, widzisz?! Czemu ustałeś? Czemu nie wymachujesz temi ramionami? Dobrze by ludzie na tem wyszli, jakby się jeno na ciebie, samochwale, zdali. Czekaj tak wiatru, jak ci dziś chleba potrzeba! Niema to, jak młyn wodny.

Gdy znów posucha nastała i woda w rzece zginęła, tak, że młyn musiał stać, tedy wiatrak, pracujący zadowolony dzień i noc przy wietrze dobrym, machając skrzydłami, wołał drwiąco do stojącego w bezruchu:

— He! he! Czemuż teraz nie hurkotasz? Czemu nie mielesz?!

Żadny ludziom pożytek z takiego grata. Jedliby chleb, jakby się na nim opuścili! Jeno wody w rzece zbraknie — już stoi. Niema to — każdy z ludzi przyzna — jak młyn wiatrowy.

A kiedy wody było pod dostatkiem w rzece, jak i wiaterek dobry na powietrzu, kiedy razem oba młyny mełły, słychać było znowu ich swarliwe, niby dwójka kłótliwych sąsiadów, przegadywanie.

— Szu! szu! — naśladował złośliwie młyn wody. — Kto widział tak mleć? Wietrznik jeno, roztrzepieniec może tak plonem bożem szastać. Trzeba pomału, ostrożnie. (Ziarno, nie kłos — mąka, nie trociny). O chleb tu, o dar boży idzie.

— Ehąm! Ehią! — przedrzeźniał znowu wiatrak. — Stękasz przy tym mieleniu, jak dziad wody. Widzisz, przypatrz się: jak ja sobie na powietrzu lekko i swobodnie... Ani nie słychać prawie, jak się śmigi w obrocie mijają. Mąka się sypie bielutka, jak manna. Gdzie ty mnie w pracy nie przebierzesz.

Lata mijały, wieś wzrastała, a nie słabła przy pracy wzmożonej [illegible]

7.

młynów. Wydawało się, że ~~tak~~ już wiecznie trwać będzie.

Aż zaszło coś, co położyło kres ~~tej wszechwładzy~~ ich wszechwładzy. Otóż jednego lata wyrósł ~~przy gościńcu~~ u nas koniec wsi, tuż ~~przy~~ koło drogi, wielki, piętrowy, murowany z cegieł — młyn parowy. Ani nie miał koła wodnego, ani śmig — a zaczął pochłaniać ziarno i mleć, mleć — dniem i nocą. ~~Ludzie~~ ~~nie~~ tylko ze wsi, ale i z dalsza, szły fury z worami zboża, które po pomostach wynoszono do ~~górnych~~ otworów na piętrze — młyn je ~~pochłaniał~~ jak smok pochłaniał — ~~a~~ a wyrzucał ~~...~~ przez otwory dolne ~~...~~ gotowe wory z mąką. Młyn parowy mełł zboże i omielał ~~na~~ różnymi sposoby, ~~to też~~ ~~chłopi~~ i ~~...~~ robił to wszystko — to też, co kto miał do zmielenia, tam wozili.

Stare ~~...~~ młyny opustoszały,

~~(Był powrót doby, a wiatrak stał; wody było dość w rzece, a wodny młyn milczał.)~~

Z zazdrością patrzyli, jak ~~tamten~~ tam, Mało kto do nich co przywoził, ten wszystko połyka. Tyle miały do zmielenia, co parowemu z pod

brody zgubił. Był poczciwy, dobry, a wiatrak ustał — wody było dość w rzece, a wodny młyn młócił. Jednakże dość im przyszło. Pierwszy raz też — w tym zaopiekowaniu — poczęły się do siebie odzywać przyjaźnie.

— Widzisz — (mówił) młyn wodny — jak ten nam wszystko (z przodu) ... A co dla nas było zgotowane, on miele.

— Hej — przyświadczył wiatrak — co prawda, chwała. [illegible]

Okpiś wiatrowy!.

— Ale i ludzie ... Pokąd my sobie dwa byli, wszystko do nas — często nie dali spocząć. A przychodzili, a chwalili: „jak on to miele! Młynarzu, jak [illegible]!" Coś więc my dwaj używali — a

— A teraz, to nas krzywdzą, jak nie potrzebne graty. Doczekaliśmy się jesieni, że nas zobaczą... Ono się i wkrótce umrze. Jeno cierpliwości, przyjaciele.

[illegible] w sąsiedztwie:

Tak ich tam teraz pogodził.

Tworzą sobie przyjaźni wszystkich

~~I różnice obie w jedności [illegible]~~

~~Tak ich ten trzeci pogodzi?~~

Ten trzeci ich pogodzi.

133

1/

Gdy cisza była w powietrzu.. ja woda..
młyn wody...

2/ Gdy znów powódź niosła i woda w niebo
~~wysokie~~ wzniosła.., tak, że młyn musiał od[illegible]
młyn powszechny dwór:

- Czemu nie mielesz?..

3/ To znowu, gdy ~~[illegible]~~ powiew dobry i
woda była, gdy raz ~~[illegible]~~ młyn,
stojący dziad:

- Hm! hm! hm! – przedrzeźniał młyn-
wody! – Kto widział tak mleć?..
Trzeba pomału, ostrożnie... żyjąc ~~[illegible]~~,
to ~~[illegible]~~ nie drewno – nie kamień, nie trzeszczy..

- Ehe! Ehe! – przedrzeźniał znów
~~[illegible]~~ wiatrak – stękam, jakby ci dzi..
wody:

— — —

- Co ty za korzyść dajesz?.. ~~[illegible]~~
Jak [illegible] wiatru... i ludzie muszą
stać...

- A ty co... Jak woda wyschnie, to
stoisz... a jak, wiatr najmniejszy powieje,
[illegible]... Bezczynny [illegible] byłby [illegible]

– Cóż ty wiatrosku, ~~żadnej~~ nowej wody – ~~ja~~ jeno wymachujesz w powietrzu temi długiemi rękami, (jakby chciał coś), i uciekasz boisz pracy, a korzyści z ciebie niema. ~~Ja miały~~ Co zgrubsza [illegible] Ja miały owies. i...

– A ty co turkocie stary, zgarbiony? – żadnej uciechy – ja mogłabym pracować, a ty... jeno turkoczesz, kiedym dużo spracowana, a pożytku... itd.
(Jak możesz wiedzieć, kto się o ciebie zatroszczy?)

(Len)

Porazińska - Rossowski 134 1.

Pierwsze Czytanie III

str 80 n.

Prządki.

Już to do wdowy Tyrałowej w Rabce najradniej schodziły się sąsiadki z sąsiedztwa. Tyrałową lubiano powszechnie, przytem izba u niej była duża, i przestronna, widna a nocą kagankiem oświetlona — przyjemniej im też schodziły długie wieczory zimowe na tych posiadach wspólnych i pogwarce.

Czasem przychodził chrzestny ojciec Brażyk, tak przezwany, bo nosił strój jako dawny bielutki, czasem i młodzi parobcy z muzyką, i z posiadów robiła się wtedy mała wieczornica, że to przy sobocie.

I dziś spodziewano się ich przyjścia. Tymczasem prządki obsiadły szerokiem półkolem w izbie, by sobie wzajem światła zastępować, starały się pilnie posuwać naprzód robotę. Starsze gaździny siedziały razem, bliżej pieca, przy nich też przędła Tyrałowa; dalej młodsze gospodynie, a po końcu skupiły się, w miejscu weselszym i śmielszem, dziewczęta. — Przeważnie przędziono kądziel, choć kilka prządło także len na kołowrotkach. Niekiedy podnosiły głowę od rozmowy od pracy, niekiedy chichot dziewcząt wzbijał się pod powałę — to znowu zapadało na chwilę milczenie, i słychać było jeno furkot kołowrotków, szept wrzecion i szelest lnu, wyciąganego z kądzieli.

2

Jedna z gazdyń, ~~Króćkowa~~, odłożyła na ławy wrzeciono, oczyściła już ręce i sięgnęła po nowe.

— Pokaż — westchnęła Tyrałowa — żadna z nas nie dorówna kumosi Króćkowej. Już ma wrzeciono pełne.

Króćkowa posłyszała pochwałę takiej osoby, [illegible] prędko [illegible].

— Ho! Dawniej, z młodu, mogłam [illegible] z miejsca [illegible]. Ale dziś już oczy niedowidzą.

Tyrałowa wzięła jej oddane wrzeciono:

— I równo, widzi, przędzie [illegible] tak cieniutko, że nie wiem, któryby to z młodych potrafił. Przy takiej przędzy [illegible] niewiele będzie miał tkania [illegible].

— To już moje wszystkie — tłumaczyła się radośnie Króćkowa. — [illegible] Nieboszczyk [illegible] [illegible] dawał prząść [illegible] bieluśkie koszule. Tak cieniutkie musiały być, że przeszły w dłoni zamknięte. Przędło się wtedy tkaczkę po 10 centów.

— Licha to była zapłata — nawet któraś.

— Pewnie, — ale przędło się, bo była ochota.

— Też to — przyświadczyła Tyrałowa. — Dzisiaj tak [illegible] porą człowiek wszystko [illegible] i robotę cały zachód, [illegible] lecz wymaga, nim się [illegible] kilkadziesiąt. Taki późny zrobić [illegible]...

— Hej! — były wesołe [illegible] — [illegible] czysta, bez wylubu...

— Z [illegible] kawałek pola, najlepiej [illegible] koniczynko...

— [illegible] nato poprawa [illegible] i [illegible]...

– potem (jak ~~odrośnie~~ len) plewienie, ~~wybieranie~~...
– potem wybieranie!.. ~~[illegible]~~)...
– moczenie w stawku, albo rosienie na łące...
– potem suszenie...
– wachlowanie z gliwek... tłuczenie...
– potem międlenie... czesanie...
– No a przędzenie samo?..
– A tkanie?..
– A potem bielenie...! | najgorzej ze lnem robić.
– (Może ojcu to i nie opłaca ~~[illegible]~~) – zauważył Tyrchor. – Ale nie robimy, nie będziemy mieć. ~~[illegible]~~

Znowu ~~[illegible]~~ na dworze wśród gadzin zapadło; dziewczęta ~~[illegible]~~ za to chichotały, zerkając do kie ~~[illegible]~~ swoje ~~[illegible]~~ sekretne strony.

Z sieni ~~[illegible]~~ dobiegł krok i hasał mojowy.

– Chrześcijanie, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~!

Wszedł do izby (chłop ~~[illegible]~~) o bosej głowie, ci odwo– się odeń z uszanowaniem. Witał się kolejno z gospodarzami, gdy dziewczyny podchodziły całować go po rękach.

– Siedźcie, siedźcie – mówił dobrotliwie – nie przeszkadzajcie se. Sam usiadł ~~[illegible]~~ na czele na ławie, wyjął fajkę, zapalił ~~[illegible]~~, i zakurzył, pomału zwracając do jednego:

– Cóż się nie tu urodziło?... – ~~[illegible]~~ zapytał.

– Radziliśmy, chrześcijanie, o tem, ~~[illegible]~~ skąd to zachodzi dlaczego len, nim się te pory takie pódłem urodził.

– Pewnie – przytaknął – nic nie przychodzi samo, bez zachodu. I ze lnem też niemało ~~[illegible]~~ ale coby kobiety robiły?.. – zażartował – dzi – jak i zimą...

– Zwłaszcza że czasem ~~podrywaj~~...

2.

– Teraz też – prawdę mówiąc – co narzekać, bo dużo mniej lnu się sieje. Dawniej kobiety miały ze lnem najwięcej męki, ale nie krzywdowały se. Bo to był cały ich strój. (Jak wełna chłopa, tak znów len kobiecie. A cóż kobiety dla stroju nie przedsięwezmą!). Dawniej nie znały kobiety chustek, drukowanych barchanów, jedwabiów – nikt o tem nie nie słyszał – był len w domu na wszystko. Cała kobieca odzież była lniana, prócz tych kożuchów zimą. Kabatki i spódnice były z farbowanego domowego płótna, co na nich różne wzory [illegible]; rąbki na głowę, i zapaski, [illegible], też i kobiety [illegible] haftowały [illegible]; były stanowki, co robiły znów czepce wyszywane dla [illegible]. Latem do kościoła z Rodziewicz [illegible] na [illegible] jak się widziało chodziłem, to jakby stado łabędzi wszystkich – aż radość było popatrzeć. I wnet się to podmieniło. Dziś [illegible] w szkle, w [illegible] nie [illegible] – bo wszystkie [illegible] [illegible] w kupnych chustach. Płótna też (wstydzą się, w [illegible]) nie [illegible] się już kobiety. Ale swoje, w domu zrobione, trwalsze i [illegible] przecie mniej kosztuje.)

Byłby pewnie w tym sensie dużo jeszcze prawił chrześcijański [illegible], lecz przerwało mu [illegible] dobiegł ze sieni [illegible] z pobrzękiem [illegible] drzwi się otworzyły. – Do izby weszło z pochodnią Boży i kilku parobków ze okrzykami;

tańczy za nimi kilku chłopców z sąsiedztwa. Po przywitaniu gospodyni ze starszymi, poszli chłopcy przywitać się z dziewczętami, którym kądziołki pod ukosem podpalać, to znowu figle płatać; gwar i śmiech napełnił izbę. A skoro parobcy młodzi poszli nastroić skrzypce, wnet uprzątnięto ze środka izby ławki, stołki, kądzieliki cofnięto pod ściany, i utworzył się wolny krąg. Tedy jeden z parobczaków pokłonił się kapeluszem nisko przed gospodynią domu i poprosił, coby pozwoliła jej młodszą córkę wyprosić. Za pozwoleniem [illegible] posunął się ku jednej z nich, i stał przed nimi.

Tu śpiewa:

„Nie zawiedź, Tereniuńko, kądzieli,
Będą ciebie radzi chłopcy widzieli."

Muzyka podjęła nuty. Wszyscy puścili się w taniec po kilku.
Gazdynie starsze przesiadły się z kądzielami na ławy pod ścianę i przędą dalej, z uśmiechem przypatrując się pociesze młodych.

Chwiejąc się [illegible] wszyscy kręcą figlem i oczyma, przyświecającymi gdzieś z latarek [illegible] bieda.

—

(Nie dr. w!)

Porazińska – Rossowski
Pierwsze Czytania III.
str. 165 n. 137

Przygoda Wojtusia

~~Niedźwiadek.~~

Marcin Orawiec, gazda z Bukowiny z pod sinych Tatr, zawołał w jedno przypołudnie (było to akurat w sierpniu) syna swego Wojtusia, który uganiał koło obejścia, i rzecze:

– Czybyś ty, Wojtuś, nie zaniósł soli owcom na szałas? *)

– ~~Czemu nie zaniósł – Zaniosę~~ – odkrzyknął Wojtuś uradowany. Czy ja to raz tam był? Zaniosę.

– Bo to, widzisz, ~~czasu nie mamy, zbiórki... A już dwa tygodnie jak nikt nie przyjechał~~ i serł zdałoby ze szałasu zawieźć ~~. Dasz to rady~~?

– ~~Czemu nie dać rady~~ Czy ja to nie chłop? – uradował się Wojtuś. ~~Ośm lat~~ – Zaniosę jak parobek... ~~dopiero dziewięć, ale~~ [illegible] ~~wyglądał na~~ [illegible] niósł [illegible] sól na szałas.

Skoczył do izby i w mig się zebrał. Kapelusz z kostkami, cinpaika w ręce – parobek. Ojciec przewiesił mu sól ~~w płachcie~~ do plecaka przez plecy, by mu lżej było dźwigać, i napowiadał, ~~którędy~~ jak ma iść, ~~by drogi nie pomylić~~.

– ~~Nie bójcie się, znam drogę!~~ –

– ~~Ha! Szczęśliwej drogi... A jakby cię pobiło...~~

Wojtuś już nie dosłuchał – tak go nosiła gwałt. ~~Na szałas idzie – jak dorosły.~~ Kiedy szedł po drodze, ten i ów zapytał:

– Gdzież to tak, Wojtuś?!..

– Na szałas! – odpowiadał ~~dumnie~~, z przechwałką. x)

2

Chłopcy się raz z niedźwiedziem w drodze nie spotkali... — docinał go żartobliwie.

— Niedźwiedzia nie boję się! — potrząsnął ciupagą.

Wnet minąwszy pola wsi, zadał się za drogą w regle, o śródziemnym był na dyżej Polanie. Stanął, gdzie nosili owce, stał przy Pięciu Stawach. Wojtuś znał stąd do ... dwie drogi. Jedną popod Wołowcem, ścieżkami, drugą na stoku do Morskiego Oka, potem koło wodospadów. Tędy też poszedł, długo stał przy nich, w podziwie, patrzący jak się wody spienione na mgłę (o skały) rozbijają i jak się tęcza nad nimi unosi.

Prawie słońce zapadało, kiedy doszedł Wojtuś do szałasu. Z kolebki dym się wyciągał — jakieś zganiali owce, krzyki ... odbijały się od ... Przy koszarze stała gromadka chłopów, żywo coś rozprawiająca. Zbliżył się ku nim Wojtuś.

— Tu się właśnie pokazywał baca — tam się owce zbiły w strachu i byłyby się wytraciły... ale psy zrobiły hałas, toż to my rzadko wypadali...

— Eh, żeby go był ubił!... Nie ubił żadnej?

— Nie mógł ujść. ...

A szkoda dzie...!

— Trzy owce w strachu się zdusiły.

— No to jam ... taki to kamień mocny, nie taki konar wysoki...

— Ba! Tapsł mocnie, i konar ... potrzaskał...
płot jak trawę...
potoczył...

138 3.

— Kaj to tak? — zwrócił się Wojtuś niespokojnie do wyblakłego z chłopaków.

— Dyć słyszym, chłopcze, niedźwiedź. Słyszał o tem o niedźwiedziu; Wojtuś się zdumiał bardzo. [illegible]

— [illegible] tak jak o byku. [illegible] dalszy. aż tu naraz [illegible] wreście

— Tej nocy.

Baca zawrócił ku kolebie. Podniósł [illegible] Wojtuś, [illegible] wystraszony.

— Kiedy to, chłopcze, było?

— Tej nocy. Niewidziałeś ty?

— Owce wóz z Bukowiny. Przywiózł sól.

— Dobre, dobre. [illegible] pod [illegible] [illegible] dał znać.

Chłopi też zebrali się [illegible] gwarząc o wydarzeniu. Wyszli tu, mający owce na sałaszu, jak i Wojtuś; ten z woły, ten po ser — i na taki interes trafili. Że już się ściemniało, pozostali w kolebie na noc. — Baca dołożył drew do ognia. [illegible] przysiedli [illegible] dokoła watry i gwarzyli. Juhasi poszli z psami po wieczerzy nocować przy koszarze. — Jeszcze w kolebie nie o czem innem była gwara, jeno o niedźwiedziu.

— Nie trafiło się już dawno — mówił Baca — żeby [illegible] stadko w koszarze napastował. Jak przed kilkoma laty [illegible] w Kondraczkowej, to [illegible] było [illegible] nie [illegible] z owcami nie [illegible] [illegible] go [illegible], ale o szkodzie [illegible] nie słyszał [illegible] było. No i [illegible] przypomniał se. [illegible] odkazać do Zakopanego, [illegible]

— A czy on owce już zagryzł? — niespokojnie Wojtuś.

4.

– Najradziej krew gorącą ~~pije~~ żłopie. ~~[illegible]~~ A niech no to ~~jest stado~~ jak mu nie co gdzie należy, jak śmy pije- dnie na wiosnę przednie. Bo zimą, to on śpi. Zrobi se jamę pod skałą albo pod wykrotem, wyściele ~~letym~~ chrustem, mchem i tam się układa. ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ – Na wiosnę, po długim poście, to naprzód liszków ~~próbuje i pije wodę z pod~~ zwanych ~~[illegible]~~ zielonym smreków, głów ~~jej~~ wije tyka, ale goryczą się ~~popod~~ kosodrzewiną pasie – tak, mówią, we przejedzeniu, jakby zołądź przy- sudł. A latem, to na owies się ku wsiom wyprawi: to jagody ~~[illegible]~~ po wykrotach zbiera, bardzo ~~[illegible]~~ rad ~~[illegible]~~ je brusznice, borówki, jak dojrzeją, a i porzeczny. ~~– Już to nie jest [illegible].~~ (przekorny)

– A czy ~~[illegible]~~ ~~niedźwiedziowi~~ – ~~[illegible]~~ przez się zaś spotkać? – (wszyscy tyż (Ba lepiej się nie spotykać – zasmuci się ~~[illegible]~~ z gazdów.)

~~– Dawniej było [illegible], ale [illegible] [illegible]~~

– Jusić bez broni z nim się zejść, to niebezpieczno jest ~~[illegible] [illegible] [illegible]~~ – a z flintą ledajaką flintą jeszcze gorzej. ~~[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] w komorę [illegible] jako [illegible] ręka przy [illegible] zadrży, to polecaj duszę Bogu. [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] przy takiej spo- nie [illegible] [illegible] [illegible]~~ Tak, ~~taki~~ Groźny to dziwm i wściekły ~~[illegible]~~, okrutny, ~~[illegible] [illegible]~~ ~~[illegible]~~. Lepiej się z nim nie spotkać. Na szczęście do niedźwiedzi dziś należy. Dawniej, ~~było ich [illegible]~~ ~~[illegible]~~ jeszcze za mojej pamięci, było ich w Tatrach

Dość. Ale to strzelcy niosą ~~[illegible], Liptacy mówi i Orawcy~~ że ~~nie oklepie je chodzili — ci i~~ pomocą wyżyli. Wreszcie to przyjdzie jeszcze ~~pole~~ z którejś strony jak i ten Dod- ale się długo nie uchowa. (Połamali jak od wiatru) ~~Ino będzie odkurzić do [illegible]~~ [illegible], choby go spraszli.

Gwarzyli jeszcze to i owo, wreszcie sen ~~zmorzył [illegible]~~ pomógł ich po- wypasterzy. Pokładli się, gdzie kto mógł i pospali. [Wojtuś długo nie mógł usnąć, do żywego wypełniony zdarzeniem opowiadaniem bacy wstrząśnięty. ~~[illegible] się nu, że niedźwiedź krążył się poza ścianę (Koleby) i słyszał, co baca opowi[illegible] i że ludzie chodzili nocą wyjmie przed drzwi do Koleby~~. Gdy go sen wreszcie zmorzył, już świtało. ~~[illegible]~~ Zaraz Wnet ludzie poczęli się krzątać, jakoś i ~~[illegible]~~ postawili skopce do podojn, ~~[illegible] w Kolebie [illegible]~~ gwarząc wyruszali.

Słonko już było na wierchu, kiedy Wojtuś, uczęstowany przez bacę żentycą *) i obdarowany serem, ~~[illegible]~~ zabrał się z powrotem. [Postanowił wrócić inną drogą, popod Wo- łowyn. Kiedy się wynurzył na przestrzeń wobec słonka i ~~[illegible]~~ jasno świecących gór ~~[illegible]~~ (ciekawych) dookolnych ~~skał~~, wydało mu się wszystko, co słyszał wczoraj o niedźwiedziach, niezwykłą bajką. Nakrzyczał w głos, i echo trzykrotnie mu odpowiedziało. Śmiejąc się sobie pod nogi, zbiegał wartko ~~[illegible]~~ na dół ku ~~[illegible] [illegible] [illegible]~~. ~~[illegible] [illegible]~~. Przeszedł ~~[illegible]~~ potok i zaczął się w uboczu ~~na [illegible]~~ pod Wołowym. Ścieżka ~~[illegible]~~ prowadziła ~~[illegible]~~ przez stromy nieco ~~[illegible]~~ ~~po skalistym podłożu, gdzie [illegible] porosłym~~ z trawą Kosodrzewiną lub ~~z~~ borówkami. Wojtuś ~~[illegible]~~ wytężał [illegible] kręci [illegible]

6 naprzód, znał bowiem drogę tę dobrze. Gdy już był w połowie zbocza i miał się opuścić na dół, przystanął nieco, by odetchnąć. Obejrzał się za siebie – spory już zrobił kęs drogi. Słońce wtoczyło się już ku wierchowi południa. Miał zamiar usiąść, by się pokrzepić serem, kiedy dobiegł go szelest z pod nóg z dołu i dziwnie jakoś nieustanny. Coby to mogło być? ~~[illegible]~~ Wpatrzył się uważniej na dół – rosły tam borówki i kępy kosodrzewiny... Nic nie mógł dojrzeć innego. Szelest się znowu powtórzył, ale już głośniej, jakby przesuwanie się czegoś przez krzewiny. I wraz z poza kępy kosodrzewiny wychyliła się postać dziwna: ~~ni pies dziki, ni [illegible], ni [illegible]~~ jakby w burzy, na wierzch wełną zwróconym, kożuchu... Obrócił ku niemu łeb – i wtedy Wojtuś zamiertwiał w strachu: poznał, że to on, niedźwiedź... Uciec – jak? którędy? Cofnął się i wnet ścianę ma za plecami, pomyślał ~~[illegible]~~ wspiąć się po ~~[illegible]~~ niej ku górze; ~~[illegible]~~ palcami chwytał się przyczółów ~~[illegible]~~ przez wpijał w wydrążenia, czepiał się ~~[illegible]~~ ostrości, wisiał prawie w powietrzu, i całym wysiłkiem, woli, popychany lękiem darł się po ścianie ~~ku~~ w górę. ~~[illegible]~~ Gdy się ~~[illegible]~~ nad krawędź ściany ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ padł zesłabły na ziemię. Pomalutku już zaczął zerkać ku krawędzi i ośmielił się wreszcie spojrzeć na dół. ~~[illegible]~~ Co zobaczył, ...

w tej sekundzie, ostrze go cofnęło. Oto niedźwiedź stał na tylnych łapach tuż pod ścianą, przednimi próbował się wspinać. Sto myśli naraz, coraz to groźniejszych, przeleciało Wojtusiowi przez głowę. Ale to jedno go jeszcze pocieszyło: że niedźwiedź prosto do niego po tej ścianie nie wejdzie. Nie da rady.

I w razie, gdy za chwilę znów odważył się wychylić głowy, ujrzał, jak niedźwiedź szedł, obwąchując ścieżkę, wzdłuż ściany w tamtą stronę, skąd Wojtuś przyszedł. Zamierzył widać obejść ścianę od zachodniej strony.

Wojtuś nie miał co czekać. Jeszcze raz sprawdził, oczami, czy niedźwiedź dalej w tę stronę podąża, potem zerwał się na nogi i pognał biegiem, okrążając górą ścianę, ku wschodniej stronie, to jest ku drodze do domu. Skakał po głazach, przesadzając wyrwy i omszałe [illegible], i jak sarna wypłoszony jeno migał się w [illegible]. Jeszcze trzymał się górą, bojąc się ku ścieżce zniżać — aż, gdy już porachował, że jest dość daleko, tedy wziął się na dół, ku roztoce. Nie spostrzegł jednak w biegu, aż do drugiej parowy dobiegł, ku Łysej Polanie. Tedy upadł na trawę i długo sercem [illegible] ostał. Odżyły mu bystro [illegible] dłużej, tak się ulęknął. Szczęściem niedźwiedź.

znajomy chłop z Bukowego i zawiózł go na targ. – Po drodze myślał: „wyjdzie czy nam też u wszyscy w domu?... czy go pochwalą, czy skarcą?.. Cinpaga i ser zostały pod ową ścianą, gdzie się opierał. Cinpaga może nad[illegible] – ale szkoda, że sera do domu ojcu nie doniesie... pewnie go niedźwiedź zjadł. Niech się naje!"

Porazińska i Rossowski
Pierwsze Czytania III, Lwów 4 1931, str. 201–.

Za morze...

Ostatnia ubocz lasu na Lubaniu miała lec pod siekierami. Zakupiła ją firma drzewna Berdjowa (Ader i Spółka) i dała znać do wsi podlubańskich, by się do ścinki głoszono. Dwaj młodzi gazdowie z Maniów, Wojtek Syc i Jędrzych Nafa, których bieda wyganiała do robót za morze, a na podróż pieniędzy nie mieli, pochwycili okazję dobrą i podjęli się ścięcia uboczy. Przynajęli do siebie chłopów ośmiu i w dniu oznaczonym — skoro świt w początku maja — wyszli w ubocz z piłami i siekierami, przeżegnali się „na szczęście", popluli siarczyście w dłonie i zabrali się raźno do pracy.

Nie lekki to był trud... Las pierwszowiekowy, na przeciągach wiatru wyrośnięty, twardy był w pniach zahartowanych i opierał się mocno pile jako i siekierze. Jeszcze smreki, smuklejsze wzrostem i cieńsze, łatwiej dały się obalać; ale jodły sędziwe, zastałone siekierze, zakostniałe w pniu grubym, długo wymagały przyłożenia się i znoju, nim z jękiem na ziemię legły.

Po dwóch pracowało przy jednym drzewie. Naprzód rąbaniem podcinali je u ziemi, od strony, na którą chcieli aby padło, potem piłą z drugiej podrzynali, aż trzeszczeć poczęło: znak, że idzie... Tedy szybko wyjmowali piłę i bili kliny pomocne, baczność dając, aby [illegible] w stronę oznaczoną... Zachwiane drzewo z łoskotem wyginęło i wali się na ziemię... Echa huczne rozchodziły się po dolinach

zboczach. Liście okrzesywali z gałęzi, obłupywali skrzętnie z kory, i przechodzili do drugiego.

Dwóch mogło obrobić w ciągu dnia dwadzieścia sztuk; zatem do sto drzew dziennie ubywało w stojącej uboczy. zalewał oczy, a dłonie stwardniały wyschłe od siekiery i niczym od smoły. Dopiero, gdy mrok zapadał, wypoczywali przy ogniu. Wojtek z Jędrkiem rachowali obrobione drzewa, próbowali z tego wyrachować, wiele dni im ze ścinaniem zejdzie (i wiele mogą na tym zarobić). Przytem gawędzili o zamiarach swoich. Wojtek z Jędrkiem obliczali w myśli zarobki przy ścince i snuli plany wyjazdu.

Zawzięcie pracowali, aż im pot zalewał oczy, sami we dwój pokładali dwadzieścia przeszło sztuk i więcej. W momentach wytchnienia zastanawiali się: „Gdzie dotrze to drzewo, opłynie?"

— „Ha! Musi mieć pewnie przeznaczenie; tobą..."

Ani im w myśli mogło postać, że ich los w jednę zejdzie.

Do miesiąca byli z wyrębem gotowi. Przyszło spychanie. Podważane drągiem drzewa, ruszały końcami na dół i przy okrzyku „Waruj!" sunęły po stromej uboczy aż ku świetlu Dunajca, ku wodzie. Przy spychaniu tem omało do nieszczęścia nie przyszło. Oto Jędrek, podważając drągiem, pośliznął się na kłodzie pod sunące drzewo; na szczęście padł w zagłębienie: drzewo przesunęło się nad nim, ledwie go musnąwszy; inaczej byłoby go niechybnie zgniotło.

Nim tydzień minął, drzewo już zepchnięte spoczywało na stoku przy drodze. Firma przysłała na miejsce urzędnika swego, który je oznaczył cechą i odebrał. Wojtkowi i Jędrkowi wypłacono pieniądze za wyręb, a oni zaś wypłacili z tego chłopów przynajętych. Zostało im po kilkaset

koron, zamało – jak obliczyli – na podłoi ze mostu. Nadarzył się jednak w tymże czasie zarobek dalszy; a to spławianie smrekowego drzewa, a jako też drzew z grubszych jodłowych beli do tartaku i dopilnowanie przy obróbce desek. Skwapliwie na to przystali i podzielili się robotą.

Jędrek zajął się spławianiem, na którym znał się dobrze. Przyprowadził fachowych ludzi i nie zwlekając, zebrano się do pracy. Zestawiono drzewo w belki okrąglaki w poprzek, a na tym most, na nim zbijano drugą warstwę w poprzek, na tej znów trzecią, czwartą – aż urósł gruby stos, klamrami w ściany wbity. Gdy takich stosów sporządzono szereg, gdy już wszystko przeznaczone do spławienia drzewo było w mosty zbite, usadowili się na nich jakoby na tratwach z długimi wiosłami wioślarze chłopi-przewoźnicy. Jędrek stanął jak jaki admirał na czole pierwszego stosu. Na dany znak jego odepchnęli przewoźnicy wiosłami w grunt przybrzeżny i zepchnęli stosy drzewne na środek rzeki. Ruszyły na bystrzynę jeden za drugim z potężnym przewoźników okrzykiem: ho-hy! Zrazu szło wszystko sprawnie; nurt rzeki toczył się prosto i znosił stosy na zakręcie. Lecz niezadługo Dunajec wbił się między ściany Pienin, czyniąc raptowne skręty, zakola i kręte łęgi. Dla [illegible] tej łódki niebezpieczność wielka – a cóż dopiero dla spiętrzonych stosów! Od czego jednak chwaty-przewoźnicy, od czego Jędrek-admirał? Gdy tylko zakręt się wytknął, „pil-nuj!" hasło podawano od tratwy do tratwy, i przewoźnicy nastawiali wiosła jak [illegible] kopii przeciw ścianom bliższym i od-

bijali stosy zagrożone na środek fal. Skuteczne(?) przetrwali wreszcie przez zdradne zwroty Pienin. Już dalej rzeka toczyła się równo, wnet też wpłynęli w Dolinę Sądecką, gdzie połączyły się z Dunajcem fale Popradu. Teraz by już ich nic nie mogło wstrzymać gładko aż do Wisły i dalej przez niże polskie aż do morza. Przeznaczone jednak było, by stosy drzewa spławionego zatrzymały się pod Sączem. Stąd miały jechać na zachód koleją. Jędrek oddał zastępcy firmy drzewnej.

Dłuższy miał trud Wojtek Syc z jodłami. Więc naprzód zwiózł fury, które zwoziły w dłuższych częściach do tartaku. Tam znowu wyjął chłopów, którzy je przerzynali na krótsze bele; dał pomocników, którzy wtaczali bele z pomocą na wóz tartaczny. Dalsze czynności należały do dozorcy gatru, [illegible] tj. zwanego [illegible] w ruch pracowicie [illegible] z piłami, które ze zgrzytem wżerały się w pnie, i w krótkim czasie bel był porznięty na deski. Z kondiclami wynosili je znowu pomocnicy na plac odkryty, gdzie składali je w kozły dla przesuszenia. Tu też pracował sam Wojtek, znaczył lubryką*) deski, które by się z innymi nie zmyliły. Kiedy bele wszystkie były już porznięte i stosy desek ułożone w kozły, oddał Wojtek zadanie swoje spełnione zastępcy firmy. Stwierdził przytem, że deski te mają iść koleją, potem morzem gdzieś w daleki kraj.

Wojtek z jodłami zeszli się, pożegnali, co każdy zrobił, i stwierdzili, że może już teraz puścić je dalej. Wyglądali [illegible] o potrzebie na przyszłe papiery na kolekcję(?), i ruszyli naprzód koleją na zachód, potem z Hamburga morzem. „Schiffen"! Mówili z drogi do siebie!
— Som też pono nasze drewno, cobyśmy im tyle z nich nie zmarnowali!"

*) lubryka — kolor kreski(?), którym można poznać jej kraj(?).

Wnet mieli się o tem dowiedzieć. Wychodźcowie z obcego kraju, znaleźli przy pomocy agenta robotę w kopalni węgla. Mieli z górnikami stemplować sklepienia świeżo wybranych komór. — Jakież było ich zdumienie, gdy Wojtek na przyniesionych deskach pod sklepienie ujrzał znaki, które były przez siebie zrobione, a też Jędrek w dostarczonych stemplach do podbić nie odnalazł znajomej im dobrze cechy firmy! Toż to przecie wyrosłe „ich” drzewo! Zadumali się chwilę nad tą sprawą.

— I oto więc razem z nami za morze przyjechało. Takie widać jako i nam podobne przeznaczenie.

144 1

V. Dwie przypowieści.

1) a) Góra Kamieni:
Za siódmą górą, za ~~siódmą~~ dziewiątą rzeką był ~~[illegible]~~ skarb zaklęty, o którym wieść... daleko-szeroko..
Coraz to któś sam ze śmiałków wyprawiał się na zdobycie...
Różne przeszkody do zwalczenia:
otwory z strażą, smoki, wołania, itd...
~~[illegible]~~ Zdawało się, że zwalczył wszystko..
Aż występowała ~~ostatnia~~ marna przeszkoda:
góra Kamieni... Tu już każdy stawał bezradny...
Oto - góra głupoty...
b) a gdyby każdy wziął jeden kamień po prostu - górki nie będzie..
Wniosek... V V

2) O dwóch sąsiadach.

Na dożynkach w Spale.

1) Muzycie jadą z Zaborowa
Przygotowania do wyjazdu: grupa...
2) W drodze (w Koluszkach, Tomaszowie)
3) W Spale. Tłumy. ~~W~~ parku. Pochód przed prezydentem (defilada ziem)
4) Składanie wieńców dożynkowych. ~~muzyk~~ Grupy. Muzyka – śpiewy – Obiad.
5) ~~Z~~ Zabawy w parku.
6. ~~wieczorem~~ Z powrotem. Wrażenie.